



Natalie
Welsh

*Skazana
na piekło*

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Natalie
Welsh

Skazana na piekło

„Została pani skazana na dziesięć lat więzienia za próbę przemytu pięciu kilogramów kokainy. – Wpadłam w dygot. To działa się naprawdę i żadne cofnięcie czasu nie wchodziło w grę. Czekają mnie dziesięć lat w piekle.”

Emocjonująca opowieść o tym, jak jeden nierozważny krok może zniszczyć życie.

W 2001 roku Natalie Welsh zabrała swoją czteroletnią córeczkę Nikitę na wspaniałe wakacje do Wenezueli. Nie była to jednak zwykła podróż, ponieważ w drodze powrotnej Natalie zamierzała przewieźć kokainę, a dzięki zarobionym w ten sposób pieniądzom odmienić swoje smutne życie. Plan się nie powiódł.

ISBN 978-83-7575-738-5



9

 **hachette**
POLSKA
www.hachette.com.pl

patron medialny:

recenzje • rozmowy • wydarzenia
książki
magazyn literacki
www.rynek-ksiazki.pl

Natalie
Welsh

Skazana na piekło

przy współpracy Diane Taylor

 hachette
POLSKA

Podziękowania

Dziękuję Ci, Eve, za to, że byłaś przy mnie, i za najważniejsze dla mnie wsparcie. Nigdy nie zdołam Ci się odwdzięczyć.

Lesley, okazałeś się prawdziwym przyjacielem. Gdyby nie Twoja pomoc, nie wiem, co by się ze mną stało ani gdzie bym teraz była. Dziękuję.

Prolog

Przedemną dziesięć najgorszych lat mego życia, ale z tej bolesnej próby mam szansę wyjść silniejsza. Czy jednak będzie szczęśliwe zakończenie?

List od Natalie do jej przyjaciółki Eve,
sierpień 2001 roku

I dąc w stronę hali odlotów, czułam wewnętrzny dygot. Był to 24 lipca 2001 roku. Miałam dwadzieścia jeden lat. Obok mnie dreptała moja czteroletnia córeczka Nikita. Trzymałam ją za rączkę, a w drugiej ręce niosłam walizkę wydającą ostrą woń kleju. Palmy szeleściły na wietrze, ostre wenezuelskie słońce paliło w kark i przez bawełnę koszulki piekło skórę na plecach. Spojrzałam na intensywnie niebieskie, bezchmurne niebo i żał mi się zrobiło, że muszę wracać do szarej, dżdżystej Anglii.

Pociechę stanowiły jedynie te cztery tysiące, o które miałam być bogatsza.

Z kolejnych samochodów stojących przed halą odlotów wysypywały się całe rodziny, wyładowywano olbrzymie walizy. Wszędzie rozbrzmiewał hiszpański, słychać było gwar ożywionych rozmów. Ludzie ściskali się, całowali, odprowadzali jedni drugich, żegnali się z bliskimi. Nie rozumiałam ani słowa. Przez dwa tygodnie zaledwie zdążyłam się oswoić z brzmieniem tego zupełnie egzotycznego dla mnie języka.

- Zrób pa, pa Wenezueli. Jutro już będziemy w domku - powiedziałam do Nikity.

Pomachała i posmutniała.

- Nie możemy tu jeszcze zostać, mamusiu? - Podobały się jej wakacje i wcale nie miała ochoty wracać.

- Innym razem, skarbie - odparłam. - Jutro opowiesz koleżankom, jak było fajnie.

Popatrzyła na mnie uważnie wielkimi brązowymi oczami i kiwnęła główką. Moja ukochana córeczka! Całe dwa tygodnie spędziłyśmy razem. Z opaloną, lśniącą skórą i włosami porządnie zaplecionymi w warkoczyk wyglądała kwitnąco, wręcz tryskała zdrowiem. Bardzo ją kochałam. Rozstałam się z jej ojcem, ale ona była dla mnie najważniejsza na świecie. Zawsze miałyśmy ze sobą dobry kontakt.

Hala odlotów na Margaricie była niskim, nowoczesnym budynkiem. W środku panował dziwny spokój. Do odprawy bagażowej czekało zaledwie kilka osób, nikt nie stał przy okienku wypożyczalni samochodów, nie było też kolejki przy fast foodach.

Mocno ścisnęłam rączkę walizki. Cały czas czułam zapach kleju i umierałam ze strachu, że ktoś do mnie podejdzie.

Al twierdził, że opłacił funkcjonariuszy gwardii narodowej i że puszcza mnie bez problemu, ale mimo to denerwowałam się coraz bardziej. A jeśli mają szkolone psy? One od razu wyczują ten zapach.

Aż dziwił mnie ten mój niepokój, bo dotąd żyłam w błogim przeświadczeniu, że zawsze mi się jakoś uda - jakby mnie chronił niewidzialny amulet, jakbym była niepokonana, zdolna przetrwać każdą burzę.

Tym razem, idąc w stronę stanowiska Alan Air, miałam wrażenie, że ten ochronny parasol zniknął. W głowie tłukła się myśl: „Nie rób tego. Zostaw walizkę w toalecie, wsiądź do samolotu i zapomnij o wszystkim”.

Wprawdzie nie zarobiłabym wtedy sporych pieniędzy, ale trudno. I tak miałam superwakacje za darmo.

„Ale to przecież tyle forsy i tak łatwo możesz ją mieć” - kusił inny głos.

Ostatecznie rozum przegrał i podeszłam do odprawy bagażowej dla pasażerów lecących do Holandii. Uśmiechnęłam się do odprawiającej nas kobiety i postawiłam walizkę na pas. Stałam się zachowywać jak najbardziej naturalnie.

Kobieta cały czas uśmiechała się do Nikity. Odetchnęłam z ulgą. Nie zainteresowała się zapachem kleju, więc nie podejrzewała, że w walizce może być coś trefnego.

Mimo wszystko czułam ucisk w żołądku, jakby to jeszcze nie był koniec. Ochrona lotniska leniwie wykonywała swoje obowiązki, więc zaraz po kontroli paszportowej, niezatrzymywane przez nikogo, weszliśmy do poczekalni. Tu wszystko wydawało się normalne. Wracający z wakacji turyści rozmawiali

naprawi? Uczepiłam się kurczowo nadziei, że zaraz usłyszę: „Proszę nie oddawać tego na bagaż, tylko zabrać ze sobą na pokład”.

Powtarzałam sobie, że jeszcze nie wszystko stracone.

- Panowie, proszę się pośpieszyć, bo nie zdążymy na samolot - powiedziałam cicho.

Nikita zaczęła popłakiwać. Przytuliłam ją i starałam się uspokoić.

- To pani walizka? - warknął jeden ze strażników po angielsku, ale z silnym akcentem.

Kiwnęłam głową.

Gestem kazał mi ją otworzyć i opróżnić. Minuty mijały, samolot nie będzie czekał. Zaczęłam tracić nadzieję. Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się godzina odlotu. W pomieszczeniu nie było klimatyzacji i dusiłam się z napięcia i od upału.

Jeden z gwardzistów wyszedł i po chwili wrócił z pracownikiem linii Alan Air, który miał być tłumaczem.

- Chcą wiedzieć, czy ma pani coś jeszcze w walizce.

- Nie - odparłam zdenerwowana.

- Czy ktoś dał pani tę walizkę?

- Nie.

Jeden ze strażników sięgnął za pasek i wtedy nadzieja przysła. Błysnęło ostrze noża.

„Przecież nie tak miało być! To niemożliwe!” - krzyczało we mnie wszystko. Ciągle starałam się zachować spokój, licząc na to, że strażnik jednak zmieni zamiar i odłoży nóż. Oczywiście nic takiego się nie stało. Ostrze zagłębiło się w dno walizki i po chwili na stole leżało dwanaście pękatek paczuszek.

Zgadając się przewieźć pięć kilo kokainy wartości 325 tysięcy funtów, zapakowanej starannie w czarne plastikowe woreczki, podjęłam najgłupszą decyzję w swoim życiu.

Spuściłam wzrok, lecz po chwili spojrzałam na strażnika z nożem. Pokręcił z dezaprobatą głową.

„Nie mogą mi nic zrobić. Jestem obywatelką brytyjską... Będzie dobrze. Najwyżej w Anglii pójdę na kilka miesięcy do więzienia, ale jakoś to wytrzymam. Byle mnie puścili na ten cholerny samolot”.

Pracownik linii lotniczych najwyraźniej nie po raz pierwszy tłumaczył taką rozmowę.

- Dostanie pani dziesięć lat - rzekł beznamiętnie. - To najwyższy wymiar kary za przewóz narkotyków.

Spojrzałam na niego bezradnie. Nic z tego nie rozumiałam. Jak to? Po prostu mu nie uwierzyłam.

- Co się stało, mamusiu? - spytała znów Nikita.

- Nic takiego, kochanie. Ktoś włożył do walizki kamienie i zrobiła się za ciężka do samolotu. Dlatego ten panje wyjął.

- Dlaczego oni kroją twoją walizkę?

- Sprawdzają dokładnie, bo tych kamieni nie powinno tu być.

Nie miała pojęcia, co to są narkotyki. Wyjaśnianie jej tego było ostatnią rzeczą w życiu, jakiej bym chciała. Uwierzyła mi i usiadła spokojnie.

Patrzyłam to na paczki leżące na stole, to na nią. Ogarnęła mnie czarna rozpacz i przeogromne poczucie winy.

„Na litość boską, mam przecież czteroletnią córkę. Co ja zrobiłam? Po cholere tak ryzykowałam?” Czułam się kompletnie

zdezorientowana i bezradna. Handlarze narkotyków, którzy mnie zwerbowali, cynicznie wykorzystali moją młodość, naiwność i to, że potrzebowałam pieniędzy. Obiecywali, że nikt mnie nie zatrzyma.

- Samolot wprawdzie już odleciał, ale my polecimy następnym - pocieszałam Nikitę, starając się, aby głos mi nie drżał. Chciałam jakoś jej to wszystko wytłumaczyć, oczywiście nie mówiąc prawdy.

W pokoju zebrała się spora grupa funkcjonariuszy. Nie rozumiałam, co mówią, ale sądząc po ich ożywieniu, musiało to być coś w stylu: „No, to strzał w dziesiątkę!”.

Jedna z paczuszek została dźgnięta nożem i na stół posypał się biały proszek. Gwardzista dotknął ostrzajęzykiem. Bez tłumacza zrozumiałam werdykt:

- Kokaina!

Starannie obejrzeni walizkę, a potem sprawdzili dane mojego lotu. Patrzyłam tępo przed siebie, wciąż jeszcze liczyłam na to, że jednak mnie puszczą.

- Czy ktoś ma czekać na panią na lotnisku? — Nie byłam kapusiem i nie miałam zamiaru zdradzać Tony'ego, który mnie zwerbował w Anglii.

- Nie, nikt na mnie nie czeka - odparłam drżącym głosem.

Pracownik Alan Air zasugerował, że lepiej będzie, gdy powiem prawdę.

- Dużo lepiej będzie, jak powie im pani wszystko.

Jajednak się uparłam, że nasza ambasada pomoże mi wrócić do Londynu i dopiero tam załatwi się sprawę.

Odpowiadałam w kółko jak automat.

- Ambasada to wyjaśni.

- Lepiej żeby pani z nimi współpracowała - radził tłumacz. Wzruszyłam ramionami i nic nie odpowiedziałam.

Pogodziłam się już, że nie wrócę dziś do Anglii, ale wciąż liczyłam na interwencję ambasady i na powrót następnego dnia. O niczym innym bardziej w tej chwili nie marzyłam niż o szarej, deszczowej Anglii. Niech się dzieje, co chce, byle tylko się znaleźć na angielskiej ziemi. Wydostać się z tego pokoju, z tego lotniska i z tego kraju. Przysięgłam sobie, że choćbym miała się zaharować na śmierć, nigdy więcej nie zrobię podobnej głupoty,

- Proszę mi pozwolić skontaktować się z ambasadą. - Starałam się mówić jak najspokojniej. Jeden ze strażników skinął przyzwalająco głową, po czym znalazł i wybrał numer. Podeszłam do telefonu.

Odebrała kobieta mówiąca z silnym akcentem.

- Niech mi pani pomoże. Proszę coś zrobić, żeby mnie puścili i przekazali sprawę władzom brytyjskim - błagałam. W ogóle nie okazała współczucia i wyraźnie nie zamierzała załatwiać dla mnie żadnego lotu.

- Obawiam się, że to zbyt poważna sprawa. Na razie musi pani tam zostać. Jutro ktoś z ambasady skontaktuje się z panią.

I trzask odkładanej słuchawki.

Był wieczór i najwyraźniej tej pani w czymś przeszkodziłam. Wyobraziłam ją sobie popijającą herbatę na tarasie, jak na starych filmach, których akcja toczy się w koloniach. Aż nadto wyraźnie dała mi do zrozumienia, że to nie jest dobra pora.

- Idziemy - odezwał się ostro jeden z gwardzistów. Wyjął z kieszeni kajdanki i przykuł mnie do siebie. Zrobiło mi się

strasznie wstyd, ale starałam się nie dać nic po sobie poznać. Nie chciałam, żeby widzieli, jak bardzo się boję. Wyprowadzono mnie z budynku i wojskowym samochodem pojechaliśmy na posterunek policji. Wolną ręką tuliłam do siebie Nikitę. Bardzo chciałam ją przed tym wszystkim jakoś ochronić.

Samolot odleciał, a ja z pełną zawiści rozpaczą myślałam o pasażerach na pokładzie, wolnych i beztroskich. Na lotnisku wszyscy się na mnie gapili, jakbym była co najmniej seryjną morderczynią, a nie drobnym, niepozornym trybikiem przemysłowej maszyny.

Eskortujący mnie gwardziści byli bardziej uprzejmi niż ich koledzy na lotnisku. Uświadomiłam sobie wtedy, że dzięki jasnym włosom i niebieskim oczom muszę być dla nich atrakcyjna jako kobieta. Sto razy wolałam tego rodzaju spojrzenia niż lodowaty wzrok tamtych.

Siedziałam z zamkniętymi oczami na twardej ławce na posterunku i próbowałam uporządkować fakty. Już wówczas gdy odlatywałam do Wenezueli, ogarnęło mnie jakieś niedobre przeczucie, teraz - niestety - okazało się, że prorocze. Im dłużej o tym myślałam, tym mocniejszego nabierałam przekonania, że świadomie mnie oszukano. Handlarze bez skrupułów wykorzystali moją naiwność i rzucili mnie psom na pożarcie. Słyszałam wcześniej, że czasem wysyłali jednym samolotem kilku kurierów, po czym na jednego sami donosili. Celnicy zasadzali się na niego, a potem, zadowoleni, że dobrze wypełnili swoje obowiązki, mniej uwagi zwracali na innych. Zapewne Al, mój kontakt na Margaricie, uznał, że nadaję się na kozła ofiarnego.

Strach z wolna ustępował złości, że dałam się tak oszukać, nabrać jak małe dziecko. Jak mogłam być taka naiwna? Furia mnie wprost rozsadzała i musiałam głęboko pooddychać, żeby się uspokoić. Mimo to wciąż nie traciłam wiary, że cały ten galimatias jakoś się rozplącze i nazajutrz polecimy z Nikitą do domu.

Wlewo początki

Dzieciństwo miałam udane, nic nie zapowiadało późniejszych dramatycznych wydarzeń. Moim rodzinnym gniazdem był schludny domek na przedmieściu, należący do dziadków, rodziców mamy. Żyło się nam dobrze, spokojnie i szczęśliwie.

Babcia pracowała w biurze, mama w poważnej firmie prawniczej jako osobista asystentka. Zajmował się mną głównie dziadek, który przeszedł na emeryturę po służbie w RAF-ie. Był jeszcze jeden członek rodziny, a mianowicie Leo, ukochany biało-rudy kot mamy. Zwierzak ten miał dość dziwne upodobania. Lubił na przykład, gdy go odkurzano. Sprzątaniem zajmował się dziadek i gdy tylko brał odkurzacza do ręki, natychmiast przychodził kot i się napraszał, żeby też go odkurzyć. Pękaliśmy ze śmiechu.

Dziadek uwielbiał szachy i nauczył mnie grać, jeszcze zanim zaczęłam chodzić do szkoły. Studiował rozgrywki mistrzów, czytał specjalistyczne książki i rozgrywał partie z komputerem. Zaklinał się, że nigdy z nim nie wygram, a kiedy w końcu

to się stało, uroczyście poprzysiągł, że więcej nie siądzie ze mną do szachownicy. Miałam wtedy dwanaście lat.

- Już i tak niczego więcej cię nie nauczę - dodał z dobrodusznym uśmiechem.

Rodzice rozstali się jeszcze przed moim urodzeniem. Mama była szczupłą, atrakcyjną blondynką - niektórzy twierdzili, że podobną do Michelle Pfeiffer. Ojciec - wysoki, średniej budowy ciała - miał kasztanowe włosy i wąsy, a na lewym ramieniu tatuaż przedstawiający serce i miecz zwieńczone orłem. Był właścicielem kilku pubów. Był też kobieciarzem i zapewne takiego skłonność stała się przyczyną rozstania rodziców. Mama pewnie myślała, że zatrzyma go przy sobie i ze względu na nią przestanie się spotykać z innymi kobietami, ale ojciec po prostu nie był stworzony do małżeńskiej wierności.

Dla mnie był cudowny. Mieszkał niedaleko i widywałam go regularnie. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, to jak ojciec wchodzi do łazienki w domu dziadków z małym różowym króliczkiem - prezentem dla mnie. Przez wiele lat była to moja jedyna ukochana zabawka. Króliczek z czasem stracił jedno ucho i połowę nosa. Miałam go przy sobie na pogrzebie ojca.

Przy tacie zawsze kręciło się mnóstwo dziewczyn, często miał ich kilka naraz. Gdy brał mnie do siebie, na ogół była też z nami jego aktualna sympatia. Pękałam z dumy, że tata się przede mną nie kryje. Dawało mi to poczucie dorosłości. Czasem chodziliśmy do mojej drugiej babci, za którą wprost przepadałam. Była drobna, miała czarne kręcone włosy. Jako największą frajdę

podczas tych wizyt wspominam robienie kanapek w tosterze. Uwielbiałam też biegać po jej ogrodzie razem z moim ciotecznym rodzeństwem, Tomem i Helen.

Alan, mój ojczym, był zupełnie inny. Obecny w moim życiu, odkąd sięgam pamięcią, na stałe zamieszkał z nami dopiero gdy miałam pięć lat. Wysoki, szczupły, z niewielkimi zakolami. Twarz miał pociągłą i trochę nijaką. Nie rozumiałam, co mama w nim widzi. Tata był bez porównania przystojniejszy. Mama w końcu postanowiła wynieść się od dziadków i kupiła dwupokojowy apartament. Wkrótce potem wprowadził się do nas Alan. Pewnego dnia się pobrali, nic nie mówiąc nikomu, nawet najbliższej rodzinie. Na świadków wzięli dwie przypadkowe osoby z ulicy. Alan namówił mamę, żeby zrezygnowała z pracy.

Przez pierwsze lata dogadywałam się z nim bez problemu. Pamiętam, jaka byłam dumna, kiedy oboje z mamą pojechali ze mną na szkolną wycieczkę do Forest of Dean. Alan pomagał mi w lekcjach, chodził ze mną na basen. Jednak mniej więcej odkąd skończyłam dziesięć lat, zaczęliśmy się kłócić dosłownie o wszystko.

Awantury wybuchały coraz częściej, a ja czułam się niechciana. Czułam, że to ja jestem ta zła. Wydawało mi się, że choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nic dobrze nie robię, toteż po jakimś czasie przestałam się starać. Dorosłym wolno było na mnie krzyczeć, natomiast ja nie mogłam okazywać złości. Potulnie, bez słowa skargi musiałam przyjmować wszystkie zarzuty i wyrzuty. Czasami Alan był dla mnie miły, dawał kieszonkowe, pomagał w lekcjach, ale przeważnie oboje z mamą traktowali mnie surowo. Kiedyś wróciłam za późno i dostałam

za karę zakaz wychodzenia z domu przez pół roku. Dla dziesięciolatki to wieczność, a takie kary sprawiały, że jeszcze bardziej się buntowałam.

Czułam się niesprawiedliwie traktowana i wkrótce zaczęło się takie błędne koło. Nie szanowałam ich, a oni nie szanowali mnie. W domach moich koleżanek i kolegów panowały o wiele mniej napięte stosunki. Inni rodzice byli znacznie mniej surowi, a dzieci mające więcej swobody nie odczuwały tak silnie potrzeby buntu i były posłuszniejsze. W szkole nie miałam większych problemów, ale - może z powodu konfliktów w domu - nigdy za szkołą nie przepadałam.

Mimo tych kłótni byłam raczej grzecznym dzieckiem. Dużo ćwiczyłam na klarnecie, uwielbiałam rysować i grać w koszykówkę. Byłam wysportowana, więc koleczy i koleżanki mnie lubili. A jednak zawsze czułam się wyobcowana.

Uczyłam się dobrze i zdałam egzamin do gimnazjum. Cieszyłam się z tego bardzo, a mama i Alan kupili mi w nagrodę rower. Jednak świat, w którym się znalazłam, okazał się obcy i nieprzyjazny. Na samym początku, gdy dziewczynka z mojej klasy przeczytała na głos swoje domowe wypracowanie, przeraziłam się, że poziom jest tak wysoki. Ja nigdy nie napisałabym równie dobrej pracy. Nabrałam przeświadczenia, że jestem gorsza od innych i do niczego się nie nadaję. Może gdybym poszła do szkoły zawodowej, czułabym się swobodniej i lepiej bym sobie radziła.

W szkole miałam kolegów i koleżanki, ale nie przyjaciół. Chłopcy też się mną nie interesowali. Woleli blondyneczki o porcelanowych buziach i pretensjonalnych imionach.

Poszukałam sobie *zatem* przyjaciół gdzie indziej. Byli to moi rówieśnicy, mieszkający niedaleko, w blokach komunalnych. Mama i Alan uważali ich za kompletnie nieodpowiednie dla mnie towarzystwo, mimo to spędzałam z nimi dużo czasu i pierwszy raz czułam, że wreszcie znalazłam swoje miejsce w życiu. Byli podobni do mnie pod tym względem, że mieli problemy z dopasowaniem się do grupy rówieśniczej w szkole.

Pewnego razu znów za coś dostałam zakaz wychodzenia. Stałam się więc jak najpóźniej wracać ze szkoły, żeby jak najmniej czasu spędzać w domu. Tamtego feralnego dnia wcale nie zamierzałam nigdzie wychodzić, po prostu zeszłam na dół po coś do picia. Tymczasem, Alan, chyba myśląc, że chcę uciec, szybko doskoczył do drzwi, zamknął je i schował klucz do kieszeni.

Odwróciłam się na pięcie i rozżalona pobiegłam na górę. Miałam ich serdecznie dosyć. Skoro sami się proszą, to niech mają, czego chcą.

Wściekła na cały świat, wydłubałam cyrklem kit przy okiennej szybie. Wyjęłam ją i cichutko położyłam na podłodze. Wpadający do pokoju wiatr rozkosznie chłodził rozpalone policzki. Ostrożnie spuściłam się z okna na daszek pokryty blachą falistą i przeszłam przez płot na sąsiednią posesję. Krew pulsowała od nadmiaru adrenaliny. Biegłam szybko, jak nigdy dotąd, triumfalnie rozkoszując się myślą, że przechytryłam Alana i mamę. Z moimi nieodpowiednimi przyjaciółmi spotykaliśmy się przy budce telefonicznej. Gdy tam dotarłam, serce waliło mi jak młot i brakowało tchu, ale rozpieła mnie euforia.

- Właśnie uciekłam z Fort Knox - oznajmiłam towarzystwu, a oni w pierwszej chwili nie zrozumieli, o co chodzi. Jednak

im zaimponowałam. Rzadko rozmawialiśmy o tym, co dzieje się w domu, choć wszyscy przeżywaliśmy podobne konflikty. Mama i Alan, gdy tylko się zorientowali, że mnie nie ma, natychmiast zadzwonili na policję. Trzeba trafu, że ta nasza budka, pod którą się spotykaliśmy - nie mam pojęcia, dlaczego akurat tam - stała tuż obok posterunku i policjanci znali nas i mówili nam po imieniu.

Dwie godziny po mojej rozpaczliwej ucieczce z budynku wyszło dwoje policjantów i ruszyło w moją stronę. Serce podskoczyło mi do gardła. Nie liczyłam na to, że wszystko ujdzie mi płazem. Pytanie brzmiało, jak bardzo tym razem mi się oberwie.

- No, Natalie, wracamy do domu - odezwał się policjant. Z ulgą stwierdziłam, że z uśmiechem. Towarzyszyła mu policjantka, która też się miło uśmiechała.

Bez sprzeciwu dałam się zaprowadzić do policyjnej furgonetki. Policjanci byli życzliwi, ponieważ nie stawiałam oporu. Zapewne uznali, że jestem grzeczną córeczką, która wpadła w nieodpowiednie towarzystwo. Do domu dojechaliśmy w kilka minut. Po drodze przygotowywałam się psychicznie na straszną awanturę. Zbliżałam się do wieku, w którym człowiekowi się wydaje, że wie lepiej niż dorośli, co jest dobre, a co złe. Nawet by mi wtedy nie przyszło do głowy, że mama i Alan naprawdę chcą mego dobra.

Drzwi otworzył Alan. Dalszy ciąg wydarzeń sprawił mnie w osłupienie. Zakładałam różne scenariusze - szlaban na pół roku, kłódkę na oknie, wymówki przez kilka dni — i doszłam do wniosku, że i tak nie wymyślą nic gorszego niż do tej pory.

Czekałam w samochodzie, podczas gdy Alan rozmawiał z policjantem. Widać było, że jest strasznie wkurzony. Potem wyszła mama i w milczeniu stanęła obok. Nie słyszałam, o czym mówią, choć nadstawiałam uszu. Po jakimś czasie policjant wrócił, wyraźnie zakłopotany, a oni weszli do środka i zamknęli drzwi. Nic z tego nie rozumiałam. Co się dzieje? Przecież mnie nie aresztowali, mieli mnie odwieźć do domu.

Policjant wsiadł do samochodu i spojrzał jakoś tak ciepło i ze współczuciem.

- Przykro mi, Natalie, ale twoja mama i ojczym nie chcą, żebyś teraz wracała do domu.

Nie wierzyłam własnym uszom. Z całej siły powstrzymywałam się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Czy może być coś gorszego, niż zostać wyrzuconą z domu przez najbliższych?

- Nie martw się, dziewczyno, pojedziesz na razie na posterunek, potem znajdziemy ci jakiś nocleg. Ojczym wścieka się na ciebie, ale do rana mu przejdzie i wtedy cię odwieziemy.

Byłam wstrząśnięta, ale jednocześnie ulżyło mi, że nie muszę wracać do domu i wysłuchiwać pretensji. Było już późno, chciało mi się spać, marzyłam, żeby się zwinąć w kłębek i o wszystkim zapomnieć.

Zaprowadzili mnie do pokoju służbowego, gdzie policjanci przychodzą napić się kawy czy herbaty. W końcu nawet zagrałam z jednym z nich w bilard, co na chwilę pozwoliło zająć myśli czymś innym. Potem siedziałam w fotelu i czekałam, co będzie ze mną dalej.

Trzymałam się dzielnie, choć bardzo chciało mi się płakać. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się stało.

- Chodź, Natalie. Znaleźliśmy już dom dziecka, w którym spędzisz dzisiaj noc - oznajmił policjant, który rozmawiał z Alanem.

Zupełnie nie brałam pod uwagę takiej możliwości i w dodatku nie miałam pojęcia, co mnie czeka w domu dziecka. Poszliśmy do samochodu. Podczas jazdy usilnie starałam się nie zasnąć. Po dwudziestu minutach policjant skręcił w małą uliczkę porośniętą z obu stron drzewami. W ciemności majaczył spory budynek.

Przywitał nas szczupły, siwowłosy mężczyzna. Było już po północy, wszystkie dzieci spały. Zaprowadzono mnie do pokoju. Pamiętam, że był skromny, ale całkiem przyjemny, z gładkim, jasnym dywanem. Śmiertelnie znużona, rozebrałam się. Wystarczyło przyłożyć głowę do poduszki, by zapaść w głęboki sen.

Trudny wiek

ekastępnego ranka zobaczyłam masę rozbieganych i rozkrzyczanych dzieciaków w różnym wieku. Wychowawcy nie zwracali im uwagi, w ogóle panowała dość swobodna atmosfera. Zawsze wyobrażałam sobie, że domy dziecka są ponure i smutne, a tu było wręcz przeciwnie. Od razu poprawił mi się humor.

Po śniadaniu przyjechali mama z Alanem, żeby porozmawiać o moim powrocie do domu. Mama miała na policzkach ślady łez, jakby przepłakała całą noc. Alan powitał mnie z kamienną twarzą. Miałam wyrzuty sumienia, że mama przeze mnie cierpiała. Zawinił przede wszystkim typowy dla nastolatki brak wyobraźni i chęć - jak to wtedy nazywałam - wyrównania rachunków z Alanem.

Zdecydowano, że do domu wrócę za kilka dni, kiedy wszyscy ochłonimy. Jednak przez te kilka dni tak mi się w domu dziecka spodobało, że spytałam, czy mogę zostać na stałe. Ciągnęło mnie do tego świata, tak różnego od świata tych wszystkich

zakazów i ograniczeń narzucanych w domu. Byłam jeszcze bardzo dziecinna i nie przyszło mi do głowy szczerze porozmawiać o wszystkim z mamą i Alanem. Myślałam tylko o tym, że wreszcie będę robić, co mi się żywnie podoba. W ogóle nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ich moja decyzja zabolii.

Pracownicy opieki społecznej wyrazili zgodę na mój pobyt w domu dziecka, z możliwością powrotu do domu, gdy sytuacja się ustabilizuje. I tak w moim życiu dokonała się przeogromna zmiana. Zdobyłam wolność, o jakiej przedtem mogłam tylko marzyć. Chodziłam wprawdzie do szkoły, ale z coraz silniejszym przekonaniem, że to nie dla mnie, zwłaszcza że najlepiej miały te dzieci, które ze szkoły wyrzucono, bo opiekunowie z domu dziecka zabierali je na łyżwy, kręgle i do parku rozrywki Alton Towers, co było znacznie przyjemniejszym sposobem spędzania czasu niż siedzenie w szkolnej ławce. Zaczęłam zatem chodzić na wagary, licząc na to, że mnie też usuną. Dyrektorka była bardzo wyrozumiała i wiele razy dawała mi szansę, jednak nadszedł moment, gdy miałam już tak wiele nieobecności, że po prostu musiała mnie wyrzucić. Wychowawczyni powiadomiła mnie o tym bez większych emocji - widocznie taki scenariusz był tu dobrze znany. Widząc, że specjalnie się nie przejęłam, spytała rzeczowo:

- Jutro idziemy na łyżwy. Też chcesz pójść?

Niemal podskoczyłam z radości. Nareszcie uwolniłam się od szkoły i mogłam się zająć wyłącznie przyjemnościami. Dziś ze smutkiem myślę o tym, że tak łatwo zrezygnowałam z nauki. Gdyby można było cofnąć czas, na pewno zostałabym w szkole i starałabym się zdobyć jakieś wykształcenie. Ale w wieku

czternastu lat spieszno mi było do dorosłości, a poza tym wydawało mi się, że jestem najmądrzejsza na świecie.

W domu dziecka robiliśmy różne kawały. Raz jedna nasza koleżanka, Carly, wlaźła po drabinie na dach i nie chciała zejść. Wezwani policjanci weszli na górę i próbowali ją nakłonić do zejścia. Wtedy sprytnie ich wyminęła, szybciuśko zeszła, po czym odstawiła drabinę i uciekła, śmiejąc się w kułak. Policjanci sterczeli bezradnie na dachu, a my śmiałyśmy się do rozpuku.

Mieliśmy wiele możliwości, jeśli chodzi o ułożenie sobie życia, ale jednocześnie nie stawiano nam żadnych wymagań. Każdy z wychowanków raz w tygodniu odbywał rozmowę z opiekunem. Można było pogadać, zwierzyć się, poradzić w sprawach rodzinnych. Dawało to poczucie bezpieczeństwa i psychiczne wsparcie. Czasem wypływała sprawa mojego powrotu do domu, ale ponieważ czułam się w domu dziecka dobrze, wątek ten nie został nigdy pociągnięty.

Wszystko się zmieniło, gdy dostałam nowego opiekuna. Miał na imię Delroy. Skończyłam szesnaście lat i pracownicy opieki społecznej uznali, że trzeba mnie przenieść do mniejszego, rodzinnego domu dziecka, gdzie było już ośmioro czy dziewięcioro nastolatków. Obawiano się, że jeśli zostanę tu dłużej, wyrosnę na stałą podopieczną pomocy socjalnej. Nie bardzo rozumiałam, o co im chodzi. Dom dziecka mi odpowiadał, życie tutaj wydawało mi zupełnie normalne. Delroy miał mi pomóc w przenosinach, za co od razu przestałam go lubić. To on mnie tam odwiózł. Ze strachem patrzyłam na swój nowy dom, zupełnie dla mnie obcy, położony w jakiejś

nieznanej okolicy. Wszystko bym wtedy oddała, żeby wrócić do domu dziecka. Nie miałam jednak nic do powiedzenia, trzeba się było urządzać w nowym miejscu. Zrobiło mi się trochę różnie, kiedy wszystko spokojnie obejrzałam - zwłaszcza podobało mi się to, że sami mogliśmy brać jedzenie ze spiżarni, co było to dla mnie absolutną nowością. W domu mama i Alan wprowadzili surowe zasady, jeśli chodzi o jedzenie. Nie pozwalali nic podjadać między posiłkami, zawsze też musiałam zjeść wszystko z talerza, nawet jak mi bardzo nie smakowało. To nowe miejsce miało być etapem przejściowym między pobyt w przytulnym domu dziecka a samodzielnym życiem.

* * *

Z początku boczyłam się na Delroya, ale pomału zaczęłam go darzyć coraz większym zaufaniem i nawet wyczekiwałam tych naszych sesji. Był miły, umiał uważnie słuchać i odnosiłam wrażenie, że doskonale mnie rozumie. W wieku szesnastu lat byłam bardzo spragniona uczuć i akceptacji. To właśnie dawał mi Delroy. Zawsze zachowywał dystans, ale to, co do mnie mówił, miało ogromne znaczenie, bo czułam się bezpieczna i rozumiana. Mogłam z nim rozmawiać dosłownie o wszystkim. A najważniejsze było to, że on jeden ze wszystkich wychowawców traktował mnie jak dorosłą.

Namówił mnie do pójścia do college'u, na co sama miałam wielką ochotę, bo wydawało mi się, że wreszcie poczuję się dorosła. Postanowiłam zdawać małą maturę z matematyki, angielskiego, socjologii i psychologii dziecięcej. Nauka szybko mnie wciągnęła. Spotykałam się wtedy z sympatycznym chłopakiem

w moim wieku, ale coraz częściej myślałam o Delroyu. Wytworzyło się między nami specyficzne napięcie. W jego towarzystwie czułam się uskrzydłona. Wydawałam się sama sobie wyjątkowa.

Moje uczucie przybierało na sile. Doszło do tego, że здавало mi się, że wybuchnę, jeśli mu tego nie wyznam. Był moim „powiernikiem z urzędu”, więc naturalnie powinnam mu o tym powiedzieć. Problem polegał jednak na tym, że dotąd nie zwierzałam mu się z sekretów dotyczących jego osoby.

- Muszę ci coś powiedzieć - wypaliłam nagle podczas sesji.

Obrzucił mnie uważnym, spokojnym spojrzeniem, a po moim ciele w tym momencie przeszedł dreszcz.

- Oczywiście, możesz mi wszystko powiedzieć - zachęcił.

Spuściłam głowę. Czy „wszystko” obejmowało też miłosne wyznania? Postanowiłam się wycofać.

- Właściwie to nic takiego.

Po prostu nie mogłam tego z siebie wykrztusić.

Nie nalegał. Ciekawe, czy domyślał się, co jest grane. Pogadaliśmy o zwykłych sprawach i przyszła pora powrotu do domu. Odwiozł mnie. Po drodze milczał. Byłam bardzo spięta i wyczuwałam, że on też.

Wysiadł ze mną, żeby mnie odprowadzić. Nagle przystanąłam, odważnie spojrzałam mu prosto w oczy i powiedziałam:

- Lubię cię.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Jakby wcale nie zaskoczyło go to wyznanie.

- Ja też cię lubię - odpowiedział łagodnie. Serce natychmiast przyśpieszyło. Zakładałam różne reakcje z jego strony, ale nie taką. Ujął moją twarz w obie dłonie i pocałował mnie

lekkie i delikatnie jak nikt dotąd. Świat zawirował. Miałam wrażenie, że umarłam i znalazłam się w raju.

Delroy powinien był od razu iść do przełożonego i powiedzieć o moim wyznaniu. Myślałam zresztą, że tak zrobi. Postąpiłby słusznie. Oczywiście ja sama też mogłam się przyznać do fascynacji i poprosić o zmianę opiekuna. Ale żadne z nas nic takiego nie zrobiło. Ogarnęło nas jakieś gorączkowe szaleństwo. Po pierwszym pocałunku Delroy, gdy tylko mógł, zakradł się do mojego pokoju, całował mnie i tulił. Nie myślałam o konsekwencjach, jakie mogło to mieć dla nas obojga. Wówczas zupełnie nie byłam w stanie myśleć, umiałam jedynie żyć chwilą. Byłam zakochana, nic poza tym się nie liczyło.

W końcu nie mogłam już dłużej wytrzymać. Ukradkowe pocałunki przestały mi wystarczać. Chciałam czegoś więcej.

Delroy ciągle powtarzał, że chciałby być ze mną naprawdę blisko. Znał nawet jakieś miejsce niedaleko, gdzie mogliśmy to zrobić. Podał mi adres, miałam przyjechać taksówką następnego wieczoru. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Nie mogłam się doczekać naszego spotkania. Okazało się, że czeka na mnie w starym, opuszczonym domu. Otworzył mi rozpromieniony i radosny. Niepewnie przestąpiłam próg. W środku było brudno i nieprzyjemnie, choć Delroy bardzo się starał. Zapalił świece, w kominku płonął ogień. Na podłodze leżał niezbyt czysty materac. Dziś zupełnie nie mogę zrozumieć, jak mogłam się zachwycać taką norą, ale wtedy byłam dumna i szczęśliwa, że uwił dla mnie to miłosne gniazdko. Zamówił jedzenie na wynos i otworzył wino. Jedliśmy i piliśmy, siedząc przy trzaskającym ogniu, a mnie się zdawało, że zaraz umrę ze szczęścia.

Potem się kochaliśmy. Byliśmy parą zaledwie od miesiąca, a jednak miałam stuprocentowe przekonanie, że postępuję słusznie. Nie myślałam o tym, że Delroy mógłby być moim ojcem, ani o jego żonie i dzieciach, ani że poważnie złamał zasady obowiązujące go jako mojego opiekuna. Byłam całkowicie i bez pamięci zakochana.

Przedtem miałam chłopaków, z którymi zdarzało mi się uprawiać mało ciekawy seks. Teraz po raz pierwszy kochałam się z mężczyzną w całym tego słowa znaczeniu. Bez pośpiechu, z pasją i czułością. Doznania fizyczne i emocjonalne zlewały się w jedno, w duszy i ciele strzelały kolejne fajerwerki.

Po pierwszej nocy spotykaliśmy się często. Męczyły mnie te sekrety i udawanie przed innymi, że nic nas nie łączy.

W końcu przyznałam się do wszystkiego opiekunce społecznej z dawnego domu dziecka. Sytuacja mnie przerastała, nie umiałam sobie z nią poradzić. Byłam po uszy zadurzona w Delroyu, ale miałam przy tym pełną świadomość, że postępujemy źle. Nie wiedziałam, co robić.

Ona oczywiście zgłosiła to opiece społecznej w moim obecnym miejscu zamieszkania i wtedy rozpętało się piekło. Delroy został zawieszony i nie wolno nam się było kontaktować. Wbrew zakazom dzwoniłam do niego, mówiłam mu, że bardzo go Kocham i że za nim tęsknię. Po zbadaniu sprawy zwolniono go za rażące naruszenie obowiązków. Nadal się spotykaliśmy, co stało się łatwiejsze, odkąd się wyprowadziłam do wynajętego pokoju. Delroy starał się przychodzić jak najczęściej, ale wciąż mieszkał z żoną, choć obiecywał, że od niej odejdzie. Strasznie mnie to stresowało. Obok mieszkała Julie, koleżanka jeszcze

z pierwszego domu dziecka. Razem zaczęłyśmy eksperymentować z ecstazy i amfetaminą. U niej szybko zaczęły się poważne problemy zdrowotne, ja rzuciłam naukę.

Rzadko teraz widywałam mamę i Alana, nasze drogi się rozeszły. Kiedy byłam w domu dziecka, pracownicy opieki społecznej nie nakłaniali mnie do powrotu. Raczej pomagali mi osiągnąć życiową stabilizację.

Pracowałam wtedy w stoisku z kanapkami w centrum miasta i wkrótce zaczęłam mieć poranne mdłości. Zabezpieczaliśmy się z Delroyem, ale na wszelki wypadek zrobiłam test ciąży. Ku memu zaskoczeniu wynik okazał się pozytywny. Byłam szczęśliwa, choć nie planowaliśmy dziecka. Jednak ani Delroy, ani tym bardziej mama nie podzielali mojej radości.

Dla niej moja ciąża była jak grom z jasnego nieba.

- Czemu ty nigdy nie możesz żyć normalnie i wiecznie pakujesz się w jakieś kłopoty?

Usiłowała namówić mnie na aborcję, ale sama myśl o tym była dla mnie nie do przyjęcia. Zdecydowanie odmówiłam. W ciąży rzuciłam nawet narkotyki. Nie mogłam się doczekać narodzin dziecka. Delroy, gdy tylko mógł, wymykał się z domu, ale dla mnie to było za mało.

- Bardzo cię kocham i chciałbym być tylko z tobą. Nigdy nikogo tak nie kochałem. Boli mnie, że ciągle nie możemy być razem - powtarzał często.

Jak głupia wierzyłam w każde jego słowo. Byłam przekonana, że mówi prawdę, kiedy zapewniał, że to tylko kwestia czasu i że na pewno odejdzie od żony.

Był przy porodzie. Troskliwie ocierał mi pot z czoła. Ciężko znosiłam ból, ale kiedy wreszcie urodziłam, od razu zapomniałam o cierpieniach. Czułam niesamowitą dumę, że wydałam na świat tak cudowną istotkę. Po porodzie Delroy posiedział ze mną kilka minut, po czym stwierdził, że musi iść. Pocałował mnie i już go nie było.

Serce mi pękało z żalu, że tak szybko sobie poszedł i nie wzruszył się nowym człowieczkiem tak jak ja. Leżałam na szpitalnym łóżku z córeczką w ramionach i czułam się bardzo samotna. Postanowiłam dać jej rosyjskie imię Nikita. Podobało mi się, było takie niecodzienne.

Maleństwo miało brzydką, pomarszczoną twarzyczkę, ale pokochałam je od razu. Jeszcze w ciąży postanowiłam, że będę karmić piersią. Przeczytałam, że to wzmacnia więź między matką a dzieckiem. Chciałam jak najlepiej opiekować się Nikitą i zapewnić jej szczęśliwe życie.

Leżałam wyczerpana po porodzie i myślałam o mojej rodzinie. Zawiodłam ich i szczerze bolałam nad tym, że postawiłam mamę w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Na pewno wolałaby mieć posłuszną córeczkę, dobrą uczennicę, która dojdzie do czegoś w życiu. A tymczasem przynosiłam jej same rozczarowania. W tej chwili żałowałam, że nasze życie się tak ułożyło. Przecież nie planowałam ani przeprowadzki do domu dziecka, ani związku z Delroyem, ani przyjścia na świat Nikity. Po prostu tak wyszło. Dopiero teraz wiem, że życie nie jest ciągiem zdarzeń, w których się biernie uczestniczy, lecz że można wybierać swoją drogę. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam.

Mama i babcia odwiedziły mnie w szpitalu nazajutrz po porodzie. Mama przyniosła śliczną sukieneczkę i wzięła wnuczkę na ręce, ale kiedy wróciłam ze szpitala do domu, nie pomagała mi przy dziecku. Sprawiało mi to ból. Byłam młoda, niedoświadczona i bardzo samotna. Potrzebowałam wsparcia i pomocnej dłoni. Jeszcze kochałam Delroya i łudziłam się, że dziecko odmieni nasz związek. Marzyłam, że teraz wreszcie zostawi żonę i będzie ze mną.

Kiedy zaszłam w ciążę, przyznano mi mieszkanie komunalne, ale mogłam się wprowadzić dopiero na dwa tygodnie przed porodem. Póki leżałam w szpitalu, Delroy przygotowywał mieszkanie dla Nikity i dla mnie, a gdy wróciliśmy do domu, przychodził, kiedy tylko mógł. Miał już dwoje dzieci, więc o maluchach wiedział więcej ode mnie. Doskonale sobie radził, kiedy Nikita miała kolkę. Wpadał przeważnie wieczorem. O tej porze ona często płakała, a ja nie umiałam jej uspokoić. Wtedy Delroy stosował sposób dobrze znany zdesperowanym rodzicom noworodków - woził małą samochodem po okolicy, aż zasnęła.

Kiedy Nikita miała trzy miesiące, kolki minęły. Była cudownym, grzecznym dzieckiem. Nie sprawiała żadnych problemów. Ludzie na ulicy się nią zachwycali, bo w dodatku była śliczna. Uwielbiałam ją, czułam, jakby była częścią mnie samej. Jej bezwarunkowa miłość była balsamem dla mojej duszy, kojącym życiowe rozczarowania. Wielu młodym matkom, z którymi się zetknęłam, ogromnie pomagały rodziny. A ja marzyłam, żeby serce mamy się odmieniło i aby wraz ze mną cieszyła się Nikitą. Ona jednak wiecznie była ze wszystkiego niezadowolona.

Narzekąca, że mam zaledwie siedemnaście lat, że Delroy jest dla mnie zupełnie nieodpowiedni. Staralam się nie myśleć o tym, że własna matka traktuje mnie chłodno, ale i tak cierpiałam. Wszystko bym wtedy dała za jej jedno dobre słowo.

Póki karmiłam Nikitę piersią, trzymałam się z dala od narkotyków. Niespodziewanie pokarm się skończył. Z początku nawet tego nie zauważyłam i kiedy któregoś dnia mała płakała bez końca, nie zdawałam sobie sprawy, że nie ma czego ssać. Dopiero sąsiadka usłyszała jej krzyk i domyśliła się, że to z głodu. Poszła do sklepu i kupiła mleko dla niemowląt. Nikita wypiła całą butelkę i od razu zasnęła. I tak karmienie piersią się skończyło, a ja znowu zaczęłam brać.

Często zostawiałam Nikitę pod czyjąś opieką, a sama szłam ze znajomymi do klubu. Brałam wtedy ecstazy i żeby trochę zarobić, sprzedawałam eski innym. Nie miałam stałej pracy, wiecznie mi brakowało pieniędzy. Czułam się coraz bardziej dorosła i niezależna, obracałam się głównie w kręgu rówieśników. Związek z Delroym pomału się kończył. Wolałam towarzystwo przyjaciół, a poza tym nie potrzebowałam tak rozpaczliwie jak kiedyś, żeby mnie ktoś chronił.

Nikt z moich znajomych nie pracował, ja jednak chciałam coś dalej w życiu robić i kiedy skończyłam osiemnaście lat, zatrudniłam się w kawiarence internetowej. Koledzy z pracy projektowali strony internetowe i wiele się od nich nauczyłam o komputerach i informatyce. Miałam satysfakcję, że nie żyję wyłącznie z zasiłku, ale i tak nie zasłużyłam na upragnioną pochwałę mamy.

- Hmm - mruknęła, dowiedziawszy się o mojej pracy. - Ale to tylko dorywcze zajęcie.

Bardzo chciałam, żeby choć raz powiedziała: „Brawo, świetnie”. Nigdy tego od niej nie usłyszałam.

Aby zapomnieć o smutkach, rzuciłam się w wir pracy i klubowych imprez, zatraciłam w muzyce i ecstazy. Handlowałam eskami, co nie przynosiło zbyt dużych zarobków, ale gdy doszła jeszcze wypłata z kawiarenki, można było jakoś przeżyć.

Mój ojciec w końcu się ożenił. Pauline była cywilnym pracownikiem ministerstwa obrony i na kilka miesięcy przed urodzeniem się Nikity przenieśli się do bazy wojskowej w Niemczech. Wydawało się, że jest szczęśliwy, aż tu nagle pewnego wieczoru odebrałam od niej telefon.

- Twój ojciec się zabił. Znaleźli go w samochodzie na terenie bazy.

Ogromnie to przeżyłam. Tata zawsze sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia. Nie widziałam najmniejszego powodu, dlaczego miałby popełnić samobójstwo, i nie bardzo w to wierzyłam.

- To prawda, Natalie. Zostawił list pożegnalny. - W jej głosie zabrzmiała wyraźna irytacja.

Odłożyłam słuchawkę, cała roztrzęsiona i absolutnie pewna, że tata nie mógł odebrać sobie życia. Zadzwoiłam do mamy, podobnie jak ja była wstrząśnięta. Choć związek rodziców dawno się rozpadł, mama chyba ciągle coś do ojca czuła. Obie się popłakałyśmy.

- Nie mogę uwierzyć, że się zabił - powtarzałam w kółko. Zadzwoiłam nawet na policję i poprosiłam, żeby przeprowadzono śledztwo w sprawie jego śmierci, ale odpowiedzieli mi,

że nic nie mogą zrobić - nie mają jurysdykcji na terenie należącym do ministerstwa obrony. Do dziś nie udało się wyjaśnić okoliczności śmierci taty.

Próbowałam nie myśleć o tych wszystkich bolesnych przeżyciach i ochoczo rzuciłam się w wir zabaw i przyjemności. Moi nowi znajomi byli weseli, lubili zaszaleć i jeździli dobrymi samochodami. Pod względem towarzyskim było fantastycznie i cieszyłam się, że należę do ich grona.

I wtedy poznałam Johna, który kiedyś był uzależniony od heroiny i przez dwanaście lat co chwila lądował w więzieniu. Zaprzyjaźniliśmy się, spędzał u mnie wiele czasu. Kiedyś z dumą oznajmił, że z zasiłku kupił nowy dres, a nie narkotyki. Dopiero później zrozumiałam, dlaczego był to tak wielki wyczyn, ale wówczas zdziwiło mnie to jego zadowolenie. Dilerzy wiedzieli, że John ma sporo kontaktów, i namówili go na sprzedawanie prochów. Musiałam zrezygnować z mojego handlu ecstasy, bo John przejął moich klientów. Ale lubiłam jego towarzystwo. Poznał mnie ze swoimi znajomymi, a mnie bardzo to dowartościowało, bo odtąd bywało u mnie wiele osób. Miałam własne mieszkanie, a moi goście przeważnie mieszkali u rodziców, więc chętnie się u mnie spotykali.

Oboje z Delroyem coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Nadal przychodził, ale nie sypialiśmy już ze sobą. Pewnego dnia pojawił się u mnie z rzeczami. Domyśliłam się od razu, że żona go wyrzuciła. Gdyby to się stało, kiedy urodziła się Nikita, byłabym wniebowzięta, ale teraz już go nie kochałam.

Rozstaliśmy się ostatecznie, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Trochę żałowałam, bo był moim pierwszym prawdziwym

kochankiem i ojcem mego dziecka, ale jednocześnie czułam ogromną ulgę.

Z nowymi przyjaciółmi często jeździliśmy od pubu do pubu trzema lub czterema samochodami. Świetnie się bawiliśmy, zwłaszcza gdy jeszcze dopisywała pogoda. Tamto lato w ogóle było wyjątkowe: dotąd uważam je za najprzyjemniejszy okres w moim życiu. Dużo wychodziłam z domu i wszędzie zabierałam ze sobą Nikitę. Jej obecność wszędzie akceptowano bez zastrzeżeń.

Właśnie wtedy zaczęłam brać za dużo. John poznał mnie z pewną kobietą, dziesięć lat ode mnie starszą, zamężną, matką trójki dzieci. Niczym się nie przejmowała, oboje z mężem prowadzili bujne życie erotyczne, mąż wyszukiwał jej kochanków i przywoził do domu. Mieszkała bardzo elegancko, miała mnóstwo pieniędzy i szastała nimi bez opamiętania. Szukała coraz intensywniejszych przeżyć, dreszczyku emocji. Pod paroma względami była podobna do mnie i to zajej namową zaczęłam brać więcej ekstazy, choć prawdę mówiąc, wcale nie potrzebowałam już wtedy namawiania.

Poznałam Tima. Był w moim wieku, przystojny i sympatyczny. Zwierzył mi się, że dotąd nie miał dziewczyny na poważnie. Na pierwszej randce wyszliśmy gdzieś razem, potem wróciliśmy do mnie i spędziliśmy noc przytuleni do siebie na kanapie. Powiedział, że ponieważ nie był przedtem w żadnym związku, nie chce, żeby wszystko działo się za szybko. Po kilku tygodniach zaprosił mnie do domu i przedstawił rodzicom. Okazali się przemili. Nie zaznałam nigdy takiej

serdecznej i ciepłej atmosfery i pomyślałam sobie wtedy, że właśnie taką rodzinę chciałabym mieć. Kompletnie straciłam dla niego głowę.

Byłam absolutnie przekonana, że to miłość na całe życie, a tak naprawdę zawróciła mi w głowie atmosfera słonecznego lata oraz narkotyki i rozkoszne poczucie, że jestem z miłym, przystojnym facetem.

Szczęście nie trwało jednak długo. Nagle stwierdził, że nie chce już ze mną być. Pierwszy raz w życiu spotkało mnie coś takiego. Byłam zupełnie bezradna. Zawsze to ja o wszystkim decydowałam, więc kompletnie nie radziłam sobie z odrzuceniem.

Jeden z chłopaków z mojego klubowego towarzystwa palił crack, rodzaj kokainy. Już wcześniej tego próbowałam i stwierdziłam, że na mnie nie działa. Pewnego razu dał mi zapalić ponownie. Tym razem efekt był zupełnie inny: intensywny, euforyczny odlot, pierwszy taki w życiu. Od tej chwili zakochałam się w małej szklanej fifice. Wrażenia po cracku były tak przyjemne, że chciałam coraz więcej. Jakiś czas paliłam tylko dla przyjemności, bez przymusu. Na moje nieszczęście poznałam Sabrinę, o której mówiono, że jest mocno uzależniona. Była to ciemnoskóra dziewczyna, o krępej budowie ciała, z silnie skręconymi włosami, o które w ogóle nie dbała, tylko upychała je pod dzinsową czapkę. Nieprzyjemnie pachniała, bo niezbyt często się myła. W życiu zajmowała się głównie zdobywaniem cracku i paleniem.

Całe moje dotychczasowe życie legło w gruzach dosłownie w ciągu kilku tygodni. Najpierw przeżywałam strasznie to,

że rzucił mnie tamten facet. Potem zaczęli mnie unikać znajomi. Oni palili crack tylko dla przyjemności i nie podobało im się, że się coraz bardziej uzależniam. Częściej niż u mnie bywali u mieszkającej nade mną matki chrzestnej Nikity. Byłam wściekła. Oni też mnie zdradzili i porzucili, jak tamten.

„Dlaczego wiecznie siedzą u niej?” - szalałam z zazdrości. I dokładnie w tym momencie, kiedy byłam w największej rozpacz, do moich drzwi zapukała Sabrina. Ludzie jej pokroju mają niesamowitego nosa do wyczuwania nieszczęśliwych osobników, którzy nie dadzą się długo namawiać do poszukania ukojenia w narkotykach.

- Masz, zapal sobie - powiedziała, widząc mój stan. Gdy tylko wciągnęłam dym do płuc, natychmiast przestałam myśleć o tym, że mój kolejny związek się rozpadł, a przyjaciele się odwrócili. Odtąd wcale mi nie przeszkadzało, że gdy już kupiłam jedzenie dla Nikity, wszystko, do ostatniego pensa, szło na crack. Od tego momentu zaczęłam się staczać.

Wzależnienie

Kiedy crack złapie kogoś w swoje sidła, upadek jest szybki, bolesny i nieunikniony. Od wizyty Sabriny nie było już dla mnie ratunku. Zostałam niewolnicą szklanej fiki. Oprócz cracku nic mnie nie interesowało. Dbałam jedynie o to, żeby Nikita była umyta, ubrana i najedzona. Crack zabija uczucia, więc już nie bolała zdrada przyjaciół, nie obchodziły mnie krytyczne uwagi mamy i zupełnie przestało mi zależeć na tym, żeby zrobić coś ze swoim życiem. Całą przestrzeń wypełnił crack.

Dużo później dowiedziałam się, że dwaj znani dilerzy zapłacili Sabrinie, żeby mnie wciągnęła. Było to podłe i cyniczne, a ja jak ta głupia połknęłam haczyk. Nawet mi nie przyszło do głowy odmówić. Sabrina przychodziła teraz codziennie i przynosiła crack, a ja nawet nie starałam się zrozumieć, dlaczego nie żąda niczego w zamian. Stopniowo, ledwo dostrzegalnie, sytuacja się zmieniała. Potem już sama kupowałam

i paliłam to, co przynosiła. Palacz cracku nigdy nie ma dosyć, nigdy nie jest w stanie zaspokoić bolesnego pragnienia. Staje się coraz bardziej zachłanny. Zasiłek znikał, zanim kupiłam jedzenie i zapłaciłam rachunek za gaz.

Sabrina w ogóle się nie przejmowała, że jest uzależniona. Ja natomiast cały czas próbowałam to ukryć. Nie dopuszczałam tego do siebie, jakby to ktoś inny, nie ja, pogrążał się w coraz większym koszmarze. Regularnie odwiedzałam diler - starałam się robić to po kryjomu, ale zaglądałam do niego coraz częściej.

Gdy zaczęłam stale palić, najpierw zrobiłam się gadatliwa, a potem wręcz przeciwnie, miałam trudności z porozumieniem się z ludźmi, jakby moje usta były czymś zalepione. Zdradzałam objawy paranoi. Ciągle się bałam, że ktoś po mnie przyjdzie i coś mi zrobi. Stale wyglądałam ukradkiem na ulicę, chowając się za zasłoną. Przedtem nieraz widziałam takie zachowanie u innych i odnosiłam się do tego z pogardą. A potem sama zachowywałam się kompletnie irracjonalnie. Gdy myślę o tym teraz, jako osoba wolna od narkotyków, naprawdę nie rozumiem, czemu tyle paliłam, skoro tak fatalnie się później czułam. Wtedy jednak wszystko to zdawało się mieć sens. Czasem myślałam, żeby przestać, ale nie potrafiłam zdobyć się na taki wysiłek. Co dzień rano po przebudzeniu mówiłam sobie, że będzie to mój ostatni dzień na cracku. I codziennie wędrowałam po schodach do mieszkania znajomego *yardie*, czyli członka jamajskiego gangu, i kupowałam następną porcję.

Uzależnienie od cracku charakteryzuje się ciągłą zmianą nastrojów, od euforii po kompletny dołek. W pewnym

szczególnie rozpaczliwym momencie zadzwoniłam do mamy i zaczęłam płakać w słuchawkę. Nie miałam już siły kręcić się dalej na tej szalonej karuzeli, na którą sama przecież wskoczyłam. Rzadko się wtedy widywałam z mamą. Nie wiedziała nic o narkotykach, ale musiała się domyślać, że dzieje się coś złego.

Zadzwoniłam do niej o północy i błagałam, żebym mogła do niej przyjechać.

- Mamo, proszę cię. Życie kompletnie mi się wali. Jestem do niczego. Mogę przyjechać do domu? - Pierwszy raz poprosiłam ją wtedy o pomoc.

- Wiesz, która jest godzina? Dochodzi dwunasta - odparła sucho i odłożyła słuchawkę. A ja naprawdę myślałam, że jak pojedę do domu, wszystko się odmieni. Mama nigdy nie wracała do tej rozmowy. Zraniona jej odrzuceniem pobiegłam po nowy zapas cracku, żeby zagłuszyć ból.

Chciałam skończyć z takim życiem. Miałam nadzieję, że mama pomoże mi się odnaleźć. Teraz, gdy o tym myślę, rozumiem, dlaczego uciekała ode mnie: bała się złego wpływu na dzieci, które miała z Alanem. Byłam roztrzęsiona i pewnie pomyślała, że jak okaże mi surowość, to się sama jakoś w końcu pozbieram.

Sabrina była jedną z wielu angielskich dziewcząt, które żeby mieć na crack, wyszły za *yardie*, czyli jamajskiego gangstera. Największym draniem z nich wszystkich był Wayne, mąż Sabriny.

Pewnego dnia, kiedy siedziałam u niego i musiałam mieć wyjątkowo nieszczęśliwą minę, niespodziewanie spytał:

- A co byś powiedziała na słońce, morze oraz piasek? Wakacje na Jamajce? Przywieziesz z powrotem kokainę, a ja dobrze ci zapłacę.

- Jak to sobie wyobrażasz? — Od razu zainteresowałam się tą propozycją.

- Polecisz na nasz koszt i wymyślimy jakąś historyjkę. Zabierzesz ze sobą Nikitę.

- Dobra, wchodzę w to. - Człowiek uzależniony od cracku w ogóle nie myśli o konsekwencjach. Życie toczy się z dnia na dzień i ważne jest tylko to, żeby zdobyć narkotyk.

W tydzień po rozmowie z Wayne'em byłam w drodze na Jamajkę. Przedtem musiałam pojechać do Londynu załatwić paszport - nie miałam go dotąd, bo nie wyjeżdżałam za granicę. Poza tym w ogóle się niczym nie przejmowałam, z wyjątkiem tego, jakie ubrania wziąć dla siebie i dla Nikity na niespodziewane wakacje w gorącym klimacie. Nawet mi do głowy nie przyszło, że mogę się wpakować w kłopoty. Miałam głębokie przekonanie, że jakoś uda mi się pokonać każdą trudność w życiu.

Wayne mnie uprzedził, żeby o niczym nie mówić Sabine, ale ja nie widziałam powodu, dlaczego nie miałabym jej powiedzieć o tym wyjeździe. Ucieszyła się, bo doskonale wiedziała, że wszystko, co zarobię, wydam na narkotyki, więc po moim powrocie będzie mogła przyczepić się do mnie jak pijawka i też jej coś skapnie.

Droga na lotnisko minęła mi w euforii. Nigdy przedtem nie leciałam samolotem. W turystycznych folderach reklamujących Jamajkę widziałam zdjęcia okolonych palmami plaż i turkusowego morza. Nie mogłam się już doczekać obiecanych wakacji.

Kiedy wysiadłam z samolotu, uderzyła mnie potężna fala gorąca. W Anglii nawet w największy upał nigdy nie było takiego skwaru. Wayne kazał mi wziąć taksówkę do hotelu, w którym zarezerwował dla mnie pokój. Droga była strasznie wyboista, w jezdni były potężne dziury. Gdyby samochód wpadł w którąś z nich, podwozie z pewnością by się uszkodziło. Wyspa była piękna, ale tutejsza bieda po prostu mnie zszokowała. Wzdłuż drogi stały nędzne rudery, między którymi biegały bose, obdarte dzieci.

Wayne zamówił mi pokój w podrzędnym hoteliku w Montego Bay. Ściany, może kiedyś białe, teraz były dosłownie czarne. W pokoju po podłodze przemykały ogromne karaluchy, basen był brudny. Bałam się, że nie wytrzymam bez cracku, a tymczasem odczuwałam wręcz ulgę. Z dala od swojego środowiska i jego pokus zupełnie nie miałam ochoty palić. Bardzo dużo zajmowałam się Nikitą. Tak się cieszyła, że jest ze mną, a ja czułam ogromne wyrzuty sumienia, gdy widziałam to niewinne, ufne spojrzenie. W domu nie miałam dla niej tyle czasu.

Kiedy już po godzinie udało mi się dodzwonić do Wayne'a, kazał mi czekać w hotelu najakichś ludzi, ale nie chciał powiedzieć, kiedy dokładnie przyjdą. Kilka godzin później zjawili się dwóch mężczyzn, z krótko przyciętymi włosami. Wyglądali sympatycznie.

— Jak tam Wayne? - spytał jeden.

- Ma u nas ksywkę Półmóźdzek. Ze zrozumiałych względów - odparłam. Obaj wybuchnęli śmiechem.

Przyjechali eleganckim białym jeepem i zabrali mnie do Runaway Bay nad morzem. Było *tam jeszcze* gorzej niż w pierwszym hotelu, w dodatku z dala od turystycznych miejsc, gdzieś daleko, wśród samych Jamajczyków.

Okazało się, że miejsce, w którym mnie umieścili, to wcale nie hotel, tylko duży dom z wieloma pokojami, a goście sami musieli sobie gotować. Kucharka ze mnie była żadna, w dodatku nie miałam pojęcia, jak się gotuje jamajskie potrawy. W obskurnym salonie stały mocno sfatygowane fotele, na których nigdy nikt nie siadał, w budynku nie było klimatyzacji, za to karaluchów biegło jeszcze więcej niż w poprzednim hotelu. Cykady hałasowały całą noc, doprowadzając mnie do szału. Później w Wenezueli polubiłam ten charakterystyczny dźwięk i wręcz trudno mi było zasnąć w ciszy.

Całe dwa dni przesiedziałam w tej norze, nudząc się jak mops. Niedaleko odbywała się jakaś impreza. Pomyślałam, dlaczego muszę tu tkwić, zamiast beztrudno tańczyć?

Zadzwoiłam do Wayne'a i ubłagałam go, żeby mnie przeniósł gdzie indziej. Zgodził się i jego znajomi zawieźli mnie do Discovery Bay, sąsiedniego miasta, też na wybrzeżu. Hotel był dużo lepszy i z basenem, w którym obie z Nikitą kąpałyśmy się codziennie. Jedzenie też okazało się dużo lepsze.

Pewnego wieczoru zadzwonił zdenerwowany Wayne i oświadczył, że nie będę wieść żadnych narkotyków.

- Ty idiotko, powiedziałaś Sabrinie, a ona rozpałała wszystkim dokoła. Policja i służby celne tylko czekają, żebyś się zjawiła. To ten Jamajczyk, od którego kupujesz crack, dał cynk policji, bo chce się pozbyć konkurencji.

Diler o imieniu Fitz był największym rywalem Wayne'a. Sabrina niechętnie oddała mi przysługę. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że nie muszę wieść narkotyków. Dużo myślałam podczas pobytu na Jamajce. „Co ja tu, psia krewo, robię? Po cholere mam szmuglować prochy? - myślałam sobie. - Do reszty chyba zwariowałam". Zgadzałam się na tę podróż, nie pomyślałam o konsekwencjach dla siebie i dla Nikity, gdyby mnie złapano. Po telefonie od Wayne'a zrobiło mi się smutno. Chciałam wracać do domu. Długo już nie widziałam moich przyjaciół i teraz nagle do nich zatęskniłam.

Kilka dni później leciałam już z powrotem do domu. Jak tylko wysiadłam z samolotu, celnicy rzucili się na mnie jak hieny.

— Gdzie pani była? W jakich hotelach pani mieszkała? — dopytywali się. Podejrzewali, że połknęłam narkotyki, i chcieli mnie zawieźć do szpitala na prześwietlenie.

- Nie ma mowy - zaprotestowałam stanowczo. - Jestem z dzieckiem i żądam, żeby ktoś z opieki społecznej się nim zajął. Skoro mnie zabieracie, mała musi mieć odpowiednią opiekę. Oddam ją tylko pracownikowi socjalnemu.

W końcu pozwolili Nikicie jechać ze mną. Zdjęcie nic nie wykazało, więc puścili mnie wolno. Najwyraźniej byli bardzo pewni swego, ponieważ sprawiali wrażenie kompletnie zaskoczonych.

Pierwsze, co zrobiłam po powrocie do domu, to pobiegłam po działkę. Nie rozumiem, czemu to zrobiłam. Tak mi było dobrze na Jamajce, kiedy nie paliłam. I wcale mnie nie ciągnęło. A jak tylko wróciłam do domu, natychmiast uległam pokusie.

Crack to wyjątkowo podstępny narkotyk. Uzależniłam się znowu, jeszcze silniej niż poprzednio.

Po niepowodzeniu pierwszej wyprawy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś coś z tego będzie. Ale jakiś czas potem znajomy Wayne'a powiedział, że ktoś z Londynu szuka kuriera, który by przywiózł towar z Wenezueli. Dodał, że Wayne ma ochotę oskubać tamtego, i namówił mnie, żebym to ja leciała.

Wyglądało to dość podejrzanie, ale nie miałam nic lepszego do roboty, więc postanowiłam spotkać się z tamtym. Nieoczekiwanie wysłał do mnie z Londynu swojego człowieka. Czarnoskóry, mówiący z londyńskim akcentem Brytyjczyk, wyglądał całkiem sympatycznie. Przedstawił się jako Leroy. Pogadaliśmy, przekonał się, że nie jestem policyjną wtyką, i powiedział, że odwiezie mnie pociągiem do Londynu razem z Nikitą. Nie wiedziałam, że właśnie zaczyna się nowy, jeszcze gorszy okres w moim życiu.

Pierwsze kroki

Leroy miał ładne mieszkanie, które dzielił z Jamajką o imieniu Marcia. Miał też dziewczynę, a że często ktoś u niego nocował, przekonała ją, że pracuje w branży muzycznej i jest łowcą talentów. Marcia zdradziła mi, że na pewno powiedział jej, że jestem piosenkarką.

Wieczorem wyszliśmy z Marcją na miasto. Wiedziała, że mamjechać po narkotyki dla Tony'ego, szefa Leroya.

Wkrótce po naszym powrocie u Leroya zjawił się sam Tony. Był Jamajczykiem o czarnych kręconych włosach. Gdy chciał i się starał, mówił nienaganną angielszczyzną, bez śladu akcentu. Ubrany był w prosty dres Nike'a. Sam raczej nie palił cracku, a w ogóle wyglądał na sympatycznego faceta.

Przywiozłam crack ze sobą i cichcem popalałam w łazience. Ponieważ akurat dałam sobie nieźle czadu, dość trudno mi się rozmawiało, choć bardzo się starałam udawać, że jestem czysta.

Tony nie tracił czasu i od razu przeszedł do sprawy. Zaraz na wstępie powiedział:

- Pojedziesz na fajne wakacje i przywieziesz narkotyki w walizce. Połowę forsy dostaniesz teraz, połowę po powrocie.

Chętnie się zgodziłam. Brzmiało to aż za dobrze.

- No, to w drogę - rzekł do mnie. - Musimy jeszcze zabrać kilka osób.

Powiedziałam mu, że ktoś chce mu zrobić brzydki kawał, i dodałam, że naprawdę chcę przywieźć dla niego te narkotyki. Śmiał się, kiedy mu opowiedziałam o zamiarach Wayne'a.

- Sama widzisz, że bardziej się oplaca trzymać ze mną. Chciałbym zobaczyć, jak ktoś mnie robi w konia - dodał, w ten sposób zaznaczając, że faceci, których znam, to w porównaniu z nim amatorzy. Rozmawialiśmy dość swobodnie. Przyznał, że nie lubi tutejszych *yardie* i że jego zdaniem przynoszą wstyd całej Jamajce.

Najpierw z typowego ponurego bloku mieszkalnego zabraliśmy niejakiego Joego, wysokiego, szczupłego dwudziestoparolatka. Potem pojechaliśmy po Angie. Była to pulchna, zadbana kobieta po trzydziestce.

Nie znałam Londynu i nie wiedziałam, w której części miasta jesteśmy, ale widać było, że Angie mieszka w lepszej dzielnicy. Następnie pojechaliśmy do szpitala, gdyż partnerka Tony'ego właśnie urodziła dziecko. Gdy on poszedł ją odwiedzić, my czekaliśmy w samochodzie. Angie powiedziała, że Tony ma dzieci z różnymi kobietami, ale jest bardzo odpowiedzialny i dba o potomstwo, nawet wówczas gdy rozstaje się z partnerką. Nie był to żaden *yardie* ani żaloszny palant jak Wayne, tylko poważny człowiek biznesu. Dotąd nie spotykałam takich ludzi jak on czy Angie. Weszłam w zupełnie nowy świat.

Codziennie postanawiałam, że rzucę palenie, teraz doszła dodatkowa motywacja. Wolna od nałogu, skuteczniej mogłabym prowadzić taką działalność jak Tony czy Angie. „Jak przestanę palić, będę lepszą mamą dla Nikity” - przyrzekałam sobie. Siedząc wtedy w samochodzie, rozważałam różne możliwości, a moje myśli gnały jak szalone. „Najważniejsze, że praca da mi stały dochód i będę mogła zapewnić jej bezpieczną przyszłość. Popracuję trochę w branży, a jak już stanę na nogi, to pójdę do college'u”.

Przytuliłam Nikitę, która siedziała obok i jak zwykle spoglądała na mnie ufnie.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęłam do niej.

Wizja życia bez cracku tak mnie pochłonęła, że nawet straciłam ochotę na dymka. Co za ulga, myślałam sobie, przebywać z ludźmi, którzy nie palą tego świństwa. Człowiek przestaje wtedy o tym myśleć. Gdy tylko znalazłam się z dala od pewnych osób i miejsc, bez problemu potrafiłam nad sobą zapanować.

Tony spędził w szpitalu jakieś piętnaście minut, po czym pojechaliśmy dalej. Nie wiedziałam, dokąd nas wiezie, ale czasem nie należy zadawać pytań. Tony jeździł zwykłym, kilkuletnim samochodem, nie żadną olśniewającą limuzyną jak dilerzy. A to już dobrze o nim świadczyło. Był zawsze spokojny i grzeczny. Nie obnosił się ze swoim bogactwem jak jamajscy gangsterzy jeżdżący bmw, obwieszeni ciężkimi złotymi łańcuchami.

Wreszcie zebrałam się na odwagę i spytałam, dokąd jedziemy.

— Już prawie jesteśmy na miejscu. Zaraz będziemy w domu
- odparł.

Mogłam sobie darować pytanie, bo wcale nie byłam teraz wiele mądrzejsza.

Kilka minut później zatrzymaliśmy się przed niskim budynkiem. Dochodziła siódma, zaczynało się ściemniać.

- Stąd jest około dwudziestu minut do portu w Harwich - odpowiedział Tony na moje niewypowiedziane pytanie. Do domu prowadził szeroki, wysypany żwirem podjazd, w ogrodzie stały rzeźby. Wyglądało to bogato i okazałe, ale gdy tylko przestąpiłam próg, od razu wiedziałam, że nikt tu nie mieszka na stałe. Był to najwyraźniej punkt przerzutowy i miejsce noclegowe w drodze do portu.

Dom był duży i nowoczesny, w salonie stały sofy z jasną skórzaną tapicerką. Dostałyśmy z Nikitą ładny pokój z łazienką. Szafki w kuchni miały marmurowe blaty, basen był osłonięty plastikowym dachem. Był jeszcze garaż, w którym stały dwa jaguary, oraz mały domek z sauną suchą i parową. Do tego wszystkiego dochodził wspaniały system kina domowego zamiast zwykłego telewizora.

Wszystko bardzo mi zaimponowało. Od razu zaczęłam marzyć, jak to kiedyś sama będę mieszkać w takim miejscu.

Tony kupił dla nas chińskie jedzenie na wynos i przystąpił do objaśniania dalszych planów.

- Najpierw zrobicie próbny wypad do Holandii i przywieziecie stamtąd towar. - Dodał, że zapłaci mi trzy tysiące funtów, a potem spokojnie sięgnął do portfela i wręczył trzecią część tej sumy.

Angie wtrąciła, że razem z Joem będą płynąć tym samym promem, ale mam się nie przyznawać, że ich znam. Narkotyki

przewiozę na sobie, więc muszę mieć luźne ciuchy. Nie spytałam nawet, co i ile będę wiozła, tylko powiedziałam:

- Ale ja nie mam żadnych luźnych ciuchów.
- Tym się nie przejmuj. Kupimy.

Tej nocy spałam głęboko, zmęczona po podróży i pełna wrażeń. Głęboko wierzyłam, że szczęście mi sprzyja i życie teraz się zmieni.

Następnego ranka Tony odwiózł nas na statek płynący do Hoek van Holland. Bardzo mi się podobało na promie, całą podróż przesiedziałam z Nikitą w sali zabaw dla dzieci. Z rozczuleniem patrzyłam, jak wspina się na plastikową zjeżdżalnię. Ostatni raz paliłam w łazience u Leroya i mózg pomału uwalniał się od narkotykowego oparu. Na trzeźwo doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie mogę kochać jednocześnie mojej córeczki i cracku. Obiecałam sobie solennie, że odtąd na pierwszym miejscu będzie dziecko i wszystkie zarobione teraz pieniądze przeznaczę wyłącznie na jej potrzeby.

Prom przybił do portu. Z Joem i Angie spotkaliśmy się już na lądzie i poszliśmy do jakiegoś pubu. Zdziwiłam się, że wszyscy mówią po angielsku. Angie dała mi kilka praktycznych wskazówek i opowiedziała trochę o sobie.

- Ludziom się zdaje, że jestem poważną bizneswoman - zaśmiała się na koniec. - I bardzo dobrze. Możesz zaufać Tony'emu. To przyzwoity gość. Znacznie lepszy niż większość w tym biznesie.

Tony opowiedział jej, że miałam go oskubać. Ją też to rozbawiło. Oboje wyraźnie dawali do zrozumienia, że uważają *yardies* za amatorów i że teraz znalazłam się wśród profesjonalistów.

Hamid, ich znajomy, Marokańczyk, który słabo mówił po angielsku, zawiózł nas do Holiday Inn w Rotterdamie. Z hotelu zadzwoniłam do Eve, mojej przyjaciółki, i powiedziałam, gdzie jestem i co robię. Bałam się, że Tony, Joe lub Angie mogą podsłuchiwać, więc starałam się mówić prawie szeptem.

Eve się wściekła.

- Ty najarana idiotko! Kompletnie ci odbiło?

- Nie martw się, Eve. Wiem, co robię. - Starałam się sprawiać wrażenie, że w pełni panuję nad sytuacją.

Zadzwoniłam też do mamy i powiadomiłam ją, że jestem w Holandii.

- Co ty tam robisz? Skąd wzięłaś pieniądze? Uważaj na siebie - przestrzegła.

Razem z Angie i Joem poszliśmy do restauracji coś zjeść. Potem Joe oświadczył, że idzie i już się więcej nie zobaczymy. Patrząc na niego, trudno było się domyślić, że handluje narkotykami. Sprawiał wrażenie statecznego intelektualisty. Nosił małe okrągłe okulary, a teraz jeszcze pod pachą trzymał kilka książek. Ale raczej nie należało zadawać pytań, dokąd idzie.

Na Jamajce ciągle się denerwowałam i byłam zdana na siebie. Tu czułam się dużo spokojniej. Czuwano nade mną, cały czas miałam przy sobie Angie.

Po kolacji wróciłam do pokoju. W ogóle się nie przejmowałam tym, że mam wieść narkotyki. Byłam przekonana, że nie wzbudzę żadnych podejrzeń. Następnego ranka przyjechał po nas Hamid. Płacąc rachunek, nawet okiem nie mrugnął, kiedy się wydało, że dzwoniłam za granicę i korzystałam z minibaru.

- A teraz kupimy coś ładnego - uśmiechnął się.

Pojechaliśmy kupić dla mnie jakiś luźny ciuch. Angie zaproponowała swoją pomoc. Nałóg sprawił, że byłam wtedy bardzo chuda. Ciągłe spoglądałam na metki, aż Angie w końcu powiedziała:

- Bierz, co ci się spodoba, i nie patrz na cenę.

Doradziła mi luźny, ale wcięty żakiet. Twierdziła, że najlepiej schować narkotyki właśnie pod czymś takim.

Kupiłam też ubranka dla Nikity i złoty zegarek. To była wielka frajda, tak zaszaleć w sklepach.

Potem Hamid zawiózł nas do jakiegoś mieszkania. Drzwi otworzyła miło uśmiechnięta blondynka. Angie uprzedziła mnie wcześniej, że stąd odbierzemy towar.

- A ty będziesz coś wiozła? — spytałam.

- Nie, tym razem nie.

Hamid i właścicielka mieszkania zajęli się Nikitą i zabrali ją do pokoju obok, gdzie był telewizor.

Ja poszłam z Angie do sypialni. Po chwili Hamid przyniósł zawinięte w czarny plastik paczuszki i położył na łóżku. Za pomocą szerokiej taśmy klejącej Angie zamocowała je na moim ciele: dwie na brzuchu, dwie na plecach i po jednej z każdego boku.

Nie bałam się, czułam jedynie dreszcz emocji. Ani przez moment nie pomyślałam, że mogą mnie złapać. Gdy teraz to sobie przypominam, kompletnie nie rozumiem, jak mogłam się tak nieodpowiedzialnie zachować. W pokoju obok była przecież moja córeczka, zdana całkowicie na mnie. A ja, jak idiotka, pozwalałam się oklejać narkotykami.

Angie uprzedziła, że paczuszki będą uwierać, i to w miarę upływu czasu coraz bardziej dokuczliwie. Na statku nie mogłam ich ani poprawiać, ani w ogóle się zdradzić, że mam coś pod ubraniem.

- A potem cię czeka wielka wyprawa do Wenezueli - dodała. Raz tylko wcześniej wspomniano przy mnie o Wenezueli, potem już więcej o tym nie słyszałam.

- Poznasz Alá. Głowę dam, że cię będzie podrywał. Do mnie cały czas się wdzięczył. Ciekawa jestem, czy ci się spodoba.

Wsiadłyśmy na prom. Absolutnie pewna, że nikt mnie nie nakryje, przy wejściu bezczelnie ucięłam sobie pogawędkę z marynarzami.

Jak tylko przestawałam palić crack, natychmiast dostawałam wilczego apetytu. Mój żołądek stawał się workiem bez dna i choćbym nie wiem ile zjadła, nigdy nie mogłam go zapełnić. Na statku była restauracja, gdzie płaciło się tylko za wstęp i potem można było jeść ile dusza zapagnie. Spędziłam tam kilka godzin.

Zgodnie z radą Angie cały czas byłam z Nikitą. Paczki z narkotykami nieznosnie uwierały mnie w żebra, ale dzielnie ich nie poprawiałam, nawet się nie skrzywiłam, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Angie uprzedzała też, że odklejanie jest bardzo nieprzyjemne. Nie mogłam się jednak doczekać tej chwili.

Zeszłam ze statku jako jedna z pierwszych. Z celnikami rozmawiałam swobodnie i przepuścili mnie bez problemu. Angie zadzwoniła do Tony'ego. Przyjechał po nas, zawiózł do tego samego domu i tam mi wypłacił resztę pieniędzy. Moja pierwsza przemytnicza misja zakończyła się pełnym sukcesem.

Angie rozpływała się w pochwałach i twierdziła, że Al na pewno się we mnie zakocha. Tony nic na to nie powiedział, a ja wprost pękałam z dumy, że wszystko poszło jak po maśle. Wreszcie nadeszła długo wyczekiwana chwila, kiedy Angie uwolniła mnie od paczuszek z narkotykami. Odrywanie taśmy od podrażnionej skóry rzeczywiście bolało jak diabli, ale trzy tysiące funtów, które zarobiłam, warte były cierpień.

Tony zabrał narkotyki i zapowiedział, że nazajutrz zawiezie mnie na lotnisko. Zabrzmiało to tak, jakbym się wybierała do supermarketu, a nie do Wenezueli.

Zycie nabrało niesamowitego tempa. Zachwyciło mnie to i wcale nie chciałam zwalniać. Poza domem nie ciągnęło mnie do cracku. Wszystko było dobre, co trzymało mnie z dala od narkotyku, nawet przemyt.

Angie odjechała, zostałyśmy z Nikitą same. Znów rozmarzyłam się o bogatej przyszłości. Oczami wyobraźni widziałam mój dom o minimalistycznym wystroju, z kremowymi meblami i puszystymi dywanami.

Tony powiedział, żebym poszukała sobie w kuchni czegoś do jedzenia albo coś zamówiła. Zadzwoiłam po chińszczyznę.

Gdy zaczęło się ściemniać, ogarnęły mnie wątpliwości co do jutrzejszego lotu. Nagle się przestraszyłam, że wplątałam się w coś, co mnie przerasta. Wołałam jednak o tym nie myśleć i szybko poszłam spać.

Rano, po obudzeniu, zrobiło mi się smutno i poczułam się bardzo samotna. Ten dom, taki piękny, był za bardzo sterylny, wręcz martwy, pozbawiony mieszkańców - nocowali tu tylko przejazdem anonimowi ludzie. Nagle zatęskniłam do zwykłego

życia. Nie znałam nikogo w okolicy, Tony nie mówił, o której przyjedzie, a ja nie miałam jego numeru. Trudno było tak siedzieć bezczynnie, więc zabrałam Nikitę i poszłam przejść się po sklepach.

Czekanie na Tony'ego ciągnęło się w nieskończoność. Nadal nie miałam od niego wiadomości i już zaczęłam się niepokoić, czy mnie przypadkiem nie wystawił do wiatru. Przyjechał dopiero wczesnym wieczorem.

Kiedy wreszcie usłyszałam przekręcany w zamku klucz, poczułam ogromną ulgę. Pierwszy raz rozmawiał ze mną tak długo. Szczegółowo wyjaśnił, jakie są dalsze plany.

- Jutro jedziemy do Holandii, tam kupimy bilety do Wenezueli, a potem podrzucę was na lotnisko w Amsterdamie. Polecisz bezpośrednio na Margaritę... To taka wyspa, gdzie jest dużo hoteli.

Ktoś się do mnie zgłosi na lotnisku w Wenezueli, a potem czekają mnie dwa tygodnie wakacji.

- Narkotyki przywieziesz w walizce. Dostaniesz je w przeddzień wyjazdu. Będę na ciebie czekać w Holandii.

Twierdził, że łatwiej jest przewieźć narkotyki przez Holandię niż prosto do Anglii. Nie wywierał przy tym na mnie żadnego nacisku ani do niczego nie zmuszał, a wręcz przeciwnie.

- Na pewno chcesz jechać? - upewnił się. - Bo nie musisz tego robić.

Powtórzyłam, że oczywiście polecę, i na razie nie poruszaliśmy więcej tego tematu. Nazajutrz pojechaliśmy do Harwich i tam wsiedliśmy na prom do Hoek van Holland. Tony zostawił samochód w porcie. Tym razem mogliśmy się do siebie

przyznawać. Pierwsza rzecz, znowu poszłam do restauracji. Tony nie mógł się nadziwić, ile sobie nakładam na talerz. Gdy zjadłam, posiedziałam z kwadrans, żeby się wszystko w żołądku ułożyło, i poszłam po dokładkę.

Wysiedliśmy w Hoek i pojechaliśmy pociągiem do Amsterdamu - tym razem bez Hamida. Byłam tu po raz pierwszy i przeżyłam lekki szok na widok rozneglizowanych dziewczyn na rolkach, wabiących przechodniów do restauracji i burdeli.

Trochę czasu zajęło nam znalezienie hotelu, który odpowiadałby Tony'emu. Potem pojechaliśmy taksówką do biura podróży, gdzie powitano go jak starego znajomego. Kupił bilety na następny dzień; pewnie dlatego w ostatniej chwili, żeby nasze nazwiska jak najkrócej figurowały na liście pasażerów. Nie zadawałam żadnych pytań.

Po powrocie do hotelu poszliśmy do restauracji i znów najadłam się do oporu. Tony nie miał planów na wieczór i zaproponował, że zajmie się Nikitą, jeśli chcę gdzieś wyjść. Nikita go lubiła, bo był naprawdę miły, więc przystałam na jego propozycję.

Na ulicy od razu podszedł do mnie diler.

- Eska, koka, piguły?

Nim zdążyłam pomyśleć, słowa powiedziały się same:

- Nie, dzięki. Chyba że masz crack.

Miał przy sobie nawet firkę i razem zapaliliśmy w jakiejś bramie. Wyraziłam zdziwienie, że narkotyki, zwłaszcza crack, są w Amsterdamie tak łatwo dostępne i nikt się z nimi nie kryje.

- Normalka — wzruszył ramionami.

Kupiłam od niego fikkę, wróciłam do hotelu i znów zapaliłam. Jak się już raz zacznie, nie można przestać. Kilka razy wychodziłam dokupić więcej. Bałam się, że Tony wyczuje ode mnie specyficzny zapach, ale mimo to przez całą noc coś silniejszego ode mnie kazało mi wymykać się z hotelu po kolejną porcję. Aż mnie przeraził ten brak silnej woli. Rano Tony nic nie mówił, ale dam sobie głowę uciąć, że wszystkiego się domyślił. Najpierw zaspaliśmy, potem pakowaliśmy się w pośpiechu i spóźnieni pojechaliśmy taksówką na lotnisko. Po ostatniej nocy czułam się fatalnie. Już nie byłam taka pewna, czy chcę jechać do Wenezueli.

Przy odprawie bagażowej dowiedziałam się, że przyjechałam za późno i już mnie nie wpuszczą do samolotu.

- Ale przecież samolot jeszcze nie odleciał. Proszę mnie puścić - błagałam.

Tony zachował spokój. Zawsze był opanowany.

- Nie przejmuj się - powiedział tylko. - Polecisz następnym razem.

Wróciliśmy do Hoek i następnym promem mieliśmy płynąć z powrotem do Anglii, tym razem osobno. Kazał mi czekać na siebie po zejściu na brzeg.

Czekałam długo, ale on nie wysiadł z promu. Na szczęście miałam numer Angie, więc w panice zadzwoniłam do niej.

- Stoję przy jego samochodzie. Gdzie on jest? — niemal płakałam.

- Uspokój się. Podzwonię i dowiem się, co się dzieje. - Oddzwoniła dziesięć minut później z wiadomością, że został zatrzymany.

- Ale *przecież* nic nie miał *przy* sobie. - Byłam w szoku. -
Więc jakim cudem? Poza tym myślałam, że jest za sprytny, żeby
dać się złapać.

- W porcie mi powiedzieli, że został aresztowany za jakieś
wykroczenie drogowe. Przyjeżdż do Londynu pociągiem. Zapra-
szam do siebie.

Całą drogę spałam i dopiero w Londynie ktoś mnie obudził.
Angie czekała na dworcu. Zawiozła nas do eleganckiego, prze-
pięknie urządzonego mieszkania.

„Wszystko to z narkotyków” - myślałam z podziwem. Angie
namawiała mnie, żebym została dłużej, ale następnego dnia były
urodziny Nikity i chciałam, żebyje obchodziła z bliskimi.

Po powrocie urządziłam urodzinowe przyjęcie w domu Eve,
mojej przyjaciółki. Nikita spędzała u niej sporo czasu, Eve była
dla niej niemal jak druga matka.

Zaledwie kilka godzin po powrocie znów sięgnęłam po crack,
a potem paliłam jak szalona, jakbym chciała nadrobić zaległości.
Sabrina od razu zwiertzyła forszę i pomagała mi ją przepalić.

Zadzwoiła Angie z wiadomością, że szykuje się następny
lot do Wenezueli. Tony się nie odzywał, teraz Angie się ze
mną kontaktowała. Spytałam ją, co się z nim wtedy stało, a ona
powtórzyła historyjkę o jakimś dawnym wykroczeniu dro-
gowym, które wyskoczyło w komputerze podczas odprawy
na statku. Teraz jestem niemal pewna, że kłamała, ale wtedy
naiwniej jej uwierzyłam.

Zatelefonowałam do mamy i powiedziałam, że dostałam
pracę w sieci sklepów z odzieżą i w związku z tym będę dużo
podróżować w sprawach handlowych. Musiałam coś wymyślić,

żeby wytłumaczyć, skąd nagle mam dużo więcej pieniędzy i dlatego ciągle wyjeżdżam. Nasze kontakty nadal były sporadyczne i bardzo rzadko pomagała mi przy Nikicie. Znow tak bardzo były mi potrzebne słowa wsparcia, właśnie od niej.

Mama często potrafiła być naiwna, ale nawet ona się domyśliła, że nie chodzi o żadną pracę. Zwykle nie kłamię, ale pod wpływem narkotyku miałam taki mętlik w głowie, że już sama nie wiedziałam, co robię i co mówię.

W dzieciństwie na ogół byłam grzeczna i takiego zachowania również później się po mnie spodziewano. Długi czas nie rozumiałam, czemu nasze życie rodzinne zakończyło się totalnym fiaskiem. Teraz wiem, że wystarczy jeden błąd, by poszła za nim cała lawina. Cóż, panowanie nad własnym życiem nigdy nie było moją mocną stroną.

Kilka dni po urodzinach Nikity miałam już rezerwację na samolot do Wenezueli. Tym razem przenocowałyśmy u Angie. Rano przyjechał Tony i zawiózł nas do Harwich.

- Nie daj się znow zaarrestować - zażartowałam.

Uśmiechnął się dziwnie i nie podjął tematu.

Po raz trzeci popłynęliśmy do Holandii. Nocowaliśmy w tym samym hotelu, a ja znow większą część nocy paliłam crack. Nazajutrz wyjechaliśmy wcześniej. W taksówce Tony powiedział, że przewiozę towar tylko do Holandii, do Anglii już nie muszę.

Przed odlotem poszliśmy na kawę. Kiedy siedzieliśmy przy stoliku, instynkt mi podpowiadał, żeby się wycofać. A ja, głupia, to zignorowałam.

Nikita cieszyła się bardzo z wakacji, za to ja czułam dziwny niepokój. Rzadko się denerwowałam - nawet cała obwieszona narkotykami potrafiłam paplać beztrudnie podczas odprawy celnej - ale teraz było zupełnie inaczej. Powiedziałam o tym Tony'emu:

- Mam jakieś dziwne, niezbyt dobre przeczucie.

Zareagował błyskawicznie.

- Nie musisz tego robić. Wiesz dobrze.

- Ale przecież zapłaciłeś za lot i za hotel.

- Pieniądze to głupstwo. Nie rób tego, jeśli nie chcesz.

A zatem nikt mi nie przykładał rewolweru do głowy i miałam mnóstwo okazji, żeby się wycofać. Jednak ten sam głos, który wbrew mnie samej namawiał do palenia, teraz kusił, by jednak wsiąść do samolotu. Zupełnie jakbym miała w sobie jakiś autodestrukcyjny mechanizm, bombę nastawioną na określoną godzinę. Nie umiałam jej rozbroić i pozostało mi jedynie dać się ponieść fali wydarzeń.

- Nie przejmuj się, będzie dobrze - uśmiechnęłam się.

Objął, jak najlepiej przewieźć trefną walizkę.

- Nie idź do odprawy ani za wcześnie, ani za późno. Podejdz, kiedy jest najwięcej osób.

Nie chciał mówić więcej, może się bał, że ktoś podsłuchuje. Zapowiedziano nasz lot i się pożegnaliśmy. Nadal czułam niepokój, ale powtarzałam sobie, że histeryzuję. Uśmiechnęłam się na myśl, jak będę opowiadać o nowej pracy mamie i Alanowi - że niby mam wysokie stanowisko w międzynarodowej firmie i dobrą pensję, a do tego dochodzą zagraniczne wyjazdy i zwrot kosztów.

— Do zobaczenia — zawołałam do Tony'ego. Dziarskim krokiem ruszyłam w stronę wyjścia do samolotu, trzymając za rączkę moją córeczkę.

Najlepsza decyzja w życiu

W samolocie od razu przestałam się martwić i myślałam już tylko o wakacjach. O Wenezueli nie wiedziałam nic, tyle tylko że jest tam gorąco i że będziemy mieszkać w ładnym hotelu z basenem. Lot trwał dziesięć godzin, obie przespaliśmy większość czasu. Po wyjściu z samolotu uderzyła nas fala upału i ogłuszającego dźwięku, który - jak to później odkryłam - wydawały tutaj ogromne ilości cykad.

Weszłam z Nikitą do niskiej i długiej hali przylotów, pełnej turystów, którzy przyjechali na wakacje. Zrobiło mi się jakoś dziwnie. Niby byłam jedną z nich, a przecież przyleciałam w zupełnie innym celu.

Przyjrzałam się osobom czekającym na lotnisku, trzymającym przed sobą kartki z nazwiskami. Byli to przeważnie rezydenci biur podróży, czekający na turystów. Tony obiecał, że zaopiekuje się nami Al, ale nigdzie go nie widziałam. Poczulałam dziwny niepokój i ucisk w żołądku. Zadzwoiłam do Tony'ego. Sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego nieobecnością Al.

- Zaraz do ciebie oddzwonię.

Rzeczywiście parę minut później telefon zabręczał.

- Nie mogę go złapać, ale się nie martw. Znajdź biuro podróży, przez które kupowaliśmy bilet, i z nimi jedź do hotelu.

To był pierwszy zawód. Spodziewałam się, że od chwili przyjazdu zostanę otoczona taką samą troską jak w Amsterdamie. Okazało się, że wszystkie autokary i hotele obsługiwało to samo biuro podróży i ludzie wsiadali do pierwszego pustego autobusu. Razem z turystami z Holandii trafiłam do hotelu Margarita Village. Po drodze przewodniczka opowiedziała w skrócie historię Wenezueli. Hotel zgodnie ze swoją nazwą przypominał małą wioskę. Był to spory kompleks z basenami, restauracjami i barami. Ucieszyłam się na widok basenu, miałam wielką ochotę od razu tam wskoczyć. Nie byłam przyzwyczajona do tak dużego upału i ubranie dosłownie kleiło się do skóry. Niki cie też było gorąco, ale nie narzekała. Humor znacznie mi się poprawił, kiedy zobaczyłam nasz pokój, który był w zasadzie małym domkiem krytym malowniczą strzechą. Zadzwoiłam do Tony'ego i powiedziałam mu, gdzie jestem. Wkrótce potem odezwał się Al.

- Halo, Natalie. Przepraszam, mój angielski niedobry - zaczął. Rzeczywiście, mówił z bardzo silnym akcentem, ale w sumie nie było najgorzej. - Jutro nigdzie nie wychodź, bo przyjdę zobaczyć się z tobą.

- Dobra, w porządku - odparłam.

Spędziłyśmy dzień nad basenem. Było niemożliwie gorąco i wilgotno. W pokoju nie było klimatyzacji, więc ciągle się pociłam, Nikita też. W hotelu byli sami Holendrzy, nie miałam

nawet z kim pogadać. W pewnym momencie przyłapałam się na tym, że z nudów obserwuję mrówki wędrujące po betonowej ścieżce. Chyba jeszcze nigdy czas nie płynął mi tak wolno.

Następnego dnia godziny mijały w równie ślimaczym tempie, a Al się nie zjawiał. Coraz bardziej się denerwowałam. O czwartej straciłam cierpliwość i już miałam zadzwonić do Tony'ego, żeby spytać, co się dzieje, kiedy zatelefonowano z recepcji, że przyszli do mnie goście.

- Niech wejdą.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął Al. Przypominał Berniego Ecclestone'a i zupełnie nie wyglądał na Wenezuelczyka. Jego towarzysz był bardziej w miejscowym typie: wysoki, ciemnoskóry, z dużymi wąsami, wypisz-wymaluj gangster. Al nie przedstawił go.

Wymieniliśmy kilka zdawkowych uprzejmości i Al zaproponował, że nas obwiezie po wyspie.

Od razu poczułam się lepiej. Skoro mam ryzykować i wieźć dla nich narkotyki, dzięki czemu zarobią majątek, to mogą się mną trochę zająć.

Zaprowadzili nas na parking do dużego białego jeepa z przyciemnianymi szybami.

- Wsiadajcie - powiedział Al. - Na co masz ochotę?

- Na zakupy - odparłam. Obie z Nikitą miałyśmy niewiele ubrań na upał, a spodziewałam się, że tak jak w Amsterdamie dostanę wolną rękę i sobie zaszaleję. Al kiwnął głową,

- Dobra. Jedziemy.

Wreszcie mogłam odetchnąć z ulgą. Zaraz zabiorą mnie do sklepów i wydadzą na mnie kupę forsy.

- Co chcesz kupić? - spytał Al.

- Aparat fotograficzny i bikini dla Nikity. Nie przywiozłam dużo rzeczy.

Po powrocie do domu chciałam pokazać znajomym nasze zdjęcia nad basenem.

Pojechaliśmy do centrum handlowego i Al od razu boleśnie sprowadził mnie na ziemię.

- Ty płacisz.

Oczywiście zaprotestowałam.

- Ale ja nie mam pieniędzy! Dostanę dopiero w Anglii.

- W takim razie pojedziemy tam, gdzie jest taniej.

Miał na myśli bazar, ale tu też nie zamierzał za nic płacić.

Spytałam, czy zabierze nas gdzieś następnego dnia i pokaże coś więcej.

- Jutro nie. Będę zajęty - odparł. - Zobaczymy się przed twoim odjazdem.

Jak ja miałam wytrzymać te dwa tygodnie? Nie znałam hiszpańskiego, nie miałam pieniędzy, żeby się gdzieś wybrać. Co gorsza Al nie chciał mi dać swojego numeru, więc nie mogłam się z nim w razie czego skontaktować.

Zapragnęłam, żeby czas minął jak najszybciej i żebyśmy z Nikitą już były w domu.

Na śniadanie podawano owoce i naleśniki. Inne posiłki były różnymi odmianami rozgotowanego na papkę ryżu i fasoli. Uprzedzano nas, żeby nie pić wody z kranu, i choć starałam się tego nie robić, i tak obie dostałyśmy biegunki. Oprócz siedzenia nad basenem nie było w zasadzie nic do roboty. Nikicie się podobało, ja strasznie się nudziłam. Zresztą było za gorąco,

żeby spędzić na dworze cały dzień. Spocona i nieszczęśliwa, zaczęłam tęsknić do zimnej, deszczowej Anglii.

W hotelu zauważyłam pewnego mężczyznę, był w towarzystwie kobiety. Mogli mieć trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Byłam pewna, że przygląda mi się ukradkiem, i zastanawiałam się, czy to Al go nie przysłał.

Trzeciego dnia, gdy bezlitośnie prażące słońce wreszcie zaczęło zachodzić, poszłam na basen. Było tam niewiele osób i nagle zjawiała się ta para. Podpłynęliśmy wszyscy do baru na środku basenu i zaczęliśmy rozmawiać.

Mężczyzna, który przedstawił się jako AJ, mieszkał w Rotterdamie, jego ojciec był Arabem z Bliskiego Wschodu, a on pracował w przemyśle naftowym. Kiedy jego towarzyszka poszła po coś do pokoju, zwierzył mi się, że Mary - tak miała na imię - ma czterdzieści pięć lat, jest katoliczką i dziewicą. Przyznał, że to urocza osoba, ale - niestety - przy niej nie ma szans na nic więcej niż przyjaźń. Zdziwiłam się, że w ogóle znaleźli się razem w hotelu, ale nie chciałam być wścibska i nie pytałam o nic więcej. Opowiedziałam AJ tę samą historyjkę co mamie - że pracuję dla sieci sklepów i jestem handlowcem.

Rozmawialiśmy dłuższy czas, popijając zimną piña coladę i w końcu się upiłam. Zrobiło mi się tak niedobrze, że musiałam szybko wyjść z basenu. Ledwo zdążyłam dobiec do pokoju i zwymiotowałam.

Rano poczułam się lepiej. Patrząc na oślepiająco niebieskie niebo i wysokie palmy kołyszące się na wietrze, postanowiłam maksymalnie wykorzystać pobyt. Po prostu miło spędzę czas. AJ i Mary zaprosili mnie z Nikitą na wspólny wypad

na plażę. Ucieszyłam się, że nie będę musiała znowu siedzieć nad basenem. Morze i piasek były cudownie czyste, tyle że przypływ przyniósł martwe ryby. Z jakiegoś powodu Nikita uznała, że są to ryby z bajki, i klaskała w ręce z uciechy.

Przez kilka dni jeździliśmy na różne plaże i w ten sposób zwiedziłam całą wyspę. Raz kupiliśmy na ulicznym straganie kurczaka w zielonym sosie. Wyglądało to wprost ohydnie, a tymczasem okazało się najsmaczniejszą potrawą, jaką jadłam w czasie całego pobytu.

Po tygodniu AJ powiedział, że nazajutrz są jego urodziny. Poszliśmy z Nikitą do supermarketu i kupiłam butelkę szampana. Wręczyłam mu prezent, gdy znowu spotkaliśmy się nad basenem.

- Jaka ty jesteś kochana! Nikt nigdy nie dał mi szampana na urodziny - dziękował wzruszony.

Odparłam, że to doprawdy drobiazg.

Któregoś wieczoru AJ zaprosił mnie do kasyna w hotelu Hilton. Mary zaproponowała, że posiedzi z Nikitą. Pierwszy raz w życiu byłam w kasynie i z początku czułam się onieśmieszona, ale już po pierwszej godzinie doszłam do wniosku, że miło jest się znaleźć w takim miejscu u boku bogatego faceta, który pracuje w przemyśle naftowym. Szybko się upiłam i po powrocie do hotelu poszliśmy do łóżka. Dla mnie była to tylko wakacyjna przygoda, tymczasem pod koniec pobytu AJ wyznał, że mnie kocha.

Czas płynął nieubłaganie i coraz częściej myślałam o czekającym mnie zadaniu. Ogarniał mnie wtedy niepokój i musiałam mocno samą siebie przekonywać, że wszystko będzie dobrze.

Zadzwoił Al, potwierdził, że przyjdzie do hotelu w przeddzień mojego wyjazdu. AJ zaprosił mnie tego dnia na randkę, ale odmówiłam, bo musiałam czekać na Ala.

Cały dzień przesiedziałam zdenerwowana nad basenem. To czekanie bardzo mnie złościło. Al znowu przyszedł późnym popołudniem, w tym samym towarzystwie. Wziął walizkę i pojechaliśmy do jakiejś kawiarni.

- Wszystko jest już gotowe. Możesz być spokojna, na lotnisku już wiedzą. Opłaciłem ich. Odpraw się szybko i z nikim nie gadaj.

W Holandii i na Jamajce nie czułam żadnych obaw. Byłam pewna, że wszystko ułoży się dobrze, i tak się też stało. Więc czemu teraz zrobiło mi się jakoś dziwnie, gdy Al udzielał mi wskazówek? Coś było nie tak. Tylko co?

Znowu wsiedliśmy do jeepa i pojechaliśmy do dużo gorszej dzielnicy, do jakiegoś obscurnego hotelu. Moja stara walizka została wymieniona na nową, ze sztywnego, zielonego plastiku. Zarówno Al, jak i mężczyzna, który dał nam walizkę, nie byli zbyt rozmowni.

Wróciliśmy do hotelu. Al na łóżku otworzył walizkę. Od razu poczułam zapach kleju i wystraszyłam się, że może mnie zdradzić. A jednak ktoś, kto montował drugie dno, spał się na medal. Nie było widać żadnych przeróbek, a przecież miałam wieść pięć kilogramów narkotyków.

Późnym wieczorem przyszedł AJ. Otworzyłam wcześniej okna, żeby dobrze wywietrzyć zapach kleju, i spryskałam walizkę perfumami.

— Jedziemy do Caracas. Pojedź ze mną, Natalie — błagał.

- Nie mogę, nie mam już pieniędzy.
- Żaden problem. Kupię ci bilet.

W końcu zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy z nim nie wyjechać. Tak ładnie i czule mnie prosił. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Miałam wielką ochotę mu się zwierzyć.

- Czy wiesz coś, czego nie powinnaś? - spytał łagodnie.
- Nie, no skądże - zaprzeczyłam kategorycznie, mając cały czas w nosie zapach kleju.

Bałam się, że walizka będzie za dużo ważyć, i rano oddałam część ubrań sprzątacze.

Wymieniliśmy się z AJ adresami, po czym odprowadził nas z Nikitą do autokaru.

- Jeszcze jest czas. Możesz zmienić zdanie i jechać ze mną - powiedział. - Zapłacę za wszystko.

Spojrzałam mu prosto w oczy i poczułam nieodpartą pokusę, żeby wrzucić walizkę w przydrożne krzaki i paść mu w ramiona. Znowu wszystko we mnie krzyczało: „Zostaw to i uciekaj!”.

Miałam wiele okazji, żeby się wycofać, ale nie pozwoliła mi głupia duma. Jakiś kompletnie chory kodeks honorowy nakazywał dotrzymać danego słowa i wykonać zadanie do końca. AJ traktował mnie naprawdę poważnie, choć dla mnie był to tylko wakacyjny romans i nie martwiłam się specjalnie naszym rozstaniem. A jednak byłam w rozterce. Nie wiedziałam, czy nie przyjąć jego kuszącej oferty i nie pojechać do Caracas. Siedząc w autokarze, po raz pierwszy myślałam o tym, co będę robić po powrocie do Anglii. Czy mam

wziąć od Tony'ego następne zlecenie? Jak zwykle trudno mi przychodziło planowanie z dużym wyprzedzeniem.

Usiadłyśmy z Nikitą z tyłu i od razu dostrzegłam jasnowłosego Anglika siedzącego kilka rzędów przed nami. Na oko miał dwadzieścia kilka lat. Głośno o czymś opowiadał, a siedzący obok słuchali go z wyraźnym przejęciem.

Wydawało mi się wcześniej, że w hotelu są sami Holendrzy. Wręcz byłam pewna, że gdyby trafił się choć jeden Anglik, prędzej czy później natknęłabym się na niego. Ciekawe w takim razie, skąd się wziął akurat w naszym autokarze.

Mówił właśnie, jak go okradziono, że zabrano mu też dokumenty i ambasada musiała mu wydać nowy paszport. Miał tylko podręczną torbę. Był wyraźnie zadowolony, że znalazł się w centrum uwagi. Zaczął się przechwalać, że w Londynie ma porsche i ferrari.

Na lotnisku od razu gdzieś zniknął. Dużo później, kiedy zmęczona i spocona od upału, siedząc na betonowej podłodze w brudnej celi na posterunku policji, zaczęłam podejrzewać, że zostałam wrobiona, przyszło mi do głowy, czy przypadkiem nie miałam ściągnąć na siebie uwagi celników, żeby jasnowłose Anglik mógł spokojnie wsiąść do samolotu z torbą pełną kokainy.

W piekło są wielkie karaluchy

Muszę żartować i śmiać się, inaczej się załamie. Mam nadzieję, że gdy dojdzie ten list, Nikita będzie w Anglii cała i zdrowa. To dla mnie bardzo ważne. Podobno mają o mnie napisać w gazetach. Nie chcę, żeby zobaczyła moją twarz w prasie czy w telewizji. Aż trudno uwierzyć, że będzie miała czternaście lat, kiedy stąd wyjdę.

List Natalie do Eve, sierpień 2001 roku

Go się stało? - dopytywała się znów Nikita. Dostałyśmy brudny pasiasty materac z przyszytym do niego prześcieradłem. Ze względu na dziecko nie umieścili mnie w ogólnej celi. Przynajmniej to jedno się nam udało. Wystraszona i zdezorientowana, wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę jestem aresztowana.

Miałam spać przykuta kajdankami do barierki. Kiedy ze szczękiem zamknęły się na mojej ręce, niemal wpadłam w panikę.

- Bardzo chce mi się pić. Czy mogę dostać coś do picia? - Gardło miałam wyschnięte na wiór. Nic nie piłam od śniadania w hotelu, który teraz wydawał się miejscem odległym o całe lata świetlne.

— Jak pani da pieniądze, to kupimy colę — odparł szorstko jeden z policjantów.

Dałam mu równowartość dwudziestu funtów. Wrócił z pić i czymś do jedzenia, ale reszty mi nie oddał. Zapadliśmy z Nikitą w niespokojny sen. Obudziłam się nad ranem. Wzięłam łyk ciepłego już napoju i poczułam w ustach jakieś gorzkie grudki. Wyplułam na ziemię pełno mrówek.

Gorąco się modliłam, aby Bóg cofnął czas choć o jeden dzień. Wtedy rzuciłabym w cholere tę przeklętą walizkę. W nocy ludziłam się, że to tylko zły sen i że obudzę się w domu w Anglii. W tym szoku wszystko mi się już mieszało w głowie.

„Jak mogłam być taką idiotką” - dręczyłam się bez końca.

Nadal znajdowałam się na posterunku policji, a przykute do barierek ramię boleśnie zdrętwiało. Dano nam kawę z dużą ilością mleka, po czym zabrano do policyjnego samochodu. Policjanci nic nie mówili i nie miałam pojęcia, co się dzieje ani dokąd nas wiozą. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się przed dużym budynkiem.

Wprowadzono mnie do pokoju. Na podłodze leżała moja otwarta walizka, a obok paczuszki z kokainą. Policjanci robili zdjęcia i z ożywieniem rozprawiali o swoim sukcesie. Byli wyraźnie zadowoleni. Na widok walizki i narkotyków uzmysłowiłam sobie, że mnie już nie wypuszczą i ambasada niewiele tu pomoże. Zgodziłam się przemycić te narkotyki i teraz po raz

pierwszy w życiu poniosę konsekwencje własnej głupoty. Dotąd zawsze udawało mi się jakoś wykręcić. Patrzyłam na rozbebeszoną walizkę i pomyślałam, że mój dotychczasowy fart właśnie mnie opuścił.

- Dlaczego nasza walizka leży na podłodze i czemu ci panowie ją fotografują? — spytała Nikita. Nie umiałam wymyślić odpowiedzi dostatecznie prostej na możliwości czterolatki, więc odwróciłam czymś jej uwagę.

Za chwilę jeden z policjantów podszedł do mnie z jakimś dokumentem.

- Podpis, podpis - domagał się natarczywie łamaną angielszczyzną.

Z początku nie chciałam podpisać, bo nawet nie wiedziałam, co tam jest napisane. W końcu dałam za wygraną. Wreszcie naprawdę do mnie dotarło, w jaką kabałę się wpakowałam. Starłam się nie poddawać i znów zaczęłam sobie powtarzać, że niebawem wrócę do Anglii, a to są zwykłe biurokratyczne procedury.

Policjanci byli całkowicie pochłonięci tą biurokracją, jakbym ja jako osoba w ogóle nie istniała i stanowiła jedynie dodatek do paczek z kokainą, które właśnie znaleźli. Miałam wrażenie, że im wręcz przeszkadzam.

Wreszcie nas wyprowadzono, wróciłyśmy do samochodu. Było potwornie gorąco. Nie umyłam się rano i teraz cały czas czułam zapach swojego potu. Żołądek zaczął się buntować, dostałam bolesnych skurczy. Przedtem piłam wodę z kranu i pewnie to dlatego. A nawet nie umiałam powiedzieć po hiszpańsku, że źle się czuję.

W końcu jakoś im wytłumaczyłam, że muszę pilnie skorzystać z toalety. Niechętnie zaprowadzili mnie do łazienki. Wpadłam tam pośpiesznie. Ledwo zdążyłam. Wyczerpujący atak biegunki przyniósł natychmiastową ulgę. Nie zdążyłam jednak dojść z powrotem do samochodu, kiedy zaczęło się od nowa. Czułam się fatalnie. Dopiero gdy wyrzuciłam z siebie wszystko, mogliśmy jechać dalej. Biegunka nie jest zabawna w luksusowych warunkach, a co dopiero mówić o takich okolicznościach. I jeszcze to upokorzenie, gdy musiałam błagać policjantów, żeby mi pozwolili pójść do toalety. Dałabym absolutnie wszystko za to, żeby znaleźć się w tej chwili w samolocie. Na szczęście Nikita nie miała żadnych kłopotów żołądkowych. Siedziała obok mnie cichutko jak myszka. Przytuliłam ją, wściekła i zrozpaczona, że przeze mnie musi tyle przechodzić. Znowu przeklinałam własną głupotę.

Zajechaliśmy przed budynek, który się okazał laboratorium medycyny sądowej. Było tu pełno ludzi w przeróżnych mundurach. Sprawiali wrażenie, że płaczą się bez celu i nic nie robią. Poszliśmy ścieżką biegnącą przez ogród pełen kwiatów. Kobieta w białym fartuchu wyjaśniła dość znośną angielszczyznę, że zrobi mi kilka badań.

- Brała pani narkotyki?

Potrząsnęłam przecząco głową.

Zanurzyła mi palce w jakiejś cieczy i pobrała próbkę. Nikita przestała zadawać pytania. Moja grzeczna, kochana córeczka w ogóle nie sprawiała kłopotu. To było wielkie szczęście, zwłaszcza w tym momencie, że mam tak dobre dziecko. Nie zasłużyłam na to nawet w najmniejszym stopniu.

Znowu ruszyliśmy w drogę. Tym razem zatrzymaliśmy się przed budynkiem wyglądającym jak sąd. Z tyłu znajdował się duży dziedziniec, z którego wchodziło się do wielkiej sali bez innych drzwi. Zobaczyłam dwa duże pomieszczenia oddzielone kratami, jedno pełne mężczyzn, drugie kobiet. Było tu ciemno i brudno jak w piwnicy. Na szczęście, ze względu na obecność Nikity, nie zamknięto mnie tutaj. Zabrano nas do części przeznaczony dla adwokatów i sędziów. Później się dowiedziałam, że wielu z nich wykorzystywało swój zawód głównie do tego, żeby się dorobić na łapówkach. Zjawił się tłumacz, sympatyczny siwy pan o pogodnej, okrągłej twarzy. Przetłumaczył słowa sędzi:

- Nikita zostanie zabrana do domu dziecka.

Kolejny szok. Do głowy mi dotąd nie przyszło, że nas rozdzielią. W ogóle o tym nie pomyślałam. To, że zabiorą ją do obcego miejsca, gdzie nie zna nikogo ani nie może się porozumieć, zabolalo mnie najbardziej ze wszystkiego, co nas do tej pory spotkało. Ale oczywiście nic nie mogłam na to poradzić.

„O mój Boże, mój Boże, co ja narobiłam” - jęknęłam w duchu. Ukryłam twarz w dłoniach. Dopiero wtedy zaczęła do mnie docierać cała przerażająca prawda.

- Dostanie pani dziesięć lat - ciągnął tłumacz.

Potem wyprowadził Nikitę. Nie wiem, jakim cudem zachowałam spokój i wyjaśniłam jej wszystko w miarę prosty sposób. Nie płakałyśmy, ale we mnie wszystko w środku darło się na strzępy.

- Niedługo się zobaczymy, kochanie, tylko mamusia załatwi kilka spraw. To będzie zaledwie kilka dni, skarbie.

Wyszła nawet zadowolona, bo tłumacz powiedział, że idzie do takiego miłego domu, gdzie jest mnóstwo zabawek i dzieci, z którymi się można bawić. Chyba oszalałabym, gdyby krzyczała i płakała. Tłumacz przekazał Nikitę pracownikowi opieki społecznej, po czym wrócił i poprosił, żebym przedstawiła swoją wersję wydarzeń.

Sędzia była nawet sympatyczna. Spytała, czy narkotyki należą do mnie.

- Tak. To moje narkotyki i moja walizka.

- Czy ktoś je pani kupił? Czy ktoś odwoził panią na lotnisko?

- Nie, to moje narkotyki - powtarzałam tępo.

- Gdzie pani je kupiła?

- Nie powiem. - Postanowiłam nie mieszać w to nikogo.

Na tym był koniec. Już po przesłuchaniu. Byłam strasznie wyczerpana i głodna. Marzyłam, żeby się choć trochę ochłodzić, napić czystej wody, wziąć prysznic i po prostu zasnąć.

Myślałam o Tonym. Czy wie, co się stało, czy też myśli, że nawaliłam? Naiwnie liczyłam, że znajdzie mi dobrego adwokata. Tłumacz wyjaśnił, że noc spędzę na policji i że skontaktuje się ze mną pracownik ambasady brytyjskiej.

- Pewnie spędzi pani kilka dni na posterunku, a potem przewiozą panią do więzienia San Antonio. Są tam nie tylko kobiety, ale również mężczyźni. I mają broń.

Nie zwróciłam na te słowa większej uwagi, początkowo sądziłam, że się przesłyszałam.

„Chce mnie nastraszyć” - pomyślałam. Jak więźniowie mogliby mieć broń? Potrafiłam wyobrazić sobie jedynie angielskie

więzienie ze sztywnym regulaminem i surowymi strażnikami. Znowu zabrano mnie do gorącej, śmierdzącej policyjnej budy. Tym razem podróż trwała niecałą godzinę. Co za szczęście, że Nikita nie musiała się już męczyć w tym upale. Modliłam się gorąco, żeby trafiła w jakieś miłe miejsce, pod opiekę dobrych ludzi. Tego dnia zjeździłam wzdłuż i wszerz całą wyspę. Patrzyłam na wszystko zupełnie innymi oczami niż przedtem, kiedy byłam zagraniczną turystką mieszkającą w dobrym hotelu.

Zatrzymaliśmy się przed budynkiem policji. Dyżurka znajdowała się na wolnym powietrzu, tyle że cofnięta od ulicy. Na posterunku były tylko jedne drzwi - te od celi.

Wszyscy gapili się na mnie. Widziałam, jak otępiało upałem twarze na mój widok nagle się ożywiają. Byłam wydarzeniem dnia. Niebieskooka blondynka stanowiła nie lada atrakcję.

Policjant i policjantka, którzy mnie przyjmowali, starali się być uprzejmi. Przejrzeli rzeczy, które wcześniej pozwolono mi zabrać z walizki. Łamaną angielszczyzną policjantka doradziła, żebym zdjęła biżuterię, bo i tak miją ukradną.

Tymczasem przyjechał pracownik ambasady. Był wysoki, szczupły i bezpośredni w sposobie bycia. Miał na imię Douglas. Przywiózł mi wielką paczkę herbatników, kilka czasopism i książek. Usiadł i z powagą wytłumaczył, co będzie dalej. Zapewne nie pierwszy raz to robił.

— Na razie zostanie pani na posterunku. Trudno przewidzieć, jak długo. Nie zapewniam tu wyżywienia, więc dam im pieniądze najedzenie dla pani, ale jak nie kupią, nic na to nie poradzę. Proszę uważać na kradzieże. W więzieniu, dokąd panią zawiozą, jest kilkoro Anglików. Nie można stamtąd dzwonić.

Dostanie pani dziesięć lat i — niestety — nic nie możemy na to poradzić.

Z wyraźnym współczuciem dodał, że Holandia i Wenezuela zawarły umowę o wymianie więźniów, dzięki czemu Holendrzy mogą odbywać karę u siebie w kraju. Toczą się rozmowy w sprawie podobnego porozumienia między Wenezuelą a Wielką Brytanią, ale jeszcze jakiś czas potrują, więc na razie muszę odsiaływać wyrok tutaj. Znow szok. Do tej pory trzymałam się kurczowo myśli, że jednak mnie odeślą do Anglii. Douglas zgasił ostatnią iskierkę nadziei i szybko zmienił temat.

- Tu wszyscy biorą łapówki. Trzeba się do tego przyzwyczaić. - Zrobiło mi się słabo.

- Postaramy się odesłać Nikitę do Anglii - dodał. Rozstanie z nią było kolejnym ciosem. Nie mieściło mi się w głowie, że odtąd nie będę jej mieć przy sobie. Znow robiłam sobie wyrzuty. Sama sobie byłam winna, dziecko cierpiało przez moją głupotę. Nagle załamalam się i zaczęłam szlochać.

- Powodzenia - rzekł Douglas. Uściskał mi rękę i wyszedł. Boże, jak ja mu zazdrościłam, że może stąd swobodnie wyjść. A pewnie niedługo usiądzie w ogrodzie z drinkiem w rękę i będzie obserwować zachód słońca.

Douglas był pierwszym Anglikiem, którego spotkałam w Wenezueli. Pochodził z tego samego co ja kręgu kulturowego, więc doskonale wiedział, jak obce mogą być dla mnie tutejsze mechanizmy. Ulżyło mi, że się przynajmniej dowiedziałam, co mnie czeka, choć był to los nie do pozazdroszczenia. Za wszelką cenę starałam się nie myśleć o Nikicie i skupić na przetrwaniu. Modliłam się tylko, żeby była bezpieczna.

„Więzienna cela nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka. Tak będzie lepiej" - pocieszałam się.

Policjantka powiedziała, że pokaże mi, gdzie będę spać. Spodziewałam się skromnych warunków, jednak pomieszczenia, do którego mnie zaprowadzono, nie mogłabym zobaczyć nawet w najgorszych koszmarach.

Brud, smród i upał

W podłodze jest dziura wielkości odpływu w wannie i tam siusiamy. Śpimy i jemy na kamiennej podłodze. Wszystko cuchnie. Nie wypuszczają nas stąd. Raz się obudziłam i znalazłam karalucha we włosach. Czekał drań, aż zasnę.

List Natalie do Eve, wrzesień 2001 roku

Policjantka poprowadziła mnie korytarzem obok pomieszczenia pełnego mężczyzn. Przeraził mnie widok tego ścisku. Smród potu przyprawiał o mdłości. W celach panowała taka ciasnota, że trudno było rozróżnić, do którego ciała należą poszczególne ręce i nogi. W tak potwornych warunkach ludzie tracali cechy człowiecze i przypominali raczej stłoczone w klatce mały czy kury na fermie. Aż nie chciało się wierzyć, że to prawdziwe życie.

Gdy tak szłam korytarzem, w moją stronę leciały jakieś hiszpańskie słowa, ale oczywiście nie miałam pojęcia co znaczyły.

Więźniowie mieli na sobie jedynie szorty lub spodnie. *Przechodząc* blisko krat, czułam gorąco buchające od rozgrzanych ciał. Pocięczałam się w duchu, że cele dla kobiet muszą być lepsze. Gdy skręciłyśmy w boczny korytarz, nadzieja prysła w jednej chwili.

Jedną ścianę celi dla kobiet tworzyły kraty od podłogi po sufit, druga miała kraty w górnej części, żeby był jakiś przewiew. Panował tu najgorszy upał, jakiego w życiu doświadczyłam. A pomyśleć, że narzekałam na gorąco przy hotelowym basenie! W porównaniu z tamtymi warunkami więzienne pomieszczenia były rozżarzonym piecem. Myślałam, że się uduszę.

Nie, ja nie mogę tu zostać, pomyślałam słabo. Ale co miałam robić? Nawet gdybym protestowała, nikt by mnie nie zrozumiał. Krata zamknęła się ze szczękiem i znalazłam się w tłumie kobiet, które gapily się na moją jasną skórę i blond włosy, jakbym była istotą z innej planety. Podobnie jak mężczyźni, miały na sobie skąpe ubranie, przeważnie jakąś minimalną górę i szorty. Ściany i podłoga były mokre i początkowo myślałam, że przecieka sufit. Okazało się, że to skroplona para wodna, która ściekając po ceglanych ścianach, tworzyła małe cuchnące kałuże na betonowej podłodze.

Kobiety zajmowały dwie, mniej więcej tej samej wielkości, dość duże cele. Więźniarka, która do mnie podeszła, wyglądała na jakąś ważną figurę. Mogła być pół Wenezuelką, pół Chinką. Miała długie, czarne włosy, z przodu bardzo krótko obcięte, prawie wygolone, co nadawało jej drapieżny wygląd. To ona rządziła w celi. Później się dowiedziałam, że ma na imię LaChine i jest dilerką. Cieszyła się ogólnym poważaniem. Często miała

odwiedziny i zawsze wtedy dostawała mnóstwo jedzenia, którym dzieliła się z koleżanką.

- *Hello, my friend* - odezwała się z dumą, wyraźnie zadowolona z tego, że mówi do mnie po angielsku. Bardzo się ucieszyłam, że wreszcie będę mogła z kimś porozmawiać.

- Cześć, miło mi - odparłam. „Dzięki Bogu, że ktoś tu jednak zna angielski” - pomyślałam. Wkrótce się okazało, że były to jedyne słowa, jakie znała.

Zaczęła trajkotać po hiszpańsku, a mnie znowu ogarnęła rozpacz, że to piekło, do którego trafiłam, pozostanie dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Większość tych kobiet nigdy nie chodziła do szkoły, ale wszystkie próbowały klecić zasłyszane kiedyś angielskie słowa, często nie znając nawet ich znaczenia.

Jedna z dziewczyn powiedziała: „Czy mogłabym dostać duże piwo?”, i uśmiechnęła się z dumą, że zna aż tyle słów. Kiedy dotarło do nich, że nie znam hiszpańskiego, zaczęły mówić bardzo wolno w nadziei, że może wtedy zrozumieć, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Z początku się mną interesowały, licząc na urozmaicenie więziennej nudy. Ale szybko im przeszło, ponieważ ze względu na barierę językową nie dostarczałam spodziewanej rozrywki.

Osunęłam się na jedyne wolny kawałek podłogi w kącie celi i myślałam o Nikicie. Czułam się okropnie, znów ogarnęła mnie rozpacz, a nade wszystko winiałam i kłęłam samą siebie. Dotąd wszystko się działo tak szybko, że nie miałam czasu spokojnie pomyśleć. Dopiero teraz wreszcie mogłam to zrobić i doszłam do wniosku, że to nie mogłam być prawdziwa ja - ani ta, która paliła crack, ani ta, która dała się namówić na przemyt. Gdybym

tylko pozwoliła dojść do głosu prawdziwej sobie, moje życie byłoby dużo lepsze i mądrzejsze. Bliscy napominali mnie wiele razy, a ja ciągle uważałam, że wszystko wiem najlepiej. Kuląc się na podłodze śmierzdzącej celi i mając w perspektywie dziesięć lat za kratkami, nareszcie zrozumiałam, że to oni mieli rację.

Posterunek znajdował się tuż przy ulicy. Cóż to była za tortura słyszeć przez cały dzień warkot samochodów i mieć świadomość, że wolni ludzie jeżdżą sobie tam, dokąd zechcą. Niemal na każdym rogu był stragan z jedzeniem i rozkoszny zapach smażonego kurczaka docierał także do nas, ale oczywiście o takich smakołykach można było tylko pomarzyć. Większość kobiet odżywiała się całkiem nieźle, ponieważ co najmniej raz dziennie przynoszono im świeże jedzenie z domu. Tylko trzy z nas nie miały co jeść. Tamte dwie to były Wenezuelki, które w zamian za żywność sprzątały celę lub wykonywały inne prace.

Z początku ratowały mnie herbatniki od Douglasa. W każdej paczusce były trzy cieniutkie jak opłatek ciasteczka, przypominające w smaku krakersy śmietankowe. Potem kilka kobiet zlitowało się nade mną i dało mi resztki swoich posiłków. Nie raz z wdzięcznością żułam suchą skórkę od chleba, kawałek żyłastego mięsa czy kilka ziarenek przyprawionej na ostro fasoli.

„Jak mogło do tego dojść?” - pytałam w kółko samą siebie. Chciałam zadzwonić do Tony'ego i zażądać, żeby mnie jakoś stąd wyciągnął, ale nawet gdyby udało mi się zdobyć dostęp do telefonu, nie miałam przy sobie jego numeru. Marzyłam, żeby przyjechała mama i mnie zabrała. Ciągle też myślałam o Nikicie. To wyobrażałam sobie, że ją tulę, to się cieszyłam, że nie musi znosić tego piekła.

Stopniowo, choć z trudem, przystosowałam się do warunków życia w celi i dużo więcej teraz rozumiałam, obserwując zachowanie moich współtowarzyszek. Przedmiotem największego pożądanego były papierosy, o które wybuchały regularne bitwy. Szczęśliwa ich posiadaczka była natychmiast atakowana przez stado sępów. Mnie nigdy nie poczęstowały, ale kiedy Douglas przyniósł mi paczkę, przymawiała się na wyścigi.

Byłyśmy stłoczone jak sardynki w puszcze. Spałam na siedząco na wilgotnej podłodze, śmierzącej starym i nowym potem. W masie lepkich ciał nie starczało miejsca, żeby się położyć. Niektórym więźniarkom rodziny przyniosły karimaty, inne odziedziczyły je po tych, które wypuszczono. Ja nie miałam nic.

Kobiety włączały elektryczne wentylatory do gniazdek związających ze ścian. Nie wystarczało ich dla wszystkich, toteż część wentylatorów podłączano bezpośrednio do kabla na ścianie. Cud, że nikogo prąd nie poraził. Nadal nie mieściło mi się w głowie, że tu w ogóle nie dają jedzenia i nie ma miejsca do spania. Więźniarki godziły się na to z lenistwa, więc choć wszystko się we mnie buntowało, zaciskałam zęby i nastawiałam się na przetrwanie. Nie miałam wyboru.

Dwa razy dziennie policjanci przynosili wiadra z brązową wodą, w której się myłyśmy i która pozwalała choć trochę się schłodzić. Mocz oddawałyśmy w tym samym pomieszczeniu. Wolna przestrzeń w kącie, gdzie wpelzłam zaraz po przybyciu, znajdowała się tuż obok służącej do tego celu dziury w podłodze. Trzeba było kucnąć nad nią i dobrze wycelować. Wypróżnienie też odbywało się publicznie. Do dużych plastikowych butelek, z których odcięto górną część, wkładało się plastikowe torby.

Trudno o coś bardziej upokarzającego niż kucanie nad plastikową torbą na oczach wszystkich. Potem torbę się wyjmowało i zawiązaną wrzucało do wielkiego czarnego worka na śmieci stojącego w kącie. Worek zabierano dopiero pod koniec dnia i w tym potwornym upale smród był nie do zniesienia.

Dziwna rzecz: choć całe moje poprzednie życie obracało się wokół cracku, tutaj w ogóle mnie nie ciągnęło, żeby zapalić. Uzależnienie, które wpędziło mnie w potworne kłopoty, istniało tylko w tamtym, jakże teraz odległym świecie. Od chwili aresztowania i osadzenia w celi ani razu nie pomyślałam o narkotyku.

Miałam niewielki kontakt z innymi kobietami, gdyż nie mogłam rozmawiać w ich języku. Każda minuta w tym upale dłużyła się w nieskończoność. Nie wiedziałam, ani co się ze mną stanie, ani jak długo tu będę, ani co się dzieje z Nikitą. W tej niepewności przyszłość rysowała się czarno. Pozostawało tylko siedzieć i czekać. Cele dla mężczyzn i kobiet znajdowały się blisko siebie, w zasięgu głosu. Jedną z niewielu rozrywek podczas długich i upalnych dni było pokrzykiwanie jako forma porozumiewania się.

Po tygodniu spędzonym w policyjnej celi na ramionach pojawiły mi się wielkie ropnie. Potrzebowałam leków, przydałby się antybiotyk, ale oczywiście nie było o tym mowy. Dziewczyny uczynnie zaproponowały, że mi je wycisną. Ten bolesny zabieg trzeba było przez trzy dni regularnie powtarzać, ale przynosił pewną ulgę. Z całej siły trzymałam się ściany i gryzłam kawałek szmatki, żeby nie krzyczeć z bólu. Pod pachą zrobił mi się raz tak bolesny wrzód, że nie mogłam opuścić ręki.

Każdego ranka po obudzeniu myślałam, że może to właśnie tego dnia zabiorą mnie do więzienia San Antonio. Towarzyszka z celi, Gina, powiedziała kiedyś:

- San Antonio... bara-bara, bardzo dobrze, dużo mężczyzn.

Ja chciałam wyjechać z zupełnie innego powodu. Nie sądziłam, że gdzieś może być gorzej niż tu, poza tym liczyłam, że tam uda mi się znaleźć prawnika, który mnie z tego wyciągnie, albo chociaż zadzwoni do domu i sprowadzi pomoc.

Poznałam kilka hiszpańskich słów. Pierwszym była *agua* - „woda”. Ciągle je słyszałam, więc w końcu bardzo wolno spytałam:

- Co to jest *agua*?

Jedna z kobiet, która zawsze okazywała mi sporo życzliwości, pokazała butelkę z wodą. Następnie poznałam słowo *ventilador*. Trzecim było *yo*, czyli „ja”.

Dni mijały, przechodziły w tygodnie. Choć warunki były wręcz nieludzkie, w miarę upływu czasu pierwszy szok mijał. Uświadomiłam sobie, jak wielkie są zdolności adaptacyjne człowieka nawet w najbardziej ekstremalnej sytuacji.

Policjanci starali się mieć z nami jak najmniej do czynienia i przeważnie zostawiali nas bez dozoru. Cudzoziemcy na ogół spędzali w policyjnej celi dzień, góra dwa i dotąd nie wiem, czemu mnie trzymano tak długo. Policja w Wenezueli nie ma obowiązku tłumaczyć się więźniom, więc nikt mi niczego nie wyjaśniał. Możliwe, że po prostu zapodziały się gdzieś moje papiery.

Jakby tego wszystkiego było mało, pewnej nocy jedna z dziewczyn obudziła mnie w dość odrażającej sprawie. W drzwiach

celi stał policjant z rozpiętymi spodniami i domagał się zaspokojenia akurat ode mnie. Powiedziałam, żeby spadał, i odwróciłam się z obrzydzeniem. Warunki były wystarczająco upokarzające, a do tego jeszcze doszła próba wykorzystywania seksualnego.

Douglas odwiedził mnie po raz drugi. Nie spodziewałam się wizyty i przywitałam go nieufnie. Bałam się, że przynosi jakieś złe wieści. Dał mi kolejne czasopisma i herbatniki, a także paczkę papierosów, na którą, kiedy wróciłam do celi, dziewczyny rzuciły się jak sępy.

Zaimponowałam mu, że jestem jeszcze cała, ale znów nie bawił się w subtelności.

- Zawiadomiłem pani matkę.
- O, Boże. Jak to przyjęła?
- Bardzo się zmartwiła.

Aż zadrzałam na myśl, jaki to musiał być dla niej cios. Wyrzucałam sobie ciągle, że tak wiele trosk i rozczarowań jej przysporzyłam. Czy może być coś gorszego dla matki niż świadomość, że córka siedzi w brudnej celi na drugim końcu świata za próbę przemytu narkotyków? Gorąco pragnęłam wynagrodzić jej to jakoś i obiecałam sobie, że jeśli uda mi się wydostać z więzienia i wrócić do Anglii, zacznę zupełnie nowe życie. Próbowałam nie myśleć o tym, że może ona tam w tej chwili płacze z mojego powodu. Samej mi się chciało płakać, ale nie mogłam sobie pozwolić na słabość. Musiałam mieć siłę, żeby przetrwać.

- A co z Nikitą? Co z nią będzie?
- Zostanie odesłana do Anglii.

- Och, jak to dobrze. Niech weźmieją do siebie moja przyjaciółka Eve. Ona najlepiej się nią zaopiekuje.

Z ogromną ulgą przyjąłem wiadomość, że przynajmniej Nikita wróci do normalnego życia. Kochała Eve, a ja wiedziałam, że będzie u niej szczęśliwa.

Codziennie z naszej celi kogoś zabierano. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie przyjdzie moja kolej. Przecież nie mogło mnie już spotkać nic gorszego.

Pewnego dnia policjanci przyszli po LaChine. Żałowałem, że ją zabierają, bo była dla mnie dobra. Wciąż ciepło wspominałem tamto jej powitanie po angielsku.

- Do zobaczenia w San Antonio, właśnie tam jadę - zawołała do mnie wesoło.

We wrześniu 2001 roku dostałem wezwanie do sądu. Policijną celę opuszczałem szczęśliwy, choć bałem się, co mnie czeka.

Przewieziono mnie furgonetką i umieszczono w celi. Kraty były od podłogi po sufit, a w środku śmierdziało moczem.

Czekałem blisko dwie godziny, siedząc na gołej podłodze, ale co to był za luksus mieć całą celę dla siebie, zwłaszcza po kilku tygodniach spędzonych w niewyobrażalnej ciasnocie. I znów nikt mnie nie informował, co się dzieje. W końcu zjawił się strażnik i zaprowadził mnie na górę, po czym przyszli sędzia z tłumaczem. Sędzia mówiła spokojnym tonem i wydała mi się sympatyczna.

- Dziś wieczorem Nikita poleci do Anglii pod opieką kogoś z ambasady. Wezwaliśmy panią, żeby się pani pożegnała z córką.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale postanowiłam się dzielnie trzymać. Nie chciałam rozkleić się przy obcych. W gorącej, dusznej celi myślałam o Nikicie niemal nieustannie i nie posiadałam się z radości, że ją zobaczę, choć myśl, że za chwilę będziemy się musiały pożegnać, była nad wyraz bolesna.

Funkcjonariusz sądowy przyprowadził ją do biura. Byłam zszokowana, jak bardzo się zmieniła w tak krótkim czasie. Wydoroślała, jakby minęły lata, a nie tygodnie. Straciła dawną niewinność, miała spojrzenie starej, znużonej kobiety, która zbyt wiele widziała. Zobaczyłam ją pierwsza i szybko położyłam dłoń na ustach, żeby nie krzyknąć.

Na mój widok skrzywiła usta w podkówkę i zaczęła płakać. Już wcześniej widziałam, że jest bardzo smutna. Nim do mnie dobiegła, też się rozplakałam. Objęła mnie mocno i od razu wyrzuciła z siebie:

- Zrobiłam w majtki, mamusiu. Prosiłam i prosiłam, że chcę do ubikacji, ale nikt mnie nie rozumiał.

Zostawili nas same. Zdawało mi się, że protokółantka, wychodząc z pokoju, miała wilgotne oczy. Nikita przywarła do mnie i dosłownie zalała się łzami. Wtuliła główkę w moją szyję, a ja mocno ją objęłam. Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że długo jej nie zobaczę.

Starałam się powstrzymać łzy, nie chciałam przy niej płakać. Miała na sobie własne ubranie, a włosy były porządnie zplecione. W Anglii wielokrotnie narażałam ją na rzeczy, z jakimi dziecko nie powinno się stykać, ale tam nigdy nie wyglądała tak smutno jak teraz. Przeraziłam się, że ktoś mógł ją wykorzystać, więc gdy się trochę uspokoiła, spytałam jak najłagodniej:

- Nic ci się nie stało, kochanie?

- Nie, mamusiu. Tylko było mi smutno, jak zrobiłam w majtki, bo przecież zawsze chodzę do ubikacji.

Omal mi serce nie pękło w tym momencie. Ta dobra, grzeczna dziewczynka, która zupełnie nie zasłużyła na taki los.

Opowiedziała mi o domu dziecka. Był tam duży ogród z huśtawką. Twierdziła, że nikt jej nie dotykał. Byłam pewna, że mówi prawdę, i przyjąłam to z ogromną ulgą.

Gdyby przed wylotem do Wenezueli ktoś mi powiedział: „Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pójdziesz na dziesięć lat do więzienia”, pewnie by mnie nie powstrzymał, ale gdybym usłyszała: „Twoja córka będzie chciała iść do ubikacji, a potem zsiusia się w majtki, ponieważ nikt nie zrozumie, o co prosi. I będzie to mocno przeżywać, choć to nie była jej wina”, pewnie bym się dziesięć razy zastanowiła. Znów zaczęłam sobie wyrzucać, że Nikita cierpi z powodu mojej głupoty.

Poprosiłam jednego z pilnujących nas policjantów o papier i kredki. Chciałam, żeby Nikita narysowała coś dla mnie, żeby się czymś zajęła i uspokoiła. W ten sposób miałabym też pamiątkę. Dużo później, już po powrocie do Anglii, wyrzuciłam te wszystkie rysunki, bo przypominały bolesny czas rozłąki. Dziś bardzo tego żałuję.

Obserwowałam rysującą Nikitę i starałam się zapamiętać ten widok w najdrobniejszym szczególe. Chciałam zamknąć w sercu obraz mego dziecka i przechować przez cały ten czas, kiedy będziemy z dala od siebie. Pragnęłam zabrać ze sobą do więzienia jak najwięcej wspomnień.

- Nikito, będziesz mieszkała u Eve - powiedziałam spokojnie. - Ja wrócę do ciebie, ale jeszcze nie teraz. Zawsze będę cię kochać i nigdy cię nie zapomnę. Pamiętaj o mamie.

Starałam się mówić tak, jakby to nie była żadna wielka sprawa.

Nie rozumiała, dlaczego z nią nie wracam, ale ponieważ mówiłam spokojnie i rzeczowo - choć miałam ochotę wyę - pogodziła się z tym.

Na pewno z wielu rzeczy nie zdawała sobie wówczas sprawy - na szczęście. Czteroletnie dziecko nie bardzo wie, co to jest dziesięć minut, a cóż dopiero dziesięć lat. Spojrzała na mnie uważnie swoimi dużymi brązowymi oczami.

- Wrócisz szybko, mamusiu?

- Obiecuję ci, że zrobię wszystko, żeby jak najprędzej przyjechać do ciebie. - Zawsze mówiłam jej prawdę, nawet nieprzyjemną. Nie chciałam składać obietnic, których nie mogłabym dotrzymać.

Tuliłyśmy się mocno i długo, a potem ją zabrano. Wtedy rozpłakałam się na dobre. Łkałam tak bardzo, że wszystko mnie bolało. Podobnie jak Nikita, nie do końca zdawałam sobie sprawę, co naprawdę znaczy dziesięcioletnia rozłąka. Rozstanie na kilka tygodni bolało jak diabli, jakby mnie żywcem rozszarpowano na kawałki. Jak ja wytrzymam dziesięć lat? Nie mogłam się pogodzić, że tak długo będę z dala od niej. Należało za wszelką cenę znaleźć sposób, aby to wszystko skrócić.

Przypomniało mi się, co Douglas powiedział o porozumieniu o wymianie więźniów, i uczepliłam się kurczowo nadziei, że za kilka miesięcy sprawa zostanie uregulowana, a wtedy przynajmniej będę mogła odsiedzieć wyrok w Anglii.

Przeszłochałam całą drogę powrotną. Byłam pewna, że teraz, gdy Nikitę odesłano, zostaną od razu przeniesiona do San Antonio, więc zdziwiłam się, że zawieziono mnie z powrotem do tej piekielnej nory. Próbowalam przekazać na migi kobietom w celi, że właśnie widziałam się z moją córeczką i że została odesłana do Anglii, ale nikogo to specjalnie nie interesowało. Wszystkie miały ciężkie życie.

Wróciły ciągnące się bez końca dni totalnej bezczynności. Zadawało mi się, że albo się rozplnę w upale, albo umrę z głodu. Słuchałam rozmów moich towarzyszek, starając się cokolwiek zrozumieć, i usiłowałam jak najwięcej spać. Czasami budziłam się w nocy i zdejmowałam z głowy lub z szyi ogromne karaluchy. Nikt się specjalnie nimi nie przejmował, a we mnie budziły niewyobrażalną odrazę. W Anglii nieraz widziałam uciekające w popłochu prusaki; były maleńkie w porównaniu z tymi potworami.

Kilka dni po wyjeździe Nikity, 18 września 2001 roku, znowu wezwano mnie do sądu. Tym razem stanęłam przed pełnym sędziowskim składem bez tłumacza. Nie miałam zielonego pojęcia, co do mnie mówią. Kazali mi coś podpisać. Podobnie jak poprzednio usiłowałam protestować, ale daremnie. Jeden ze strażników, który znał kilka słów po angielsku, powiedział:

- Została pani skazana na dziesięć lat więzienia za próbę przemytu pięciu kilogramów kokainy.

Upredzano mnie, jaki wyrok mi grozi, ale gdy usłyszałam go oficjalnie, zrobiło mi się słabo i wpadłam w dygot. To działa się naprawdę i żadne cofnięcie czasu nie wchodziło w grę.

Czekało mnie dziesięć lat w piekle. Trudno było sobie to nawet wyobrazić, więc po prostu starałam się o tym nie myśleć.

Wróciłam do policyjnej celi i tam dowiedziałam się od więźniarek, że niedługo przewiozą mnie do San Antonio.

Poczułam ulgę. Wreszcie stąd wyjadę. Zdawało mi się, że im szybciej zacznę właściwą odsiadkę, tym szybciej wrócę do domu. Za każdym razem, kiedy słyszałam kroki na korytarzu, myślałam, że to po mnie. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, całkowicie straciłam kontrolę nad własnym życiem.

Kilka dni po rozprawie wreszcie zabrano mnie do San Antonio. Przed wyjazdem torba z rzeczami wróciła do mnie w stanie nienaruszonym - co było rzeczą dość niezwykłą. Przykuto mnie kajdankami do jakiegoś więźnia i razem z innymi ośmioma osobami załadowano do więziennej karetki. Zabrzmi to dziwnie, ale bardzo się cieszyłam, że jadę do więzienia. Nie mogło mnie spotkać już nic gorszego niż policyjna cela z upałem, nudą i głodem.

W samochodzie, ze względu na jasną skórę i blond włosy, znalazłam się w centrum zainteresowania, ale znów nic nie rozumiałam z komentarzy na mój temat. Jeden z więźniów najwyraźniej był jakimś groźnym przestępcą, bo jechaliśmy w konwoju i zatrzymywano ruch na trasie naszego przejazdu. Z początku nie zwracałam na to uwagi, dopiero potem domyśliłam się, że jest wśród nas gruba ryba. I tak przy odgłosie policyjnych syren przyjechałam do San Antonio.

Natalie w więzieniu

Czy z Nikitą wszystko dobrze? Nigdy sobie nie wybaczę, że przeze mnie tak cierpiała. Wciąż mam przed oczami nasze ostatnie spotkanie. Ileż to biedne dziecko przeszło! Dlaczego nie pamiętam rzeczy dobrych? Czy w ogóle takie były? Żeby tylko nie odbiło się to na niej. Czy ona wie, że jestem w więzieniu? Co jej o mnie powiedziałaś? Czy zdaje sobie sprawę, że nieprędko wrócę? Eve, szczerze obawiam się, że szybko stąd nie wyjdę. Tęsknię i ciągle myślę, jak bardzo wszystko się zmieni do mojego powrotu. Ja sama jestem już zupełnie inna niż kiedyś.

List Natalie do Eve, wrzesień 2001 roku

Wyprowadzono mnie z furgonetki, nadal skutą w parze z innym więźniem. Pierwsze, co zobaczyłam, to grzebiące w odpadkach wychudzone bezpańskie psy o jasnożółtej sierści. Jak się później okazało, mogły swobodnie wchodzić

i wychodzić i w przeciwieństwie do ludzi wołały być w środku, bo tam miały lepsze życie niż za murami.

Do więzienia prowadziła nieduża brama. Nad murem widać było dachy brzydkich budynków, po których chodzili półnaczy mężczyźni. Mieli broń, więc wzięłam ich za strażników. Niebawem z przerażeniem miałam odkryć, że są to więźniowie.

Stojąc przed więzieniem, obiecywałam sobie, że zrobię wszystko, żeby nie zostać tu długo - żeby nie odsiadywać wyroku w Wenezueli. Jak mantrę powtarzałam, że prędzej czy później odeślą mnie do Anglii.

Strażnicy wpuszczali nowo przybyłych stopniowo. Czeka-
jąc na swoją kolej, dostrzegłam przez uchylone drzwi dziedzi-
niec z kolorowymi kwiatami. Były tam też drzewa, fontanna,
kamienne ławki i automat telefoniczny. Po piekle policyjnej celi
sprawiało to takie wrażenie, jakbym trafiła do rajy lub co naj-
mniej do Hiltona. Szczególnie interesująca była możliwość
korzystania z telefonu, oznaczająca kontakt ze światem. Nagle
usłyszałam znajomy głos:

- *Hello, my friend.* - To była LaChine. Machała do mnie radośnie.

Też pomachałam i się uśmiechnęłam. Ucieszył mnie widok
jej okrągłej pocziwej twarzy.

Douglas ostrzegał, że w San Antonio będzie okropnie,
ale tymczasem nic tego nie zapowiadało. Na razie zachwycałam
się widokiem kiści bananów i orzechów kokosowych wiszących
na palmach.

Wpuszczano po dwie osoby skute razem. Spodziewałam
się, że zrobią mi rewizję osobistą, ale strażnicy przejrzeni tylko

zawartość mojej torby. Pozwolono mi zatrzymać wszystkie ubrania, przybory toaletowe i jednorazowy aparat fotograficzny. Zainteresowanie wzbudziła kupiona w Amsterdamie butelczka poppersa, której mi dotąd nie skonfiskowano, bo nikt nie wiedział, co to jest.

- Proszę powąchać - powiedziałam do sprawdzającego moje rzeczy strażnika. Powąchał, skrzywił się i oddał. Był wyraźnie zdegustowany wrażeniami, jakie wywołał u niego narkotyk.

Odnoszono się do mnie grzecznie, wszyscy tylko, nie wiedząc czemu, wyraźnie zwracali uwagę na moje oczy. Nie rozumiałam, o co chodzi. Szkoda, że od razu nie wykazałam więcej sprytu i nie wykorzystałam lepiej faktu, że jestem niebieskooką blondynką, w dodatku mającą urok nowości.

Zabrano mnie do tak zwanego *annexo*, gdzie znajdowały się cele dla kobiet. LaChine *zdążyła*, uprzedzić inne o moim przybyciu. Douglas, podczas odwiedzin w więzieniu, też powiadomił siedzące tu Angielki, że wkrótce zawita tu ich rodaczka, więc nikogo moja obecność nie zaskoczyła.

Tego dnia, ale nieco później, przybyła jeszcze jedna nowa, Cindy. Któraś z więźniarek chwyciła jej walizkę i uciekła. Miałam szczęście, że mnie nie spotkało takie powitanie.

Angielki były trzy i siedziały tu już długo. Dawn spędziła w San Antonio sześć lat, Kate — sześć i pół. Słyszac to, znowu wpadłam w rozpacz, gdyż zdałam sobie sprawę, że mogę pożegnać się z nadzieją na skrócenie wyroku.

- Nasza ambasada jest do niczego. Tylko traci się czas - powiedziała gorzko Dawn.

- Na nikogo nie można liczyć. Od lat słyszymy o porozumieniu w sprawie więźniów i nic się nie dzieje - dodała Kate.

Wolałabym usłyszeć coś bardziej optymistycznego, ale Dawn i Kate wyraźnie nie miały zamiaru mnie pocieszać.

- Jutro zobaczysz mężczyzn - zapowiedziała Kate. Nie wiedziałam jeszcze, jak wyglądają więzienne kontakty między obu płciami.

- Najlepiej znajdź sobie faceta, czas wtedy szybciej zleci - doradziła Dawn.

Trzecia Angielka, sześćdziesięciolatka o imieniu Irene, przyjechała na wakacje z przyjaciółmi i ktoś ją poprosił, żeby wniosła torbę na pokład samolotu. Okazało się, że były tam narkotyki. Wydawała się sympatyczna i normalna, nie miała w sobie tyle goryczy co Dawn i Kate.

- Troszcz się tylko o siebie, bo nikt tu dla ciebie palcem nie kiwnie - poradziła mi Kate.

- Nie, trzeba się dzielić z innymi - rzekła cicho Irene.

Więźniarki tłoczyły się wokół mnie i zasypywały pytaniami, a Kate i Dawn tłumaczyły. Opowiedziały mi także trochę o tutejszych układach, które wkrótce miałam sama poznać.

Spośród Europejek była jeszcze Holenderka Ellen, która cierpiała na zaburzenia łaknienia, i Niemka Mary, poważna i solidna, była modelka. Naprawdę ładna, miała świetną figurę i intensywnie niebieskie oczy. Dowiedziałam się od innych, że doskonale tu sobie radzi, a jej ukochany jest jednym z ważniejszych więźniów w męskiej części. Intrygowało mnie, jak do tego doszło, że taka piękna, obyta w świecie kobieta dała się wciągnąć w przemyt narkotyków.

Więźniarki same decydowały, gdzie która ma spać, i podobnie jak w przypadku innych aspektów więziennego życia, strażnicy się nie wtrącali. Pokazano mi duże i ku mojej radości czyste pomieszczenia, podzielone na mniejsze części zasłonkami zawieszonymi na zwykłych drutach. W każdym takim pomieszczeniu znajdował się prysznic. Po policyjnej celi taki luksus był wprost niewiarygodny. W ogóle w porównaniu z tamtymi niehumanicznymi warunkami tu było jak w królewskim pałacu.

Zdecydowałam, że przede wszystkim muszę wziąć porządną prysznic. Czułam się, jakbym po długiej wędrówce po pustyni dotarła do oazy. Cóż to była za rozkosz wreszcie pozbyć się brudu zbieranego od chwili aresztowania. Dziewczyny mnie wzruszyły - na wyścigi proponowały mydła i dezodoranty. Jeszcze nigdy prysznic nie sprawił mi takiej przyjemności. Z satysfakcją patrzyłam, jak strumyczki brudnej wody znikają w odpływie.

Umyta i przebrana, obeszałam cele, dziwiąc się na każdym kroku. Aż trudno było uwierzyć, że piękne drewniane łóżka powstały w więziennych warsztatach. W San Antonio można było kupić łóżka, ale także lodówki i kuchenki.

Dostałam byle jaki materac i miałam spać na podłodze. Podobnie jak w areszcie, tu też więźniowie zaczynali od samego dołu i stopniowo pięli się w górę. Teraz jednak zupełnie nieistotne było dla mnie, które miejsce zajmuję w więziennej hierarchii. Śmiertelnie zmęczona, byłam wdzięczna za prawdziwy luksus wyciągnięcia się wygodnie podczas snu, luksus, którego od dawna nie zaznałam. W celi było kilka wentylatorów i zimny powiew przyjemnie chłodził twarz. Gdy tylko się położyłam,

wróciło wspomnienie Nikity i myśl, że kiedy ją znów zobaczę, będzie miała czternaście lat. Kolejny raz postanowiłam zrobić wszystko, żeby być z nią dużo wcześniej. Zasypiając, ściszałam w rękę jej rysunki. Po raz pierwszy od aresztowania przespałam noc naprawdę głęboko.

Przełtwać w chotym świecie

Wenezuelskie więzienia uchodzą za najcięższe i najbiedniejsze na świecie. Brakuje jedzenia, warunki sanitarne są fatalne, stale dochodzi do aktów przemocy. Dorosłym trudno przeżyć, a dla dzieci zamkniętych z matkami to już prawdziwy horror.

Opublikowany w „The Independent” artykuł rzeczniczki organizacji Prisoners Abroad o sprawie Natalie, wrzesień 2001 roku

Rano obudziły mnie strzały. Nie byłam przyzwyczajona do tego rodzaju odgłosów i w pierwszej chwili nie wiedziałam, co się dzieje.

- Chłopaki znów strzelają - stwierdziła Kate, kiedy siedziałam na materacu, trąc zaspane oczy. Nikt się specjalnie nie przejął. Dla mnie był to szok, że więźniowie mają broń palną, strzelają z niej, a strażnicy nie interweniują. Tego ranka do strzelaniny doszło tuż obok *annexo*, dosłownie przez ścianę.

Jeszcze wieczorem zdawało się, że w San Antonio wcale nie jest tak źle. Teraz, kuląc się z przerażenia, jakby strzały mogły nam bezpośrednio zagrozić, szybko zmieniałam zdanie.

Zastłoniłam uszy, ale nagle przebił się inny, głośny i napaśtliwy dźwięk, który stopniowo się przybliżał. Wystraszona spojrzałam na Kate.

- To nic. Strażnicy walą w drzwi na pobudkę - wyjaśniła.

Po chwili weszli mundurowi uzbrojeni w pałki. Byłam przerażona, serce zamarło mi z trwogi.

- Wstawaj szybko - syknęła Kate. - Biją pałami, jak się ktoś ociąga.

W więzieniu były dwie formacje straży: gwardia narodowa, mająca kwatery poza więzieniem, i miejscowi strażnicy więzienni. Ci ostatni otwierali drzwi celi, jeszcze zanim wszystkie się obudziłyśmy. Godzinę później wkraczali gwardziści i budzili nas, waląc pałami w ściany i drzwi. Dołączyłam do moich towarzyszek, które stanęły w szeregu pod ścianą i wykrzykiwały kolejno numery. Proces ten, odbywający się z wielkim namaszczaniem niczym poranne nabożeństwo, nazywał się *numero*. Nikt tu nie miał żadnego przypisanego numeru, pierwsza krzyzczała „jeden”, druga „dwa” i tak dalej. Ostatni numer miał się zgadzać z liczbą więźniarek na liście. Niepisane prawo zabraniało stosować jakiegokolwiek sztuczki. Później się przekonałam, że była to jedna z nielicznych zasad w San Antonio, których rzeczywiście przestrzegano.

Poranne *numero* odbywało się zazwyczaj o siódmej. Większość z nas była wtedy jeszcze mocno zaspana i po wyjściu strażników wracałyśmy jeszcze na godzinkę do łóżek.

Dni się dłużyły, nie bardzo było czym je wypełnić. Każda z nas chciała, by czas mijał jak najszybciej, a sen był najprostszym na to sposobem.

Wiele kobiet miało w więzieniu mężów albo chłopaków, z którymi się spotykały podczas śniadania. Na śniadanie dawano *arepas* - okrągły gruby chleby, który najlepiej smakuje smażony i podany z serem, szynką, jajkami lub z samym masłem. Pierwszego ranka wydał mi się wstrętny i omal go nie wypłukałam, ale po jakimś czasie przyzwyczaiałam się, a nawet polubiłam do tego stopnia, że po powrocie do Anglii szukałam specjalnej mąki, żeby upiec *arepas*, ale nie udało mi się jej nigdzie kupić.

Kobiety, które miały mężów, siadywały z nimi przy murze. Każdy starał się zajmować miejsce w cieniu i w ciągu dnia przesuwano się razem ze słońcem. Od czasu do czasu któryś ze strażników ospale strzelał w powietrze, co niby miało przypomnieć mężczyznom, żeby wracali do siebie.

Już pierwszego dnia sporo rozmawiałam z Mary, która doskonale mówiła po angielsku. Od niej dowiedziałam się o San Antonio najwięcej.

W murze po lewej stronie *annexo* wybite były dziury wielkości drzwi, pozwalające spotykać się mężczyznom i kobietom.

- Czasami strażnicy je zamurują, ale beton nie zdąży jeszcze wyschnąć, a dziury już są z powrotem. Na ogół jednak strażnicy przymykają oko na te spotkania.

Również pieniądze przekazywane były z jednej strony na drugą bez problemu. Trudno raczej wyobrazić sobie taki tuz w angielskich zakładach karnych, gdzie oddziały dla mężczyzn i kobiet są ściśle od siebie oddzielone. Obyczaj

panujące w wenezuelskim więzieniu niczym nie przypominały brytyjskich. Nazajutrz Mary zabrała mnie na obchód męskiej części i znów wiele mi wyjaśniła. Prawa strona należała do więziennej arystokracji, pospólstwo mieszkało z lewej. Był tam nawet nieduży basen i kuchnia, wszystko zbudowane przez więźniów.

- Nikt nie zabrania więźniom wprowadzać ulepszeń - wzruszyła ramionami Mary, widząc moją zdziwioną minę.

Teren poza dziedzińcem wyglądał znacznie gorzej. Znajdowała się tu tak zwana ziemia niczyja, okopana z obu stron. Nad okopami stały niewielkie budyneczki w kształcie igloo, z których przez szczeliny w ścianach można było obserwować poczynania wroga. Zawsze ktoś tam siedział na warcie. Więźniowie mieli wyznaczone dyżury, ale można było zapłacić komuś, żeby odbył wartę w zastępstwie. Z początku nie rozumiałam, po co są okopy w więzieniu. Okazało się, że dochodzi tu do regularnych bitew między gangami.

Dalej był ciąg budynków mieszkalnych krytych dachówką. Po lewej stronie dziedzińca znajdowało się biuro naczelnika i administracja więzienia. Według słów Mary był to teren najbezpieczniejszy dla tych, którzy się obawiali o życie. Na lewo od wejścia znajdowała się nasza część, czyli *annexe*

- Ilu jest tutaj więźniów? Teren wydaje się ogromny,

- Około tysiąca pięciuset mężczyzn i stu kobiet. Parę osób odsiaduje wyroki za zabójstwa i rozboje, większość trafiła tu za narkotyki.

W lepszej części od razu rzucał się w oczy większy dobrobyt. Jej mieszkańcy mieli porządne, czyste ubrania, a tutejsze

ogródki były zadbane, bo płacono za ich uprawianie biedniejszym więźniom, podobnie jak za pranie. Widok uzbrojonych mężczyzn patrolujących dachy z bronią w rękę jakoś nie pasował do sielskiego otoczenia. Z początku te kontrasty w San Antonio były dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Trudno się było w tym wszystkim połapać, no bo jak pogodzić baseny i rabatki ze strefą wojenną.

Działki po lewej, ubogiej stronie leżały odłogiem i porastały bujną trawą. Bogaci dbali o swoje i hodowali na nich warzywa. Często rozmawiało się o plonach i uprawach. Było to bardzo dziwne i chwilami zabawne, jak bezwzględni bandyci chwalili się przed sobą, co który wyhodował.

Na czele każdego gangu stał *commandante*, zwany tutaj prangiem. Mary opowiadała, że mieli wszystko pod kontrolą. Rządzili na ogół w sposób rozsądny. Między innymi *prang* kierował pracami budowlanymi i zbierał na „fundusz remontowy” od handlujących w więzieniu narkotykami. W bogatej części działały nawet skromne restauracje, gdzie można było zjeść hamburgera lub inny tego typu posiłek. Co chwila dowiadywałam się czegoś nowego i na ogół przeżywałam wtedy lekki szok.

Więźniowie z bogatej części, za zgodą władz, postawili metalową bramę. Tego już zupełnie nie rozumiałam, bo odtąd to oni decydowali, czy ją łaskawie otworzyć i wpuścić strażników. Możliwe, że któryś *prang* płacił za to, żeby tam była. W razie rewizji, zwanej *raquetta*, mężczyźni zwlekali z otwarciem bramy, by mieć czas na ukrycie trefnych rzeczy, głównie narkotyków i broni. Strażnicy przymykali na to oko, chyba że akurat byli z więźniami na wojennej ścieżce.

W tej lepszej części więzienia siedziało pięciu Anglików, w biednej - jeden. Oczywiście wolałam tę pierwszą. Zawsze grała tu jakaś muzyka, mężczyźni siedzieli w cieniu, sącząc napoje. Atmosfera panowała prawie jak na wakacjach. Od mężczyzn uzyskałam znacznie więcej przydatnych informacji niż od Dawn i Kate. Byli bardziej na luzie i nie tak negatywnie nastawieni do życia.

Zawarłam bliższą znajomość z Mikiem i Paulem, których aresztowano na łodzi pełnej narkotyków - był to największy ładunek w historii Margarity. Kiedy przybywał ktoś nowy, rozmawiało się przede wszystkim o tym, jak kto trafił do San Antonio. Paul nie brał narkotyków, tylko je przewoził. Zaczynał od kursów między Anglią a Holandią w pontonie z motorkiem. Potem kupił dużą łódź, żeby popłynąć na Margaritę - wraz z podręcznikiem dla sternika, bo nie umiał nią kierować. Książka nie na wiele się zdała, ale wtedy poznał Mikea, który umiał sterować. Paul zdradził mu, co będą wieźli w drodze powrotnej, dopiero po załadunku.

Tamten zgodził się przewieźć narkotyki, ale złapano ich, jeszcze zanim wypłynęli z portu. Mike zbliżał się do pięćdziesiątki. Całe życie ciężko pracował i nigdy przedtem nie robił nic nielegalnego. Paul był sympatyczny, miał rumiane policzki i pochodził z Lancashire. Żaden nie pasował do stereotypu handlarza narkotyków.

O Douglasie Paul wyraził się w sposób bardziej oględny niż Dawn i Kate, ale też niebudzący wątpliwości.

- Więc jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać - dodał na koniec.

Był też niejaki Tom z Londynu. Wszyscy trzej nie narzekali na brak funduszy, toteż stać ich było na opłacanie zastępstw na warcie.

Zwierzyłam się im z mojego zaskoczenia, że więźniowie mogą chodzić z bronią.

Nie przejęli się tym specjalnie.

- Przyzwyczajasz się - stwierdził Paul. - To tutaj normalne.

Mężczyźni poszczególnych narodowości trzymali się razem, wśród kobiet nie było takiego podziału. Pierwszego dnia czułam się tu naprawdę dobrze. Nic nie zapowiadało okropności, o których się wcześniej nasłuchiwałam.

Więźniowie mieli dużą swobodę, jednak ostatnie słowo należało do strażników. Wszystko, co się tu działo, było sprawą zdecydowaną męską, kobiety nie miały wstępu za kulisy więziennego życia.

Przez pierwsze tygodnie pobytu w San Antonio poznawałam życie w części przeznaczony dla kobiet i panujące tu zwyczaje. Na patio, już poza naszym terenem, stał duży zbiornik z wodą i można było korzystać z mydła, proszku do prania oraz ostrej szczotki. Oczywiście żadnych pralek - musiałyśmy prać naszą odzież same, tradycyjnymi metodami. Najtrudniej było z pościelą i ręcznikami. W tym upale, nim skończyłam wieszac ostatnią sztukę prania, pierwsza zdążyła już wyschnąć.

Miałyśmy bieżącą wodę, ale nie nadawała się ona do picia. Czasami wodę zakręcano i wtedy musiałyśmy prać w wiadrach. Woda w wiadrach była stale i służyła do splukiwania toalet.

Z powodu gorąca i braku jakichkolwiek zajęć życie toczyło się ospale. Podobnie jak w innych więzieniach, gdzie

przebywałam - a w gruncie rzeczy w całej Wenezueli - tu też stale rozbrzmiewała muzyka, przeważnie salsa, merengue, reggaeton oraz kolumbijskie vallenato. Życie stawało się znośniejsze, gdy powietrze tętniło rytmem żywych melodii.

Wenezuelska telewizja jest zupełnie inna niż brytyjska. Trudno na przykład wytrzymać wielogodzinne monologi prezydenta Chaveza, transmitowane przynajmniej raz w tygodniu. Czasem nawet przerywano serial, aby nadać przemówienie prezydenta.

- Ile godzin będzie trwał tym razem? Słowna sraczka, kurczę. Kiedy on wreszcie skończy? - pieklili się więźniowie. Mimo to był lubiany, gdyż był człowiekiem z ludu i jednym z nich, bo - jak się dowiedziałam - sam siedział kiedyś w więzieniu. Jednak te orędzia wystawiały na próbę cierpliwość nawet najbardziej zagorzałych jego zwolenników.

Prawie wszyscy odsiadawali zwyczajowy wyrok za przestępstwa narkotykowe, czyli dziesięć lat. Dlatego też stale pojawiał się ktoś nowy, a niewiele osób ubywało. Nie widziałam, by w czasie, kiedy odsiadywałam karę, wyszła na wolność choć jedna kobieta. Nie skarżyły się jednak, przyjmowały to ze spokojem. Skupiały się na przetrwaniu.

Starałam się spędzać jak najwięcej czasu po męskiej stronie. Graliśmy w siatkówkę, odbywały się też mecze piłki nożnej między drużyną bogatych a drużyną biednych, a my kibicowałyśmy. Przy takich okazjach gwardia narodowa pilnowała porządku, aby w trakcie gry nikt nie naruszył ziemi niczyjej i nikogo nie zastrzelił po drugiej stronie!

Weszłam w codzienne życie San Antonio jak umiałam najlepiej, ale nie pogodziłam się z tym, że mam tu spędzić dziesięć lat. Przez pierwszy rok żywiłam się głupią nadzieją, że jednak to wszystko okaże się pomyłką. Staralam się jak najwięcej czasu przesypiać, ponieważ nie miałam nic do roboty - ani książek do czytania, ani żadnych kursów czy innych możliwości nauki.

Soboty i niedziele były dniami widzeń. Więźniowie dostawali wtedy od bliskich zapasy jedzenia. W kobiecej części gotowałyśmy posiłki na jednopalnikowej kuchence elektrycznej. Nie było gniazdek, więc musiałyśmy ją podłączać bezpośrednio do przewodu. Karmiono nas głównie ryżem i kurczakami. Czasami jednak było to tak obrzydliwe, że musiałyśmy dodawać przypraw, żeby w ogóle można to było zjeść.

Miałyśmy wyznaczone dyżury do robienia porządków w celach. Pomieszczenia wspólne były sprzątane dwa razy dziennie, rano i wieczorem, łącznie z szorowaniem podłóg proszkiem do prania. Kobiety bardzo dbały o czystość, co po straszliwym brudzie i smrodzie celi policyjnej przyjęłam z niewysłowioną ulgą. W ogóle porządek i stały rozkład zajęć są bardzo istotne w więziennych warunkach. Przynajmniej mnie szalenie ułatwiły przetrwanie.

W zasadzie tylko z Mary mogłam się w pełni dogadać i od samego początku bardzo zbliżyłyśmy się do siebie. Pewne rzeczy zachowywała jednak dla siebie i na przykład nigdy mi nie powiedziała, jak to się stało, że przemycała narkotyki. W ogóle była raczej małomówna. Jej ukochany był czwarty pod względem ważności w więziennej hierarchii. Czasami wracała ze spotkania z nim zapłakana. Zastanawiałam się, czy chodziło

o to, że siłą *rzeczy zamieszany* był w sprawy, których nie pochwałała. Mary mówiła niewiele, więc gdy coś już powiedziała, brałam jej słowa bardzo serio.

Wkrótce przeniosłam się do jej celi i wygospodarowałyśmy tam wspólny kącik. Jedna z więźniarek była konsultantką Avonu i Mary kupowała od niej kosmetyki.

Bardzo chciałam porozmawiać z mamą. Biedaczka musiała przechodzić piekło, nie wiedząc, co się ze mną dzieje. Czułam, że powinnam ją przeprosić za całą tę sytuację i w ogóle za wszystkie kłopoty, jakich jej przysporzyłam. Bałam się, że nigdy jej tego nie wynagrodzę. Ostatni raz rozmawialiśmy, gdy zatelefonowałam do niej z Amsterdamu. W San Antonio udało mi się zamówić rozmowę na koszt odbiorcy. Dzwoniłam z automatu przy bramie. Bardzo się bałam tej rozmowy.

- Cześć, mamó. - Głos drżał mi ze zdenerwowania.

Wybuchnęła płaczem.

- Babcia nie żyje. - To pierwsze, co od niej usłyszałam.

Bardzo kochałam babcie i ogromnie się przejęłam tą wiadomością. Pomyślałam z żalem, że jeśli wiedziała o mojej sytuacji, to pewnie się zamartwiała.

- Czy babcia wiedziała o mnie? - spytałam.

- Nie. - Mama znów szlochała. - Och, Natalie, co cię podkusiło? - Jej rozpacz łamała mi serce.

- Przepraszam, mamó. Tak jakoś wyszło. Wiem, zachowałam się jak ostatnia kretynka i słono za to teraz płacę. No nic, muszę odsiedzieć wyrok jak inni. A co z Nikitą? Widziałaś ją?

- Tak. Eve jest cudowna, kocha ją jak własną córkę. Jak mogłaś zrobić coś takiego? Miałaś ze sobą Nikitę!

- Przepraszam. Naprawdę nie chciałam, ale tak się stało. Teraz ponoszę za to karę.

W słuchawce zapadła cisza. Połączenie mogło zostać w każdej chwili przerwane. Wzięłam głęboki oddech.

- Mamo, czy mogłabyś mi przysłać trochę pieniędzy? Inaczej nie dostanę jedzenia. Ja tutaj przymieram głodem.

Obiecała, że pomyśli, jak je przesałać, i z płaczem odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiłam też do Eve. Gdy usłyszała mój głos, z miejsca mnie zwymyślała.

- Ty głupia idiotko! Co ty sobie wyobrażasz? - Ani słowa współczucia, że jestem w więzieniu. Eve zawsze była rozsądna i przytomna, nic więc dziwnego, że się wściekała na moją głupotę.

- Przepraszam cię, Eve. Dziękuję, że zaopiekowałaś się Nikitą. Nie wiesz nawet, ile to dla mnie znaczy, że jest w dobrych rękach. Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć.

Mogła odmówić przyjęcia pod swój dach drugiego dziecka, miała już jedno swoje, córeczkę w podobnym wieku. Eve była samotną matką i żyła z zasiłku. Nie ułatwiłam jej życia, podrzucając kolejną osobę do wyżywienia. Ale bardzo kochała Nikitę i pocieszałam się myślą, że małej jest dużo lepiej u niej, niż gdyby została w Wenezueli albo jak przedtem mieszkała z matką wiecznie palącą crack. Eve nie pytała o nic i na szczęście nie prosiła o pieniądze na Nikitę.

Nic nie usprawiedliwiała tego, co zrobiłam. Nie miałam też nic na swoją obronę. Pieniądze były mi potrzebne po to, żeby je puścić z dymem. W dodatku poważnie myślałam o dalszej

„karierze" w handlu narkotykami. Pokornie więc milczałam, gdy Eve mnie łajała.

Rozmawiałam też z Nikitą. Gorąco pragnęłam, żeby u Eve było jej jak najlepiej. Głos na szczęście miała wesoły. Nawet nie bardzo chciała ze mną rozmawiać, bo akurat się bawiła.

Rozpłakałam się, gdy usłyszałam jej głos w słuchawce. To było takie ważne dla mnie, móc ją usłyszeć, dowiedzieć się, co robi, i upewnić się, że jest szczęśliwa.

Po tej rozmowie zrobiło mi się bardzo smutno, ale codzienność nie pozwalała zbyt długo rozpamiętywać bolesnych wspomnień.

Chciałam się komuś zwierzyć, że rozmawiałam z mamą i z moim dzieckiem, ale podobnie jak w policyjnej celi, temat ten nie wywołał szczególnego zainteresowania. W San Antonio każdy zajęty był własnymi sprawami.

Początkowa sielanka trwała około dwóch tygodni. Potem stopniowo za kulisami codziennego życia odkrywałam coraz więcej brutalności. Na jaw stałe wychodziło coś bulwersującego.

Wkrótce po moim przybyciu doszło do złamania zasad obowiązującego tu niepisanego kodeksu. Ale najpierw muszę wyjaśnić, że do więzienia stałe przemycano broń. Bogaci więźniowie mieli nawet karabin maszynowy i czasem go wypróbowywali, podobnie zresztą jak pozostały arsenał. W którymś momencie nawet, gdy mieli za dużo amunicji, zwrócili się do strażników, żeby zamknąć kobiety, bo oni chcą sobie postrzelać, żeby się pozbyć zapasów. Prośba zapewne została poparta odpowiednim załącznikiem. Niesamowite, jakie rzeczy możliwe były w tym więzieniu.

Broń dostarczali sami gwardziści, oczywiście za pieniądze, ale już miejsca jej przechowywania były pilnie strzeżoną tajemnicą. Jedno z nich znajdowało się w wydrążonym drzewie, mieszczącym podobno cały arsenał. Kokosy nie miały szansy dojrzeć, bo więźniowie zrywali je i chowali w nich amunicję. Co pewien czas strażnicy przeprowadzali szczegółową rewizję w poszukiwaniu takich schowków.

Dla więźniów utrzymanie tajemnicy było sprawą honoru. Tymczasem ktoś zdradził sekret, zapewne skuszony dużą sumą pieniędzy lub obietnicą zwolnienia. Musiał być absolutnie desperowany, bo zdrajców karano wyjątkowo okrutnie. Nikt się specjalnie nie zdziwił, gdy donosiciela zabito - aby dać odstraszający przykład innym. Został powieszony, przedtem ucięto mu język. Kobietom nie pozwolono oglądać tej barbarzyńskiej sceny, ale przy egzekucji obecnych było wielu mężczyzn, a kilku stało na czatach i pilnowało, czy nie idą strażnicy. To okrucieństwo mocno mną wstrząsnęło. Wiadomo było, że w więzieniu dochodzi do aktów przemocy, ale nie przypuszczałam, że mogą mieć tak drastyczną postać.

Widziałyśmy tego nieszczęśnika. Wyrwany język został przyczepiony do zaszytych ust jako ostrzeżenie. Trup wisiał na ścianie głównego pawilonu i wszyscy mogli go zobaczyć. Przerażone bestialstwem, rzucałyśmy w tamtą stronę ukradkowe spojrzenia. Nie podeszłam bliżej, ale w palącym słońcu smród rozkładającego się ciała musiał być nie do zniesienia.

Stonice, basen i świsł kurl

Co za dzień. Każda grupa więźniów ma swojego przywódcę. Jeśli ktoś chce kogoś zabić, musi uzyskać zgodę swojego pranga. Dziś jeden więzień wyszedł na wolność i zaraz potem zaczęła się strzelanina między więźniami a strażnikami. Rannych strażnicy zostawiali i ci biedacy sami czolągali się do szpitala. To wszystko jest jakieś chore. I wiesz, co? Zawsze myślałam, że postrzał boli tak bardzo, że nie sposób nie krzyczeć. Tymczasem chyba tak nie jest. Przepraszam Cię, że o tym piszę, ale muszę to z siebie wyrzucić, inaczej zwariuję.

List Natalie do Eve, grudzień 2001 roku

W

San Antonio więźniowie urządzali też przyjęcia. Uważano je za dobry sposób rozładowania napięć po wielu konfliktach i aktach przemocy. Naczelnik więzienia sam prosił wtedy, żeby coś zorganizować. Podobnie było po powieszeniu zdrajcy.

- *Zróbcie* coś, niech atmosfera wróci do normy - polecił przywódcom gangów. Nie mogłam się nadziwić, że władze więzienne same zachęcają do czegoś takiego. Mary mówiła, że zdarzały się nawet dwie imprezy w miesiącu. Wszystko mogło posłużyć za pretekst, na przykład karnawał czy jakieś święto narodowe.

Nie znałam tutejszych obyczajów, więc przed moim pierwszym przyjęciem naśladowałam szykujące się dziewczyny. W przeddzień imprezy przymierzały ciuchy, pożyczaly sobie nawzajem kreacje, malowały się i czesały jedna drugą. Zabawa zaczynała się o... dziesiątej rano.

Zapraszał jeden z *commandante*. Zamożniejsi więźniowie robili zrzutkę, a kto nie miał pieniędzy, mógł odpracować wypity alkohol. Narkomani również. Jeśli tylko nie wymigiwali się od pracy, byli traktowani jak normalni członkowie więziennej społeczności.

Głośniki, które wypożyczano spoza więzienia, były tak ogromne, że przyjeżdżały na dwóch pikapach. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w głośnikach często przemycano broń i alkohol - łącząc przyjemne z pożytecznym! Sprzęt grający był instalowany na patio. Przy okazji odbywał się konkurs tańca, rozgrywano kilka meczów siatkówki. Goście bawili się, pili, palili i brali prochy. Wiele osób paliło crack, który można było kupić bez problemu. Sądzę, że uzależnionych było jakieś trzy czwarte więźniów. Tutejszy crack nie był tak zanieczyszczony jak ten w Anglii. Stale trafiałam na kogoś palącego, ale jakoś na razie mnie nie ciągnęło.

Guardia narodowa obserwowała wszystko z daleka, a miejscowi strażnicy dołączali do zabawy. Serwowano paskudny

bimber pędzony z jabłek i chleba. Strasznie dużo trzeba było wypić tego świństwa, żeby coś poczuć. Napój miał kolor błota i pływały w nim jakieś paprochy. Wśród gości krążył kubek z tym specjałem, trzeba więc było trochę poczekać na swoją kolejkę.

Bawiłam się świetnie. Siedziałam w basenie, otoczona wpatrzonymi we mnie facetami, i sączyłam drinka. Słońce jak zwykle paliło niemiłosiernie, a tu w chłodnym cieniu drzew i hipnotyzującym rytmie muzyki było rozkosznie. Salsa doskonale pasuje do ognistego temperamentu Wenezuelczyków. Chwilami aż wierzyć się nie chciało, że to nie jest sen - ciągle jeszcze miałam w pamięci piekło policyjnej celi. Rozumiałam już trochę po hiszpańsku i mogłam prowadzić proste rozmowy, zwłaszcza z mężczyznami, w których towarzystwie czułam się znacznie lepiej niż wśród kobiet. Mówili mi, że jestem piękna. Byli bardziej romantyczni niż Anglicy. Komplementy może nie grzeszyły oryginalnością, ale przyjemnie było ich słuchać.

- Masz oczy koloru morza - mówił jeden z autentycznym zachwytem.

- Moja miłość do ciebie jest głęboka jak ocean - wysilił się inny, którego dopiero co poznałam. Frazesy oklepane, ale wypowiedane z taką szczerością, że byłam skłonna w nie uwierzyć.

Rozkoszowałam się każdą chwilą, cieszyło mnie słońce, radowała muzyka. Po raz pierwszy od lat czułam się naprawdę szczęśliwa. Pamiętałam, w jakie piekło zmienił moje życie crack, i za nic nie chciałam znów dać się wciągnąć. W Anglii znajomi uważali mnie za épunkę, tu nikt by mnie tak nie nazwał. Byłam postrzegana jako ładna, atrakcyjna kobieta. Uwolniona od dawnych obciążeń, mogłam stworzyć siebie od nowa.

„Nie będę ćpunką. Dojdę do czegoś. Zasłużę na szacunek. Postaram się o telefon komórkowy i zostanę kimś - obiecałam sobie. - Więzienie to nie koniec świata”.

Nagle przeszło mnie wspomnienie Nikity. Rozstanie z nią bolało cały czas.

* * *

Wkrótce jednak więzienne imprezy i pozorna wolność spowszedniały, a cieniem na codziennym życiu zaczęły kłaść się ciągle strzelaniny. Nikt głośno nie poruszał tego tematu i rzadko działo się to na naszych oczach, ale od huku strzałów nie dało się uciec. A potem, często w przypadkowej rozmowie, okazywało się, że zginął ktoś znajomy.

Syrena w San Antonio brzmiała bardzo podobnie jak te z filmów o drugiej wojnie światowej. Zawsze włączano ją po strzałach, czasami nie słyszałam ich, tylko syrenę. Wenezuelki bardzo jej nie lubiły, bo niekiedy obwieszczała śmierć kogoś bliskiego. Za każdym razem, gdy się rozlegała, ciarki przechodziły mi po skórze. Człowiek od razu myślał o tym, jak niewiele warte było życie w San Antonio i jak bezwzględni potrafili być ci sami mężczyźni, którzy z uśmiechem prawili komplementy i tańczyli ognistą salsę.

Życie więzienne mocno nużyło swoją monotonią i żeby jakoś zabić nudę, zaczęłam się spotykać z mężczyznami. Niemal każda była z kimś związana, czemu więc miałabym być gorsza. Poza tym bezpieczniej się czułam pod męską opieką. Jedna z dziewczyn, która nie miała nikogo, została zgwałcona w kuchni, a potem grożono jej, że jeśli piśnie komuś słowo, zabiją jej brata,

który też siedział- Gdyby miała chłopaka, uważano by ją za jego własność, a to chroniło niczym tarcza przed tego rodzaju przemocą. Nikt nie odważyłby się zgwałcić czyjejś kobiety.

Aby zaskarbić sobie moje względy, mężczyźni przysyłali mi jedzenie. Mary też dzieliła się ze mną, więc na szczęście nie chodziłam głodna. Kto miał pieniądze, przekazywał na zewnątrz listę sprawunków i w ten sposób „robił zakupy”. Wielu więźniów w pyszne domowe jedzenie zaopatrywały rodziny. Ja mogłam najwyżej marzyć o czymś takim. Żołądek nieraz skręcał mi się z głodu, zwłaszcza gdy czułam zapach ciepłych potraw. Teraz, kiedy nie paliłam cracku, miałam taki sam wilczy apetyt jak kiedyś w Amsterdamie. Nigdy nie mogłam się najeść do syta.

Niestety, szybko porzuciłam szlachetny zamiar, by trzymać się jak najdalej od cracku. Kiedy przyszły pierwsze pieniądze od mamy i kupiłam wszystko, czego mi było trzeba, trochę jeszcze zostało. Akurat siedziałyśmy zamknięte, a ja tak się nudziłam i taka byłam nieszczęśliwa, że postanowiłam raz jeden zapalić. No i jak tylko posmakowałam, znowu się zaczęło. Pomału zaczęłam sprzedawać swoje rzeczy, ubrania i kosmetyki, żeby mieć pieniądze na narkotyki. W Anglii crack miał postać twardych kawałków, tutejszy był zupełnie inny, miękki, o konsystencji piasku. Nie fałszowano go niczym i wystarczała niewielka ilość, by poczuć się dobrze.

Gdy zapaliłam i od razu zrobiło mi się błogo, nie mogłam zrozumieć, jakim cudem tak długo wytrzymałam, skoro miałam praktycznie nieograniczony dostęp do narkotyku, który w dodatku był tu bardzo tani. W celach często unosił się

charakterystyczny zapach. Gdy miałam ochotę zapalić, nie musiałam się nawet ruszać z miejsca, żeby go kupić. Pierwsza faza przyjemności po powrocie do nałogu szybko minęła i znów poczułam, że tonę. Narkotyk szybko przejął nade mną kontrolę. Dla dilerów crack był żyłą złotą, ponieważ gwarantował, że klient będzie go potrzebował coraz więcej i wciąż będzie po niego wracał. Sama nienawidziłam siebie za słabość. Wstydziałam się, że palę. Teraz więziły mnie nie tylko kraty, ale i opary dobywające się z firki. Im więcej paliłam, tym większe ogarniało mnie przygnębienie. Doskonale wiedziałam, co będzie dalej, a jednak gdy w długie upalne dni nie było nic do roboty, palenie czyniło życie znośniejszym - w narkotykowym odurzeniu przynajmniej na chwilę zniknęła świadomość, że nie odsiedziałam jeszcze nawet jednej dziesiątej wyroku.

* * *

W czasie mojego pobytu w San Antonio doszło do kilku więziennych strajków. Pewna Wenezuelka wyjaśniła mi, że mężczyźni po prostu od czasu do czasu strajkują, ale kobiet to nie dotyczy. Gdy zostanie ogłoszony strajk krajowy, biorą w nim udział wszystkie więzienia. Zaczyna się od strajku głodowego, który wcale nie jest tak drastyczny, jak można by się spodziewać, bo tak naprawdę oznacza tylko rezygnację z więziennego wikt i to, że ludzie sami dla siebie gotują. W ciągu dnia nikt nic nie je, za to w zamkniętych na noc celach odbywa się wielkie żarcie. Są to ciężkie czasy dla biedaków i narkomanów, w związku z tym przywódcy gangów finansują im wtedy wyżywienie.

Jeśli strajk głodowy nie daje rezultatów, stosuje się inne formy nacisku, a mianowicie okaleczenia. Rana, koniecznie na przedramieniu, musi mieć odpowiednią długość, co najmniej taką, by można było założyć pięćdziesiąt szwów. Jednocześnie we wszystkich więzieniach okalecza się około pięćdziesięciu mężczyzn. Jeśli to nie pomaga, władze szantażowane są jeszcze ostrzej - kilku ochotników umiera dla sprawy. Za mojej bytności w San Antonio raz tylko strajk osiągnął ten etap. U nas na szczęście nikt nie umarł, ale słyszeliśmy o śmierci w innym więzieniu.

Zupełnie nie rozumiałam, o co im chodzi ani po co są te strajki - mężczyźni nie rozmawiali z nami wtedy, bo mieli ważniejsze sprawy na głowie. Dowiedziałam się jedynie, że w takich strajkach bardziej chodziło o sprawy polityczne niż warunki panujące w więzieniach.

Okrucieństwo w San Antonio dotyczyło nie tylko ludzi. W więzieniu oprócz psów było też mnóstwo kotów, co najmniej trzydzieści. Ani strażnicy, ani więźniowie nie traktowali ich dobrze. Więziennicze jedzenie przeważnie było niejadalne, a więc je wyrzucano i najczęściej żywiły się nim koty. Pewnego dnia strażnicy postanowili się ich pozbyć. W asyście kilku więźniów mordowali je kamieniami i pałkami. To była prawdziwa masakra, martwe zwierzęta rzucono na stos w *annexo*. Miały porozbijane głowy, niektóre się jeszcze ruszały. Płakałam wtedy strasznie, nie mogłam się uspokoić. Biedne zwierzęta nie zrobiły przecież nikomu nic złego, a spotkały je tak okrutny los. Jedna z więźniarek schowała swojego oswojonego kota przed zwyrodnialcami. Staralam się nie patrzeć na makabryczny stos

martwych i zdychających stworzeń. Podobno ludzie okrutni dla zwierząt potrafią być okrutni także dla innych ludzi.

O działalności gangów sporo się dowiedziałam już pierwszego dnia pobytu w San Antonio. Jednak była to wiedza wyłącznie powierzchowna, kulisy bandyckich rozgrywek pozostawały dla mnie nieznane. Tyle że oswoiłam się z widokiem uzbrojonych półnagich mężczyzn na dachu.

Po kilku miesiącach nagle zaostrzyły się konflikty między bogatymi a biednymi i więzienie zmieniło się w strefę działań wojennych. Ze względów bezpieczeństwa kobiety zostały zamknięte w celach. Z *annexo* słyszałyśmy strzały, ale nic nie widziałyśmy. Dopiero drugiego dnia „wojny” zobaczyłyśmy rannego, którego na wpół przeciągnięto, na wpół przeniesiono przez dziurę w murze.

Przytaszczył go Anglik, który przedostał się w ten sposób do kobiecej części. Ranny otrzymał postrzał w brzuch i Anglik zamierzał go donieść do biura naczelnika, gdzie mógłby uzyskać pomoc lekarską - więzienny szpital się nie nadawał, miał charakter szkolnej izolatki.

Krew była wszędzie. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że ludzkie ciało zawiera jej aż tyle. Krwawy ślad znaczył drogę od pola bitwy w męskiej części więzienia aż do naszych cel. Ten przerażający widok pasowałby do filmów Quentina Tarantino. Aż trudno było uwierzyć, że to się *dzieje* naprawdę.

W ciągu swojego dwudziestoletniego życia nie doświadczyłam wojny, czy użycia broni palnej. Wprawdzie środowiska *związane* z narkomanami i handlarzami narkotyków uchodzą za brutalne i bezwzględne, ale nigdy przedtem nie byłam

świadkiem krwawej przemocy, W głowie mi się nie mieściło, że to wszystko dzieje się w więzieniu, niemal na oczach strażników, którzy sprawiali wrażenie zupełnie bezsilnych i podczas walk kryli się w swoich kwaterach. Samo wyjście na dwór mogło się skończyć tragicznie. W powietrzu unosił się suchy zapach prochu, a my byliśmy jak w pułapce, przerażone i bezradne.

Strzelanina trwała kilka dni, przez dziury w murze nieustannie napływali ranni. Jedni mieli drobne obrażenia, inni byli umierający. Martwych zostawiano tam, gdzie padli. Nie było co z nimi zrobić, dopiero pracownicy kostnicy mieli się nimi zająć.

Nie miałam pojęcia, ani jak zaczął się ten konflikt, ani o co w nim chodziło. Wenezuelska kultura wyrasta z pojęcia macho i kobiety nie mają prawa mieszać się do męskich spraw.

Pokój został zawarty po trzech dniach, kiedy już zginęło około dziesięciu więźniów. Strażnicy ponownie przejęli kontrolę, a przywracanie swoich porządków zaczęli od przykładowego ukarania winnych. Zaraz po ustaniu strzelaniny otwarto cele dla kobiet, więc widziałyśmy ciąg dalszy, równie przerażający jak niedawne walki.

Podeszłyśmy do bramy prowadzącej do męskiej części więzienia. Strażnicy musieli sforsować ją górą, bo więźniowie, wiedząc, co ich czeka, nie chcieli ich wpuścić. Ze zgrozą patrzyłyśmy, jak strażnicy pastwią się nad tymi ludźmi. Rozebranych do naga kazali leżeć nieruchomo na brzuchu na rozpalonym betonie, który był tak gorący, że nie dało się przejść po nim boso. Trudno nawet sobie wyobrazić mękę, jaką przeżywali ci nieszczęśnicy. Była druga po południu, najgorętsza pora dnia. Gorąco z góry,

gorąco z dołu, jak w piekielnym piecu. Gdy któryś się poruszył, bito go pałkami po plecach. Ukaranych tak zostało ponad tysiąc więźniów. To był koszmarny widok. Wszyscy mieli potem makabrycznie poparzoną skórę, a z czasem ogromne strupy.

Chciało mi się płakać, bardzo współczułam moim biednym rodakom, bo przecież to nie była ich wojna. Żałowałam, że nie mogę zrobić zdjęć i wysłać do organizacji zajmującej się prawami człowieka albo do jakiejś gazety. Jestem pewna, że wywołałyby szok i powszechne oburzenie.

Przez cały pobyt w więzieniu nie dowiedziałam się, o co chodziło w tych walkach i rywalizacji gangów. Po jakimś czasie świadomie przestałam zwracać uwagę na przemoc, bo inaczej chyba bym zwariowała. W San Antonio *jeszcze* kilka razy dochodziło do poważnych zatargów, ale starałam się w ogóle o nich nie myśleć i skupić się na przetrwaniu. To niezwykle, jak człowiek potrafi się przystosować nawet do najbardziej ekstremalnych warunków.

* * *

Była taka część więzienia, która się nazywała *maxima*. Trzymano tam więźniów odrzucanych przez obie grupy - bogatą i biedną. Za znalezienie się na terytorium którejś z nich groziła im śmierć. Na ogół ludzie ci zaczynali odsiadkę po bogatej stronie, po czym narażali się czymś i musieli uciekać na stronę biedną. Tu z kolei podpadali za jakieś zachowanie nie fair, na przykład za kradzież narkotyków innemu więźniowi.

Jeśli jakiś przywódca zdecydował, że ktoś zasłużył na karę śmierci, najpierw wydawał oficjalną zgodę. Te ustalone przez

samych więźniów zasady były bardzo surowe. Gdy *mężczyzna*, z maximy zabił kogoś bez pozwolenia, ponosił śmierć. Jeśli miał pozwolenie, nie spotykały go za to żadne sankcje. Straże uważały to za wewnętrzną sprawę więźniów i na ogół się nie wtrącały, choć niekiedy karano za to wszystkich więźniów.

Pewnego popołudnia do naszej części przybiegli czterej więźniowie z maximy, bladzi ze strachu, a za nimi wpadli strażnicy. Odruchowo chcieliśmy ich chronić i otoczyliśmy szczelnie. Strażnicy przedarli się przez ten zwarty krąg, jednego z uciekinierów postrzelili w bok, a resztę zabrali z powrotem do maximy i tam dla przykładu ukarali. Jęczącego z bólu ranego zostawili własnemu losowi.

Biedak czołgał się po ziemi, pozostawiając za sobą krwawy ślad. Szorowałyśmy potem to miejsce, ale krew nie dała się całkiem usunąć i była niczym blizna - świadectwo brutalności strażników. W takich chwilach nie dało się uciec od otaczającej nas grozy. Ciepło, słońce, cracku pod dostatkiem, co chwila jakieś imprezy, a jednak żyłam w piekle, w którym miałam jeszcze spędzić dziewięć i pół roku.

Na ogół gdy dzwoniłam do mamy, starałam się rozmawiać o rzeczach pozytywnych, żeby jej nie martwić. Jej głos w słuchawce, dochodzący ze świata niemającego nic wspólnego z zabijaniem i przemocą, brzmiał w moich uszach jak najpiękniejsza melodia. Jednak gdy zatelefonowałam do niej wkrótce po tym, jak w naszej części strażnicy zastrzelili więźnia z maximy, niespodziewanie się rozplakałam. Miałam już serdecznie dość tych więziennych porachunków. Chciałam przytulić Nikitę i znaleźć się wśród przyjaciół. Marzyłam, że idę zwykłą, angielską,

praworządną ulicą, gdzie większość męskiej populacji nie ma przy sobie broni.

- Ja już nie mogę - szlochałam głośno, przy mamie po raz pierwszy od wielu lat. - Chcę do domu. Nie zniosę tego dłużej.

Mama tak się przejęła moim stanem, że nazajutrz zadzwoniła na komórkę jednej z dziewczyn z wiadomością, że zarezerwowała bilety do Wenezueli dla siebie i mego przyrodniego rodzeństwa.

Strasznie się cieszyłam z ich przyjazdu. W duchu liczyłam na to, że może mama przywiezie Nikitę.

Dałam jej długą listę potrzebnych mi ubrań, oczywiście nie przyznając się, że znów nie mam co na siebie włożyć, bo wszystko sprzedałam, żeby mieć pieniądze na crack. Brakowało mi ulubionej muzyki i mama obiecała przywieźć trochę kompaktów. Prosiłam ją też o różne kosmetyki. Gorące dni, wypełnione nudą i monotonnym trzeszczeniem cykad, ciągnęły się bez końca. Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany moment. Z przejęcia aż mnie ścisnęło w dołku. Byłam bardzo szczęśliwa, że ich zobaczę, ale jednocześnie się denerwowałam. Próbowałam uprzedzić mamę, z czym może się zetknąć w San Antonio, ale jakoś nie bardzo mi wierzyła. W Anglii nikt nie uwierzyłby w większość opowieści o tutejszych więzieniach.

W dniu przyjazdu wdrapałam się na drzewo rosnące przy murze, żeby wypatrywać taksówki. Mieli przyjechać z Dougla-sem, który odwiedzał mnie co jakiś czas.

Cóż to była za radość zobaczyć mamę. Dawniej różnie się między nami układało, ale to przecież była moja matka i w tym momencie nikogo bardziej nie pragnęłam ujrzeć. Przywiozła

mi wszystko, o co prosiłam, a do tego bardzo dobrego discmana.

Nie zmieniła się, odkąd ją ostatni raz widziałam. Wciąż była szczupłą, atrakcyjną kobietą, tyle że w okolicach oczu i ust pojawiły się zmarszczki. Brat i siostra bardzo wyrosli i z trudem ich poznałam.

Cała rodzina była przerażona warunkami panującymi w więzieniu.

- Ty głupia dziewczyno. Aleś się wpakowała - rzucił na przywitanie Alan. Czułam się za dorosła na połajanki i nic nie odpowiedziałam.

Mama wyraziła dezaprobatę dla braku mundurów u półnagich strażników patrolujących dach. Delikatnie wyjaśniłam, że to więźniowie, nie strażnicy. Zszokowana umilkła. Kilku podeszło nawet i pokazało broń z bliska. Nie chciałam straszyc mamy, tylko przekonać ją, że nie przesadzałam. Oprowadziłam ją po części przeznaczony dla kobiet, bo *prang* nie zgodził się jej wpuścić do męskiej części więzienia. Nie chciał ponosić odpowiedzialności, za to, co mogłoby się jej tam przydarzyć.

Kiedy już obejrzelśmy więzienie, pozwolono mi wyjść z gośćmi za mury i tam usiąść przy stoliku bez żadnego dozoru. I tak złapano by mnie natychmiast, gdybym próbowała uciekać. Za murami czułam się dziwnie i niewiarygodnie zazdrościłam moim bliskim, że mogą swobodnie stąd odejść, podczas gdy ja muszę wracać do szaleńców załatwiających porachunki za pomocą broni palnej.

Mama odwiedzała mnie prawie codziennie, ale już sama. Tak zresztą wołałam. Brat i siostra byli jeszcze za mali na niektóre widoki.

Cieszyłam się, że mam ją przy sobie, ale między nami niewiele się zmieniło. Ciągle mnie strofowała, choć tyle razy okazywało się to bezskuteczne.

- Nie jestem już dzieckiem, mam - powiedziałam w końcu.
- Ja naprawdę dużo już przeszłam w życiu. - Wtedy dopiero skapitulowała.

Nie chciała więcej wchodzić do środka i spotykałyśmy się za bramą. Chyba się bała. Zasypywałam ją pytaniami o Nikitę. Opowiadała o niej dużo, ale i tak nie mogło to zastąpić fizycznej obecności mego dziecka. Ostatniego dnia żegnałyśmy się z płaczem i długo patrzyłam za nią, jak odchodzi. Gdy tak oddalała się coraz bardziej, nagle usłyszałam wewnętrzny głos, który mówi: „Zapamiętaj dobrze tę chwilę, bo widzisz matkę po raz ostatni”.

Odepchnęłam tę myśl. Przecież mama jest jeszcze młoda. Przyrzekłam sobie uroczyście, że znajdę jakiś sposób, żeby się stąd wydostać wcześniej niż za dziesięć lat. A jednak moja intuicja mnie nie zawiodła: już nigdy jej nie zobaczyłam.

Oprócz cracku w więzieniu dostępny był ritalin, lek stosowany w leczeniu ADHD u dzieci, tutaj wykorzystywany do całkiem innych celów. Gdy mężczyźni zaczęli strzelać na wszystkie strony, od razu było wiadomo, że przyszła dostawa ritalinu. Postanowiłam go wypróbować. Tabletki wprowadzały mnie w stan śpiączki, co pomagało przetrwać długie dzień. Kiedy przestawałam brać, popadałam w depresję. Nigdy przedtem nie miałam samobójczych myśli, ale teraz ciągle dręczyło mnie uczucie, że mam dosyć wszystkiego i nie chce mi się już żyć. Byłam

w San Antonio dopiero od roku i zupełnie sobie nie wyobrażałam, jak spędzę tu następnych dziewięć lat. Przedtem w ogóle nie dopuszczałam do siebie tej myśli, teraz wiedziałam już, że po prostu nie wytrzymam. Najlepsze lata zmarnowane przez własną głupotę. Co mnie opętało? Jak mogłam sądzić, że przymyt kokainy ujdzie mi na sucho?

W końcu doszłam do wniosku, że nie ma takiej możliwości, bym przeżyła dziewięć lat w tych strasznych, nienormalnych warunkach. Już lepiej umrzeć. Żal wprawdzie zostawiać Nikitę samą, ale przecież i tak już ją opuściłam. Przynajmniej jest bezpieczna w domu Eve, szczęśliwa i kochana.

Poczułam się dużo spokojniejsza, podjąwszy decyzję o śmierci. W końcu znalazło się jakieś wyjście. Uzbierałam jak najwięcej kokainy i tabletek ritalinu i zażyłam wszystko naraz.

- Żegnaj, świecie - wymamrotałam, i świat pociemniał.

Gdy się obudziłam, myślałam, że minęło zaledwie kilka godzin. Byłam wściekła, że moje samobójcze plany się nie powiodły. Z nienawiścią patrzyłam na brudne ściany i zatłoczoną celę, które zanim zapadłam w błogą nieświadomość, miałam nadzieję oglądać po raz ostatni.

- Witamy z powrotem. Nie było cię dwa dni, wzięłaś coś naprawdę mocnego - powiedziała Mary. Byłam oszołomiona i przede wszystkim gorzko rozczarowana, że nadal tu jestem.

Następnego dnia miała się odbyć impreza, a ja po raz pierwszy postanowiłam zostać. Nieudana próba samobójcza zdecydowanie mnie odmieniła. Nigdy nie byłam specjalnie religijna,

ale coś mnie tknęło. Tyle głupstw już popełniłam, że dawno powinno mnie nie być, a tymczasem ciągle żyję. Może w takim razie Bóg nie chce mojej śmierci?

W celi nie było nikogo, wszystkie moje towarzyszkę poszły na przyjęcie. Nagle, niespodziewanie dla mnie samej, upadłam na kolana i doznałam niezwykle dziwnego stanu. Jakby mnie coś nawiedziło. Skulona w pozycji embrionalnej, modliłam się gorąco, jak nigdy dotąd.

- Proszę cię, Boże, wyzwól mnie od narkotyków. Nie chcę brać, to nie jestem prawdziwa ja. - Pierwszy raz absolutnie szczerze miałam dosyć pułapki, w której się znalazłam. Czułam się chora i zmęczona.

Cała się spociłam, a ten stan, przypominający trans, trwał kilka godzin. Nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje, a jednocześnie mój umysł pracował jasno i logicznie. Zabrzmi to może dziwnie, ale nagle zapragnęłam dać Bogu szansę, aby mi pomógł. Klęcząc na gołej podłodze celi więzienia San Antonio, zawarłam z Panem Bogiem przymierze: On mnie stąd wydostanie, a ja nigdy więcej nie sięgnę po narkotyk.

Dopiero wtedy ciało się odprężyło i zrobiło mi się bardzo dobrze. Poczulałam spokój. Chęć zapalenia czy zażycia narkotyków w jakiegokolwiek innej formie zniknęła bez śladu.

Crack przytępiał wrażliwość i osłabiał reakcję na zło, jakie się tu działo, więc paląc go, nie do końca sobie uświadamiałam, jak bardzo nienawidzę życia w San Antonio.

Chociaż nie można było tu wyjść na przepustkę, ale podobno istniała taka możliwość w Caracas. Jedna z dziewczyn poprosiła o przeniesienie do Caracas, ale nie dostała zgody. Zwierzyłam

się Mary, że choć szanse na powodzenie są marne, chcę poprosić o przeniesienie i zacząć wszystko od nowa.

Ona też miała na to ochotę. Wahała się, bo kochała swego Carlosa, który odsiadywał wyrok w San Antonio, i nie chciała zostawiać go samego. Miał jednak wkrótce wyjść na wolność, ustalili więc, że jeśli jej się uda dostać przeniesienie, to będzie ją regularnie odwiedzał w Caracas. A gdyby mogła wychodzić na przepustkę, spotykaliby się w mieście jak normalni ludzie. Obie złożyłyśmy podania, nie spodziewając się jednak odpowiedzi.

Wieczorami leżałyśmy na patio, patrząc w niebo. Było to najczystsze, najpiękniejsze niebo na świecie, zawsze pełne spadających gwiazd.

Zwierzyłam się jej, że przestałam palić crack i zamierzam całkowicie odmienić swoje życie. Liczyłam na to, że po przeniesieniu do Caracas znajdę stałą pracę i wyrobię sobie przepustkę z więzienia. Tak zaplanowałam swój pierwszy krok na nowej drodze. Dawniej nie chciało mi się pracować, ale teraz uznałam, że praca jest dla mnie najważniejsza. Muszę uczciwie zarobić na utrzymanie Nikity. Kiedyś marzył mi się wielki dom z basenem i luksusowe samochody w garażu. Teraz wołałam wyjść za mąż, mieć dom, dzieci i prowadzić najzwyczajniejsze życie, którym dotąd pogardzałam. Nie zdając sobie z tego sprawy, właśnie stawałam się dorosłą.

Często opowiadałam Mary o Nikicie.

- Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo za nią tęsknię - powtarzałam w kółko. - Chcę wrócić do domu i być dla niej lepszą matką. Boję się, że mnie zupełnie zapomni.

- Na pewno cię nie zapomni. Jeszcze będziesz wspaniałą matką.

Ona z kolei czasem opowiadała o Carlosie.

- Jest zupełnie inny niż faceci, których znałam wcześniej, w Niemczech. Ja go naprawdę kocham, Natalie.

- I widać też, że on jest w tobie zakochany po uszy.

Tydzień później, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, jedna z dziewczyn przyniosła nieoczekiwaną wiadomość.

- Przenoszą was, zaraz wyjeżdżacie.

Życie bez facetów

Jestem już na nowym miejscu. Pracuję - szyję kaptcie i poduszki. Gramy tu w siatkówkę, ping-ponga, koszykówkę i szachy. Mamy komputery i można korzystać z internetu. Jak Nikita? Błagam, przyślij mi jej zdjęcie w mundurku szkolnym. Jesteś naprawdę kochana, Eve. Nigdy nie zapomnę, ile dla mnie zrobiłaś. Do końca życia nie zdołam Ci się odwdziaczyć za Twoje poświęcenie dla Nikity. Co wieczór modłę się za Ciebie i dziękuję Bogu, że mam taką przyjaciółkę.

List Natalie do Eve, październik 2002 roku

Ao? — dosłownie nas zatkało. Jak *to*? Tak po prostu wyjeżdżamy z San Antonio? Ja byłam ogromnie szczęśliwa. Mary mniej. Nie spodziewała się, że jednak nas przeniosą, i nie przygotowała się psychicznie na rozstanie z ukochanym.

Wciąż oszołomione wiadomością, udałyśmy się do biura naczelnika, a tam potwierdzono, że przeniesienie jest już

w toku. Popędziłyśmy co tchu do celi i zaczęłyśmy się pakować. Nie zabrało mi to dużo czasu, większość rzeczy przecież sprzedalam. Resztę szybko wrzuciłam do torby. Eskortowało nas czterech strażników. Na ogół strażnicy byli mniej surowi niż strażniczki, więc podróż zapowiadała się sympatycznie. Tak się cieszyłam, że opuszczam San Antonio, że nawet nie obejrzałam się za siebie, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę. Chciałam jak najszybciej zatrzeć w pamięci wspomnienia tego miejsca, które kojarzyło mi się z piekłem. Zbyt wiele okrucieństwa i przemocy tu widziałam. Byłam pewna, że żadne wenezuelskie więzienie nie może być gorsze niż San Antonio.

Policyjna furgonetka miała nas dowieźć do statku płynącego na kontynent. Zanim wsiadłam do samochodu, głęboko wciągnęłam powietrze do płuc. Dużo czasu spędzałyśmy na dworze, jednak poza murami pachniało zupełnie inaczej. Przez moment oddychałam wolnością. Po raz pierwszy od aresztowania na lotnisku poczułam przyływ nadziei i optymizmu.

Jazda do portu trwała około godziny. Na szczęście nie skuto nas przed wejściem na statek, a potem strażnicy pozwolili nam chodzić swobodnie po pokładzie. Noc była ciemna i gwiazdziста, wiatr przyjemnie chłodził twarz i przez chwilę poczułam się, jakbym była wolna. Starałam się jak najdłużej chłonąć tę chwilę i dobrze ją zapamiętać na te dziewięć lat, które mnie czekało. Takie wspomnienia bardzo dodają sił w trudnych chwilach.

Zależało mi teraz - co nigdy się dawniej nie zdarzyło - żeby jak najlepiej wykorzystać każdą dobrą rzecz, jaka mnie spotykała. Już nie traktowałam życia na zasadzie „przecież mi się należy”. Kiedyś istniało dla mnie tylko tu i teraz i liczyły się

wyłącznie przyjemności, obecnie po raz pierwszy poważnie myślałam o konsekwencjach swoich poczynań.

Podczas tej podróży byliśmy traktowane jak ludzie wolni. Przyjemnie było choć tak krótki czas nie nosić piętna przestępcy. Miałam nadzieję, że pozostali pasażerowie uważają nas za zwykłe turystki.

Gdyby eskortowały nas kobiety, na pewno byłybyśmy skute przez całą drogę. Siedząc na pokładzie, rozważałam możliwość ucieczki, ale nic sensownego nie udało mi się wymyślić. Skok do wody to głupie, a ucieczka w porcie przy wysiadaniu raczej nie miała szansy się udać.

W Caracas strażnicy jednak skuli nas kajdankami, a potem zaprowadzili do... zwykłego autobusu. Zdjęto nam kajdanki, dopiero gdy zajęłyśmy miejsca. Ubawiłam się setnie na myśl o takim przewożeniu więźniów w Anglii.

Po godzinie był postój na parkingu dla ciężarówek.

- Jesteśmy bardzo głodne i chce się nam pić - powiedziałyśmy strażnikom.

- Dobra. A co byście chciały? - spytał jeden z nich.

- Jacka Daniela sa - zażartowałam.

Ku memu zdumieniu strażnik przyniósł butelkę. Napiliśmy się wszyscy, resztę zostawiliśmy na potem. W pewnej chwili, gdy się trochę upiłam, strażnik usiłował mnie namówić na seks na tylnym siedzeniu autobusu. Na szczęście nie byłam aż tak pijana.

- Nie mogę tak przy ludziach - upierałam się.

- A ja ci kupiłem whisky - odparł z wyrzutem, jakbym się wycofała z zawartego wcześniej układu. Sytuacja była tak

absurdalna, że gdybym w Anglii o tym opowiedziała, nikt by nie uwierzył, że mogło się zdarzyć coś takiego.

Zrezygowany strażnik przestał pchać się do mnie z łapami i reszta podróży minęła bez żadnych incydentów. W miejscowości Los Teques wysiedliśmy z autobusu i strażnicy wzięli taksówkę. Jechaliśmy do kobiecego więzienia zwanego INOF-em (skrót od hiszpańskiej nazwy oznaczającej Narodowy Instytut Kobiet), mieszczącego się w budynku po żeńskim klasztorze. Przeszył mnie dreszcz, gdy pierwszy raz ujrzałam to miejsce. Usytuowane na szczycie wzgórza więzienie zupełnie nie przypominało San Antonio. Konwojenci przekazali nas i w środku od razu przeszliśmy rewizję osobistą. Pierwszy raz mnie coś takiego spotkało. Akurat miałam okres i byłam po wielu godzinach jazdy autobusem. Czułam się mocno zażenowana i upokorzona.

Potem strażniczka zaprowadziła nas do cel. Było tu zupełnie inaczej niż w San Antonio. Szliśmy otwartym przejściem z niskim murkiem po jednej stronie. Przy samej ścianie zobaczyłam przemykającego się szczura, chyba największego, jakiego widziałam w życiu. Był niemal wielkości kota. Aż się wzdrygnęłam na myśl, że może być ich więcej. Na szczęście w głównym budynku więziennym nie było ich tak dużo. W INOF-ie zdarzały się też węże. Nie wiem, czy były jadowite. Jedna z kobiet złapała raz takiego i obdarła ze skóry. Pokazała mi go, był ogromny. Co wieczór modliłam się, żeby żaden wąż nie wlaźł mi do łóżka.

Zauważyłam, że kobiety polewają łóżka wrzątkiem.

- Co one robią? - spytałam strażniczkę.

- Wypędzają karaluchy - padła odpowiedź.

Przyjrzałam się dokładniej i zobaczyłam chmary robactwa wychodzącego z ram łóżek. Aż mi się niedobrze zrobiło na ten widok. Okazało, że karaluchy są wszędzie i po prostu trzeba było z nimi jakoś żyć. Jak tylko jakiś się pokazał, któraś spokojnie brała kłapek i waliła na odlew, aż chrzęściła chityna.

Mary umieszczono w innej celi niż mnie, z dziewczyną, która przybyła z San Antonio kilka dni przed nami. W mojej celi było dość tłoczno. Znow z początku duże zainteresowanie budziły moje niebieskie oczy i blond włosy. Łóżka były piętrowe, ale część więźniarek spała na podłodze, co od razu skojarzyło mi się z policyjnym aresztem i natychmiast straciłam humor.

„O, nie! Trzeba było zostać w San Antonio” - mruknęłam pod nosem.

Przyjechałyśmy rano, więc miałyśmy cały dzień na zapoznanie się z nowym miejscem. Wkrótce zaczęłam się drapać po nogach i odkryłam charakterystyczne ślady. Zawsze, kiedy znalazłam się w nowym miejscu, gryzły mnie komary, ale tylko przez kilka pierwszych dni. Potem całkowicie traciły zainteresowanie moją osobą.

Główny blok w INOF-ie miał kilka kondygnacji. Dziewczyny stały tu na poszczególnych piętrach i porozumiewały się między sobą na migi. Do przekazywania wiadomości służyła cała górna połowa ciała, a zatem sygnały widoczne były nawet z daleka. Nie raz później widziałam, jak ludzie, którzy po wyjściu z więzienia spotykali się na ulicy, rozmawiali ze sobą w ten sposób.

Na dziedzińcu kilka kobiet grało w siatkówkę. Spytałam jedną z dziewczyn z celi, czy każdy może grać. Odparła,

że w więzieniu są drużyny i że nawet mają trenera spoza zakładu. Rozgrywane są *mecze* z innymi drużynami więziennymi, a czasami na turnieje *przyjeżdżają* zwykle zespoły z zewnątrz.

Razem z Mary poszłyśmy obejrzeć więzienie. W centrum kompleksu był kościół i duży dom kultury.

Odkryłyśmy też małą fabrykę zarządzaną przez więźniarki i pomyślałam, że mogłabym tu pracować. W San Antonio nie było takiej możliwości. Jedzenie miałyśmy za darmo i okazało się całkiem jadalne - ryż, zielone banany warzywne zwane plantanami, jajka, kurczaki, różne duszone potrawy, banany, pomarańcze. Wszystko przygotowywano w ogromnej kuchni. Był też dobrze zaopatrzony sklep. Doszłam do wniosku, że może INOF wcale nie będzie takie złe. Już w czasie pierwszego spaceru było widać, że jest tu zupełnie inaczej niż w San Antonio. Trudno wyobrazić sobie akty przemocy w miejscu, gdzie są same kobiety. Raczej przestrzegano tu prawa.

Mary zostawiła mnie, bo chciała pobyć chwilę sama. Tęskniła za ukochanym. Bez niej było mi smutno. Znajdowaliśmy się w górach i siedząc na ławeczkach można było podziwiać krajobraz. Patrząc na urocze górskie widoczki, znów przypomniałam sobie chaos i bezprawie w San Antonio i doszłam do wniosku, że jednak postąpiłam słusznie.

Było tu pięć automatów telefonicznych, które - o dziwo - działały. Na miejscu kupowało się do nich karty. Nareszcie wróciłam do cywilizacji. Jeszcze bardziej ucieszyłam się z dostępu do internetu. Zgodnie z przepisami raz na dwa dni można było zarezerwować sobie godzinę korzystania. Czasem, jeśli akurat trafił się wolny komputer, można było usiąść przy nim

bez wcześniejszego zamawiania. Nareszcie mogłam regularnie porozumiewać się z rodziną. Cóż co była za radość, gdy nawiązałam kontakt z mamą. Dzięki e-mailom miałam na bieżąco wiadomości z domu, zwłaszcza o Nikicie, na co rzucałam się szczególnie łapczywie. Udało mi się odmalować dość pogodny obraz bezpiecznego i uporządkowanego życia w INOF-ie i uspokoić mamę, że już nie mieszkam w strefie działań wojennych. Mimo dzielącej nas odległości czułam bliskość mamy, a nasze relacje w cyberprzestrzeni były dużo lepsze niż przez całe lata w realu.

Na początku nie znałam nikogo i często chodziłam w kółko bez celu, nudząc się jeszcze bardziej niż w San Antonio. Wkrótce jednak zapisałam się do więziennej szkoły i zaczęłam się uczyć hiszpańskiego - do tej pory poznałam głównie uliczny slang i nadszedł czas, by nauczyć się tego języka od podstaw. Zaczęłam pracować w fabryce poduszek i zarabiać.

Nasza kierowniczką, też więźniarką, dawała nam do haftowania poduszki, które potem były sprzedawane. Była też w INOF-ie fabryczka produkująca wenezuelskie flagi. Miała całkiem niezły przerób. Zarządzająca nią więźniarka przed wyjściem na wolność odsprzedała ten interes.

Dostawałyśmy wzory i materiały, mogłyśmy pracować każda w swoim tempie. Prostym ściegiem krzyżkowym wyszywałyśmy poduszki i ręczniki. Ponieważ chodziłyśmy szyć do pracowni, czułam się niemal tak, jakbym wychodziła do pracy poza więzienie. Na środku pokoju stał duży stół, przy którym siadałyśmy z robotą i gadałyśmy. Głównie o widzeniach, ale też o rodzinach, piłce nożnej i zbliżających się wydarzeniach.

Kobiety zawsze ciepło mówiły o swoich najbliższych. Więzi rodzinne były dla nich bardzo ważne. Wiele z nich pochodziło z Caracas, więc regularnie odwiedzali je krewni i znajomi. Do mnie przyjeżdżali tylko pracownicy ambasady. O tym wszystkim gadałyśmy, szyjąc i haftując.

Dotrzymałam obietnicy danej Panu Bogu. Nie odważyłam się jej złamać, bo byłam pewna, że to dzięki Niemu tak szybko i niespodziewanie wydostałam się z San Antonio. W INOF-ie rzadko która paliła trawkę, a crack był mocno zakonspirowany. Nie interesowały mnie już jednak narkotyki i nie szukałam kontaktu z osobami, które je brały.

Atmosfera w trakcie widzeń była swobodna, miały one charakter zdecydowanie towarzyski, zupełnie inaczej niż w Anglii. Czasem przychodzili ludzie z pobliskich parafii i przynosili nam coś do jedzenia oraz środki higieny. Rozmowy podczas odwiedzin toczyły się oczywiście najczęściej wokół wyjścia na przepustkę.

Ważną chwilą była dla mnie pierwsza wypłata za szycie - zarobiłam równowartość półtora funta. Aby to uczcić, kupiłam sobie paczkę popularnych tutaj ciasteczek Oreo.

Raz do roku ktoś z zewnątrz pomagał dziewczynom przygotować wielki pokaz mody. Była to znana impreza, na którą zjeżdżali ludzie z całego kraju. Kręciło się tu wtedy sporo osób z zewnątrz, co było znakomitą okazją do przemycania na teren więzienia telefonów komórkowych i narkotyków. Ale i tak skala przestępczości w INOF-ie była bez porównania mniejsza niż w San Antonio. Więźniarki przestrzegały dyscypliny

i pilnowały się wzajemnie, a fizyczna przemoc była nie do pomyślenia. Broń i strzelaniny stały się odległym wspomnieniem, toteż stan moich nerwów znacznie się poprawił.

Więzienie San Antonio w ogóle miało złą sławę. Kiedy mówiłam, że przyjechałam stamtąd, przeważnie słyszałam: „O Boże, przecież tam jest strasznie”.

W pierwszych tygodniach pobytu w INOF-ie nie zgadzałam się z tym. Z początku brakowało mi specyficznej atmosfery San Antonio, a także obecności mężczyzn. Zabrzmi to może dziwnie, biorąc pod uwagę, co się tam działo, ale chwilami troszkę tęskniłam do dawnego, ekscytującego życia.

Wkrótce weszłam w tutejszy rytm zajęć i poczułam się dużo lepiej. Lubiłam uczyć się hiszpańskiego i przykładałam się do nauki - znacznie bardziej niż kiedyś w szkole. Chętnie uczyłam się sama, nie czekałam, aż ktoś mi coś zada. Było to znacznie ciekawsze niż dawne wkuwanie na pamięć.

Więzienie miało wiele korytarzy, piętér i galerii. Po jakimś czasie znalazłyśmy się z Mary w celach położonych naprzeciwko siebie. Niektóre cele przypominały dom: miały wygodne łóżka, jasne kolorowe tkaniny na ścianach, a nawet telewizory. Znów zupełnie inaczej niż w San Antonio. Czasami wszystko to bardziej przypominało normalne życie niż więzienie.

Przedstawiciele ambasady odwiedzali mnie również tutaj. Wenezuelki zawsze były mocno zainteresowane wizytami pracowników przedstawicielstw obcych państw ze względu na prezenty, które przywozili. Szybko też rozchodziła się wieść o takich odwiedzinach. W rankingu hojności najwyżej cenione były ambasady amerykańska, angielska i holenderska. Wbrew

temu, co sądziły miejscowe kobiety, ambasady przeważnie nie płaciły z własnej kieszeni, tylko przekazywały pieniądze lub rzeczy przysłane przez rodziny osadzonych. Przywożono nam czasopisma, kosmetyki i środki higieny. Trochę przypominało to taką dodatkową gwiazdkę.

Czasami wiedziałyśmy, kiedy przyjadą, a czasami pojawiali się bez zapowiedzi. Raz odwiedziła mnie zatrudniona w ambasadzie Wenezuelka, co było dużym rozczarowaniem, gdyż byłam bardzo spragniona kontaktu z rodakami. Zachowywała się oficjalnie i obojętnie podchodziła do ważnych dla mnie spraw. Jednym z tematów naszej rozmowy było porozumienie o wymianie więźniów. Za każdym razem, gdy pytałam o to przedstawiciela ambasady lub konsulatu, słyszałam tę samą śpiewkę: „Wenezuela nie podpisała jeszcze ważnych dokumentów i nie nastąpi to tak szybko”. I rzeczywiście, nie nastąpiło przez cały ten czas, kiedy siedziałam w więzieniu.

W INOF-ie życie toczyło się według regulaminu i odgórnie ustalonego rozkładu dnia, co też zupełnie nie przypominało zwyczajów panujących w San Antonio. Co dzień rano była obowiązkowa zbiórka - ustawiałyśmy się w szeregu w korytarzach i na galeriach przed celami. Zupełnie jak na szkolnym apelu czytano nam zarządzenia i ogłoszenia. Za przyłapanie na rozmowie groziło odesłanie do celi. Był to jedyny moment, kiedy wszystkie więźniarki spotykały się w jednym miejscu, korzystałyśmy więc z tego, aby przekazywać sobie wiadomości. Obowiązkowo musiałyśmy odśpiewać hymn narodowy - ze słowami typu „wieczna chwała naszemu krajowi”. Zupełnie

nie podzielałam tych uczuć wobec państwa, które skazało mnie na dziesięcioletnie więzienie.

Nauczyłam się jednak słów hymnu i specjalnie śpiewałam na całe gardło. „Skoro sobie życzą, to niech mają” - myślałam z mściwym zadowoleniem.

Straż więzienna nie traktowała nas źle. Strażniczki nam współczuły i pomagały przetrwać. Nie nadużywały swojej władzy, ale oczywiście brały łapówki. Karę odsiadywało całkiem sporo cudzoziemek - około pięćdziesięciu na sześćset osób. Poznałam Vivi, którą wszyscy uważali za Szwedkę, bo przyjechała do Wenezueli ze szwedzkim paszportem, ale tak naprawdę pochodziła z Rumunii. Nie byłam z nią wtedy zaprzyjaźniona, ale los miał nas jeszcze ze sobą zetknąć.

Mary próbowała się dodzwonić do swego ukochanego Carlosa, jednak bezskutecznie. W końcu zdesperowana zadzwoniła do znajomego strażnika.

- Carlosa zastrzelili - poinformował sucho.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, bo on nie lubił Carlosa. Rozpłakała się. Po raz pierwszy, odkąd się poznałyśmy, okazała emocje.

Zadzwoniła do przyjaciela Carlosa w nadziei, że strażnik ją okłamał, ale tamten potwierdził tragiczną wiadomość. Mary ogromnie to przeżyła. Dla mnie też był to duży wstrząs.

Przy niej Carlos zawsze zachowywał się spokojnie, więc wyrzucała sobie, że wyjechała z San Antonio i zostawiła go samego. Gdyby tego nie zrobiła, może trzymałby się z dala od kłopotów i żył do dziś. Cierpiała strasznie. Strażnicy i więźniowie San Antonio nie przejęli się specjalnie. Życie było

tu tanim towarem, ciągle ktoś ginął. Dumna i zamknięta w sobie Mary płakała tylko ten jeden raz, potem nawet nie wspominała jego imienia.

Podczas mojego pobytu w INOF-ie w Wenezueli ogłoszono stan wyjątkowy. Niewiele rozumiałam z tutejszej polityki, trudno mi też było wyczuć, jaki jest naprawdę stosunek więźniów do Chaveza. Pensjonariusze wszystkich zakładów penitencjarnych mieli podjąć decyzję, jak reagować na tę sytuację. Gdyby próbowali wykorzystać zamieszanie i uciec, straż więzienna miała prawo do nich strzelać. Nie wiem jak, ale w końcu podjęto wspólną decyzję, że żadnych ucieczek ani buntów nie będzie.

Różne rzeczy, które widziałam w INOF-ie, wydawały się nie do pojęcia, a na moich wenezuelskich towarzyszkach niedoli w ogóle nie robiły wrażenia. To, co mnie szokowało, dla nich było zwyczajne. Pewnego dnia przywieziono niejaką Faith. Została zatrzymana na lotnisku, bo wiozła narkotyki w walizce, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby prześwietlić ją samą. Tymczasem wcześniej połknęła duże ilości kokainy. Kilka godzin po przybyciu do nas poszła spokojnie do toalety, wydziła kokainę upchaną w prezerwatywie, po czym najpierw sobie zapaliła, a potem sprzedała resztę narkotyku. Nie wiem tylko, czy poza więzieniem, czy też towarzyszkom z celi.

Więzienie INOF leżało w górach, dzięki czemu nie panował tu taki upał jak w San Antonio i życie było znośniejsze. Daleko mi jednak było do szczęścia, a najgorsza w tym wszyst-

kim była świadomość, że za kratkami pozostanę jeszcze wiele lat. Na dodatek względny spokój mojej egzystencji zburzyły bardzo złe wiadomości.

Odjakiegoś czasu mama uskarżała się na złe samopoczucie. Stale czuła zmęczenie i senność, a lekarz podejrzewał depresję. Jakoś nie wierzyłam w tę diagnozę. Kilka tygodni później zasłała i zabrano ją do szpitala. Zawiadomiono mnie o tym poprzez ambasadę. Lekarze zrobili mnóstwo badań i nic nie znaleźli. Po kilku miesiącach ze względu na stan zdrowia musiała zrezygnować z pracy sekretarki w miejscowym ośrodku opieki społecznej. Nawiasem mówiąc, dziwiło mnie zawsze, że pracowała w instytucji, z którą zawzięcie wojowała, kiedy ja byłam pod ich opieką. W pracy ceniono ją i lubiano.

Stan zdrowia mamy stale się pogarszał, ale lekarze nadal nie umieli postawić diagnozy. Pewnego dnia, kiedy Mary miała korzystać z przysługującej jej godziny dostępu do internetu, poprosiłam, żeby sprawdziła moją pocztę. Przyszła do mnie biała jak papier i bardzo poważna. Mary zawsze mówiła prawdę, nigdy nie owijała w bawełnę.

- Natalie, tak mi przykro. Twoja mama ma raka płuc.

Totalny szok, cały świat legł w gruzach. Mama przeszła mnóstwo badań i dotąd niczego nie wykryto, więc coraz częściej myślałam sobie, że może jednak pierwszy lekarz miał rację i że to jednak depresja. Raka w ogóle nie brałam pod uwagę. Od razu pobiegłam do telefonu.

Podczas rozmowy z mamą cały czas powstrzymywałam łzy. Chciałam zachować spokój ze względu na nią, ale w środku byłam kompletnie roztrzęsiona. Dotąd wydawało mi się,

że zawsze będzie w zasięgu telefonu, zawsze będzie odpisywać na moje e-maile i zawsze będzie podnosić mnie na duchu.

- Tak, mam raka. Bez szans na wyzdrowienie. Czeka mnie chemioterapia - powiedziała spokojnie, jakby to nie było nic szczególnego.

Zatem było naprawdę źle. Pocięczałam się, że chemioterapia może pomóc. Znowu starałam się odsuwać od siebie złe myśli. Po prostu nie przyjmowałam do wiadomości, że mama jest śmiertelnie chora.

Jakiś czas potem znów z nią rozmawiałam. Miała bardzo zmęczony głos.

- Zamierzam przerwać chemioterapię. Fatalnie się po niej czuję. Wolę żyć krócej, ale za to być przytomna i spędzić czas, który mi jeszcze został, z moimi dziećmi.

- Proszę nie rób tego. Lekarze na pewno ci pomogą - płakałam.

Po tej rozmowie bałam się nawet myśleć, co będzie dalej. Prawda wyglądała tak, że zostało jej niewiele życia. Nie umiałam się z tym pogodzić, zwłaszcza że byłam tak daleko i nawet nie mogłam się z nią zobaczyć. Modliłam się o cud. Aż dreszcz mnie przeszył, kiedy nagle przypomniałam sobie jej ostatnią wizytę u mnie w San Antonio i tamto dziwne przecucie, że widząc ją po raz ostatni.

Aby nie zwariować od smutnych myśli, rzuciłam się w wir zajęć, między innymi zaczęłam grać w piłkę. Bardzo żałowałam, gdy nie wybrano mnie do reprezentacji więziennej.

Wokół więzienia usytuowane były wieżyczki strażnicze, ale nie zawsze ktoś w nich siedział. Wytypowałam strategicz-

nie dogodne miejsca i wyobrażałam sobie, jak przecinam druty nożycami i uciekam. Snułam marzenia, że wracam do Anglii, żeby jeszcze побыć z mamą.

Nawet gdyby udało mi się uciec, nie miałam dokąd pójść i bardzo szybko by mnie złapali. Jednak fantazjowanie o wolności pomagało mi zabić czas.

W INOF-ie tylko raz miałam kłopoty, a wszystko przez Węgierkę Dalmę, która miała problemy psychiczne.

Obsesyjnie powtarzała, że na pewno umrze w więzieniu. Nie przyjaźniła się z nikim, nie chciała się uczyć hiszpańskiego.

Złościło mnie takie podejście. Jak można żyć tyle czasu w obcym kraju i nie starać się nic zrozumieć. Gdy człowiek nie może się dogadać, to w ogóle nie wie, co się wokół niego dzieje. Po co tak utrudniać sobie życie.

Raz Dalma coś zażyła - bardzo możliwe, że ritalin - i w ciągu kilku dni czarną farbą, którą ktoś jej kupił, pomalowała całą swoją celę. W całym więzieniu był to temat numer jeden i największa sensacja. Kiedy skończyła malować celę, zaczęła malować także siebie. Musiała być naprawdę poważnie chora.

Jakiś czas potem usiłowała prowadzić ze mną kompletnie bezsensowne rozmowy. Bardzo wtedy przeżywałam chorobę mamy i zupełnie nie miałam głowy do tych jej bzdur. Uciekłam więc do stołówki, ale poszła za mną. Chciałam ją splewić jak najszybciej, więc się w ogóle nie odzywałam.

Nagle powiedziała coś bardzo nieprzyjemnego, co zraniło mnie do głębi.

- Widzę, że w ogóle cię nie obchodzę. Twoja mama też nikogo nie obchodzi. Mam nadzieję, że szybko umrze.

W tym momencie coś we mnie pękło i nim zdążyłam pomyśleć, uderzyłam ją w twarz. Dobrze wiedziałam, że jest psychicznie chora, ale mimo to nie mogłam się powstrzymać. Dalma była drobna i szczupła, a ja jej przywaliłam z całej siły, tak że wylądowała w szpitalu z podbitym okiem. Niestety, stało się to w obecności strażniczek. Nazajutrz obie zostałyśmy wezwane do biura naczelnika.

Szłam ze strachem, że dostanę karcer. Na samo wspomnienie karceru dziewczyny wpadały w dygot. Panowała opinia, że to straszne miejsce. Za karę więźniarki zamykane były w brudnym pomieszczeniu bez światła, wody, okien i toalety. Zgodnie z więziennym regulaminem mogły tam jednorazowo spędzić nawet cztery dni.

„O Boże, ja nie chcę do karceru” — myślałam z rozpaczą.

Wyjaśniłam, dlaczego uderzyłam Dalmę. Potem ktoś przetłumaczył zeznania Dalmy, a że były zgodne z moimi, w końcu żadna z nas nie została ukarana. Wychodząc stamtąd, odechnęłam z ulgą, że mi się upiekło. Po tej awanturze jeszcze bardziej zapagnęłam znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić do domu i zobaczyć mamę.

Kilka tygodni później wezwano mnie do biura naczelnika. Czekali tam na mnie jacyś panowie w garniturach. Chcieli zrobić mi zdjęcie i wziąć odciski palców.

- Po co? - spytałam. - Nikomu innemu się tego nie robi.

- Niedługo wróci pani do domu. - Mówiąc te słowa, mężczyzna spojrzał na mnie znacząco.

Jak na skrzydłach popędziłam z powrotem i od razu opowiedziałam o tym Mary. Już snułam plany, jak to będzie po

powrocie, co będziemy robić z mamą i z Nikitą. Przypuszczalam, że moi goście byli z Interpolu. Jednak ku memu ogromnemu rozczarowaniu ciąg dalszy nie nastąpił.

Przywykłam już do codziennego grafiku zajęć w INOF-ie, aż tu nagle dowiedziałyśmy się, że więzienie ma się przekształcić w areszt śledczy, a więźniarki odsiadujące wyrok zostaną przeniesione gdzie indziej. Już następnego dnia wyjechało około stu kobiet. W Wenezueli nie ma zwyczaju uprzedzania więźniów o zmianach, nawet bardzo dużych. Dowiadują się o nich przeważnie w ostatniej chwili.

Obie z Mary byłyśmy wściekle, że po wszystkich naszych staraniach znów jesteśmy przenoszone. W ciągu trzech spędzonych tu miesięcy mój organizm zregenerował się po spustoszeniach, których dokonał crack. Przywykłam nawet do tego, że nie ma mężczyzn. A teraz poczułyśmy się jak nic nieznaczące pionki, które przestawia się dowolnie, zależne od kaprysu sił rządzących systemem więziennym.

To w INOF-ie nareszcie wydorostałam. Odtąd pragnęłam brać odpowiedzialność za swoje życie, wrócić do Anglii i znaleźć pracę. Właśnie z pracą wiązałam największe nadzieje. Głęboko wierzyłam, że jeśli zdołam przepracować uczciwie jeden dzień, wszystko w moim życiu się ułoży.

W rozpaczę doszłyśmy do wniosku, że chyba najlepiej byłoby wrócić do San Antonio. Przynajmniej wiedziałyśmy, czego się tam można spodziewać. Zwróciłyśmy się do władz więziennych z pytaniem, czy jest to możliwe.

- Owszem, tylko trzeba za to zapłacić - powiedziała jedna ze strażniczek.

Jednak do płacenia nie doszło. Nazajutrz okazało się, że przenoszą nas w dwa różne miejsca.

Gdy ostatecznie padło hasło *translado*, czyli „przeniesienie”, uściskałyśmy się mocno na pożegnanie i obiecałyśmy sobie, że nie stracimy kontaktu.

Miałam jechać do więzienia San Juan, nieopodal wioski San Juan de Lagunillas w stanie Merida, hen, pod granicą z Kolumbią.

do exarodziejskiej córce

Nikito, Najdroższy Mój Skarbie. Bardzo Cię kocham i tęsknię do ciebie. Bądź grzeczna i nie sprawiaj Eve kłopotu. Chcę, żebyś była bardzo szczęśliwa. Przepraszam, jeśli przeze mnie jest Ci smutno. Pamiętaj o mamie. Ja myślę o Tobie codziennie.

List Natalie do Nikity, październik 2002 roku

Więziennym autobusie jechało nas piętnaście. Na początku, zaraz po *przyjeździe*, nienawidziłam INOF-u, ale gdy przywykłam do życia tutaj, nie miałam ochoty na kolejne przenosiny, i to w dodatku na drugi koniec kraju. Obawiałam się, że więzienie San Juan Mérida będzie podobne do San Antonio. Najgorsza była myśl, że nie będę już mogła tak łatwo jak w INOF-ie kontaktować się z mamą. Od momentu postawienia diagnozy bardzo się do siebie zbliżyłyśmy. Nie było dnia, żebym nie przeklinała siebie i własnej głupoty. Dałabym teraz wszystko, żeby być z mamą podczas jej choroby.

W więzieniu człowiekowi głupstwa szybko wietrzeją z głowy i zaczyna dostrzegać, co jest naprawdę w życiu ważne.

Jechaliśmy cały dzień i prawie całą noc. Na miejsce przybyliśmy nad ranem. Zmęczona po nieprzespanej nocy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam niezwykle widok. Świat, spowity mleczną mgłą, jaka pojawia się czasem przed wschodem słońca, wyglądał jak w bajce. Więzienie usytuowane było na szczycie góry i w słabym świetle poranka nie widziałam dobrze zabudowań. Przez moment, nim się ukazało w pełni, wyobrażałam sobie, że zdążamy do czarodziejskiego zamku. Kiedy wschodzące słońce osuszyło mgłę, widok dosłownie zaparł mi dech w piersiach. Różowy świt z wolna rozjaśniał ciemności okrywające potężne, majestatyczne góry. Autobus z trudem piął się krętą drogą, a silnik posapywał z wysiłku. Najpierw zobaczyłam rozległe pole i wejście do więzienia. Na pierwszy rzut oka wyglądało to podobnie do San Antonio. Nad ogrodzeniem zwieńczonym groźnymi zwojami drutu ostrzowego wznosiły się budki strażnicze.

Po wielogodzinnej jeździe autobusem musiałyśmy jeszcze odczekać półtorej godziny, bo właśnie odbywało się *numero* i nie wolno było wchodzić przed jego zakończeniem.

Z okien autobusu obserwowałyśmy, jak otwierają się wewnętrzne bramy i z cel wychodzą więźniarki. Następnie ujrzałam coś dziwnego: kilka kobiet weszło na wysoki mur blisko głównego ogrodzenia, po czym dołączały do nich kolejne. Machały rękami, wykonując takie same gesty, jakie już kiedyś widziałam w INOF-ie. Ponieważ z okna autobusu nie było widać męskiej części więzienia, do której ten przekaz był

skierowany, wyglądało to jak jakiś rytualny taniec. Później okazało się, że w ten sposób witały się ze swoimi chłopakami i prosiły, żeby im przysłali śniadanie. Po chwili już z bliska zobaczyłam ten wysoki mur, który nazywano *el murro*.

Ostatnie miesiące spędziłam wyłącznie wśród kobiet i już niemal zapomniałam, jak wyglądają *mężczyźni*. Pierwsi napotkani tutaj nie byli specjalnie zachęcający. Sprawiali wrażenie prostaków i domyśliłam się, że to narkomani, wykonujący różne prace dla innych więźniów, żeby mieć na narkotyki. Strażniczka wyjaśniła, że nie wolno się kontaktować z mężczyznami - dlatego kobiety przekazywały wiadomości za pomocą znaków.

Kiedy szliśmy w stronę *annexo*, przekonałam się, że więzienie jest naprawdę spore. Było to w zasadzie małe miasteczko z wyasfaltowanymi drogami, po których jeździły samochody.

Ulżyło mi, że nie zostałyśmy przeszukane, nie musiałyśmy się rozbierać ani pokazywać zawartości toreb. Później się dowiedziałam, że zależało to wyłącznie od kaprysu strażniczek.

Po luksusach INOF-u *annexo* wydawało się małe i nieciekawie. Nie miało nawet stu metrów kwadratowych. Wyposażenie wyglądało mniej więcej tak jak w San Antonio. Cele rozmieszczone były wokół dziedzińca, do tego dochodziły dwa pojedyncze karcery. W każdej ze sporych cel, zamieszkałych przez około dwudziestu kobiet, był prysznic i toaleta. Łóżka były piętrowe, często prowizorycznie oddzielone zasłonami, dzięki czemu zyskiwało się odrobinę prywatności. Przy niektórych łóżkach stały dwufajerkowe kuchenki, było też niewielkie miejsce do przyrządzania posiłku. Własny kącik w celi można było urządzić po swojemu. Straże się do tego nie wtrącały.

Większość kobiet, z którymi przyjechałam, miała tu swoje znajome i wprowadziły się do nich. Ja nie znałam nikogo i wśród tego gwaru ożywionych rozmów czułam się bardzo samotna. Jakoś nie przychodziło mi do głowy, jak by tu do kogoś zagadać, i w końcu sama zaczęłam szukać miejsca do spania, wspominając wygodną celę w INOF-ie.

Któraś zaprowadziła mnie do bardzo skromnie urządzonego pomieszczenia i pokazała materac na podłodze.

- Na razie śpij tutaj - powiedziała.

„No tak - pomyślałam. - Znów jestem na samym dole drabiny społecznej”.

Cela była dużo gorsza niż inne, pozbawiona jakichkolwiek domowych akcentów. Usiadłam na gołym materacu i podciągnęłam nogi pod brodę.

- Obok *annexo* są dwa automaty telefoniczne. Na ogół działają i możemy z nich korzystać bez ograniczeń - odezwała się ta kobieta, najwidoczniej chcąc mi powiedzieć coś na pocieszenie. Z ulgą pomyślałam, że przynajmniej będę mogła zadzwonić do domu.

Humor mi się poprawił, gdy wyszłam z *annexo* na dziedzińiec, wokół którego rozmieszczone były cele dla kobiet. W rogu zobaczyłam drzwi. Uchyliłam je i wprost nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przede mną rozciągała się otwarta zielona przestrzeń. To tędy szło się na *el murro*, skąd roztaczał się widok na teren poza więzieniem. Górny poziom porastała trawa, podobnie jak teren na dole obok betonowych schodów. Oprócz trawy rosła tu roślina, z której liści parzyło się napar zbijający gorączkę. Było również boisko do netballa. W myślach

nazywałam to miejsce „tajemniczym ogrodem” ponieważ odkryłam je tak niespodziewanie. Wiele kobiet spędzało tutaj większość czasu, choć nie było żadnej osłony przed słońcem. Po prostu przyjemność sprawiało przebywanie na dużej, otwartej przestrzeni. Nikogo nie znałam, krążyłam więc samotnie nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

Gorąco pragnęłam porozmawiać z mamą i dowiedzieć się, czy leczenie pomaga, ale nie miałam pieniędzy, ani też możliwości ich zarobienia. Prosiła, żeby nie zamawiać więcej rozmów na jej koszt, bo od kiedy przestała pracować, z forszą było dość krucho. A w San Juan nie było dostępu do internetu i to mnie do reszty odcięło od świata. Zbliżało się Boże Narodzenie i zawsze wtedy rozmawiałyśmy przez telefon. Obiecywałam sobie, że stanę na głowie i na święta na pewno do niej zadzwonię. Wciąż nie umiałam się pogodzić z jej chorobą. Cały czas modliłam się o cud.

Na dziedzińcu stały wielkie zbiorniki z wodą. Więźniarki się tu myły i robiły pranie. Uprzedzono mnie jednak, że codziennie zdarzają się przerwy w dostawie wody. Miałam wyjątkowego pecha, bo niezależnie od tego, o jakiej porze szłam się myć, woda nagle przestawała lecieć, i to zawsze wtedy, kiedy miałam pełno szamponu we włosach. W rezultacie jak była woda, wszyscy naraz chcieli brać prysznic i napełniać wiadra. Bez wody można było wytrzymać najwyżej dzień czy dwa. Właściwie nie wiem, skąd brały się te problemy. Może to przez położenie w górach, a może strażnicy specjalnie ją zakręcali i potem nie śpieszyli się z odkręceniem. Mężczyźni jakoś umieli ją zdobyć i czasem trochę nam przysyłali.

Pierwszej nocy w San Juan trafiłam do celi, w której wszystkie więźniarki paliły crack, i w ciemnościach cały czas rozlegał się charakterystyczny trzask. Brakowało mi Mary. Zapach narkotyku kusił, żeby zerwać przymierze z Panem Bogiem. Miałam wielką ochotę poprosić, żeby któraś dała mi pociągnąć. Trudno mi przyszło zwalczyć tę pokusę, ale gorąco pragnęłam dotrzymać danego słowa. Usnęłam spłakana. Dawno nie czułam się taka samotna i nieszczęśliwa.

W pierwszych tygodniach pobytu szczerze nienawidziłam San Juan. Staralam się jak najwięcej spać, byłam wiecznie przygnębiona, nie miałam pieniędzy ani przyjaciół. Żywiłam się resztkami po innych, zupełnie jak w policyjnej celi. Musiałam coś jeść, aby przetrwać. Zdarzało się, że jadłam tylko mleko w proszku. Zbijało się w ustach w kluchy. W smaku nie było złe, a kiszki z głodu nie grały po nim marsza. Nieustannie marzyło mi się coś pożywniejszego, na przykład hamburger. Ciągle zadawałam sobie pytanie, jak w takich warunkach zdołam przeżyć jeszcze osiem i pół roku.

W części więzienia przeznaczonej dla kobiet były same strażniczki, strażnicy przychodzili tylko od czasu do czasu, gdy mieli z nimi randki. Inaczej niż w INOF-ie dyscyplina wśród straży była rozluźniona, a ogólne podejście do życia przypominało raczej obyczaje panujące w San Antonio.

Od początku starałam się jak najwięcej dowiedzieć o tutejszych zależnościach i układach. Teraz było mi o tyle łatwiej, że mówiłam swobodnie po hiszpańsku i zawsze mogłam kogoś zapytać.

Więźniarkom nie wolno było przechodzić na męską stronę. Czasem tylko chodziłyśmy tam pod eskortą na jakieś wspólne

imprezy, na przykład na mecz koszykówki. Mężczyźni też rzadko przychodzili do nas. Kiedy wreszcie miałam okazję znaleźć się w ich części, okazało się, że jest tam dużo lepiej i ciekawiej niż u nas.

Dzieliła się ona na cztery tak zwane pawilony, czyli długie, niskie baraki, każdy z oddzielnym terenem. Przy każdym pawilonie znajdowały się warsztaty i boisko do koszykówki. Strażnicy dopiero rano dowiadywali się, przy którym pawilonie mają służbę. Więźniowie spędzali czas leniwie, popijając, słuchając muzyki i paląc trawkę.

Obowiązywał system klasowy, w dodatku mocno seksistowski. Status kobiety zależał od jej wieku i urody. Mężczyźni przysyłali swoje brudne rzeczy do *annexo*, a kobiety je prały. Niektóre też dla nich gotowały. Jednak dziewczyna, która pochodziła z biednej rodziny, ale była ładna i miała wpływowego chłopaka, nie musiała gotować ani prac. Dostawała od ukochanego pieniądze i płaciła za pranie którejś z *annexo*, albo on je *zlecał* komuś po swojej stronie. Dla kobiety najcenniejszą walutą była młodość i uroda, dla *mężczyzny* - pieniądze i władza. Bogaci i wpływowi *mężczyźni* stanowili łakomy kąsek.

Biedacy przeważnie byli uzależnieni od narkotyków. Od razu można było poznać palaczy cracku: mieli zapadnięte policzki, mętne spojrzenie i zawsze brakowało im kilku, kilkunastu zębów. Osób uzależnionych było naprawdę dużo, około siedemdziesięciu procent mężczyzn i dziesięć procent kobiet. Władze więzienne nie organizowały żadnych terapii, nie było programów wyjścia z nałogu. W ogóle nie próbowano pomóc tym ludziom.

Niektórzy mężczyźni zadający się z dziewczynami z *annexo* byli żonaci, o czym ich sympatie nie wiedziały. Więźniów obowiązywało ciche porozumienie, że mężczyźni nie opowiadają o stanie cywilnym innych. Strażniczki mogły plotkować do woli, ale jeśli jakiś strażnik zdradził więźniarce, że jej facet jest już zajęty, mógł skończyć nawet z kulą w głowie. Nie zawsze więc się opłacało mieć w więzieniu ukochanego, chyba że kobiecie nie przeszkadzało, że go z kimś dzieli.

Więźniarki rozmawiały czasem o przestępstwach popełnianych przez mężczyzn, ale dla nich samych był to temat tabu. Uważano za przejaw braku dobrych manier, gdy ktoś poruszył drażliwy temat, ile kilogramów kokainy kto przemycił i w jakim sekretnym miejscu.

Więźniowie, którzy na wolności byli ważnymi osobistościami w swoim świecie, zachowywali swój status również za kratkami. Czasami między więźniami lub całymi grupami wybuchały walki o władzę. Ale sprawy te trzymano w jeszcze większej tajemnicy przed kobietami niż w San Antonio.

Po męskiej stronie stale ktoś ginął, ale nigdy nic takiego nie stało się w naszej obecności. I na szczęście, nie tak jak w San Antonio, nie groził nam ostrzał. Czasem do więzienia trafiały małżeńskie pary i kilka razy się zdarzyło, że zastrzelono męża, a zrozpaczona wdowa dalej odsiadywała wyrok.

Często strzelaniny wybuchały z powodu niezapłaconych długów za narkotyki. Ofiary zawsze najpierw dostawały strzał ostrzegawczy, niezagrażający bezpośrednio życiu, na przykład w kolano. Jeśli sygnał został zignorowany, następny strzał mógł już być śmiertelny.

Gwałciciele i pedofile nie dostawali żadnych ostrzeżeń i szanse na przeżycie w więzieniu dłużej niż kilka dni mieli raczej niewielkie. Otwarcie kazano im się żegnać z rodzinami, ponieważ wiadomo było, że nie przeżyją odsiadki. W Wenezueli oficjalnie nie stosowano kary śmierci, ale w ten właśnie **sobnie** wymierzano ją nieformalnie.

O przybyciu pedofila strażnicy uprzedzali wszystkich przywódców. Współwięźniowie najpierw znęcali się nad nim, a potem wymuszali samobójstwo, co wyglądało w ten sposób, że zakładali mu pętlę na szyję i kazali skakać z krzesła. Nigdy nie byliśmy świadkami tych „samobójstw”, ale słyszałam wiele takich przerażających opowieści.

Jeden pedofil został zastrzelony zaraz po przyjeździe, gdy tylko znalazł się na terenie więzienia. Z szokiem i niedowierzaniem przyjąłam do wiadomości, jak w San Juan wymierza się sprawiedliwość. W INOF-ie siedziały same kobiety, a w San Antonio nigdy nie słyszałam o skazanych za pedofilię. Po raz pierwszy zetknęłam się z tym, żeby więźniowie sami decydowali o karze.

Sędziowie orzekający w procesach za przestępstwa seksualne dobrze wiedzieli, co czeka skazanych. Podobnie świadoma tego była policja i straż więzienna. Wszyscy godzili się z tym, że dla tych ludzi kara więzienia była w zasadzie wyrokiem śmierci. Dla Wenezuelczyków logiczny porządek rzeczy wyglądał następująco: gwałciciele i pedofile idą do więzienia, tam inni się nad nimi znęcają, a potem trzeba ich zlikwidować. I koniec dyskusji. Gdy ktoś ginął przez narkotyki, całe więzienie o tym gadało, a gdy powiesił się przestępca seksualny, wszyscy nabierali wody

w usta. Sprawiedliwość wymierzano szybko i po cichu, po czym więzienne życie toczyło się dalej, jakby nie było sprawy, a człowiek nigdy nie istniał.

Pary, które jakoś trwały w tych więziennych układach, miały specjalny przywilej, zwany *camera*, umożliwiający małżonkom chwile na osobności. Spotkania takie odbywały się w poniedziałki na dwie zmiany - rano i po południu. Przez resztę tygodnia korzystali z przywileju ci, którzy mieli partnerów poza więzieniem. W dniu widzeń kobietom nie wolno było przyjmować mężczyzn w celach, ale mężczyźni mogli u siebie przyjmować kobiety. Zony odwiedzały mężów zjedzeniem i płytami z muzyką. Ale *camera* nie każdemu przysługiwała. Wszystko zależało od naczelnika. Co do spotkania z partnerem z zewnątrz, długi czas obowiązywała zasada, że trzeba przedstawić dowód, że pozostaje się z tą osobą w stałym związku. Swobodnie mogły natomiast korzystać z *camera* pary, które poznały się w więzieniu i tu pobrały.

Jak tylko pojawiały się jakieś problemy, na przykład zamieszki, zamykano nas w celach. Czasem nawet nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje. Dopiero gdy zatelefonował do nas ktoś z męskiej strony, dowiadywałyśmy się, że była strzelanina i kolejne ofiary.

Większe rewizje przeprowadzała gwardia narodowa. Trwały cały dzień, starannie przeszukiwano wszystkie miejsca, gdzie trzymałyśmy rzeczy. Miejscowi strażnicy, pracujący na trzydniowe zmiany, tylko z grubsza je przeglądali. Ku mojej wielkiej uldze nie było na dachu więźniów z bronią ani wojenjak w San Antonio, mimo to wybuchały konflikty. Przywódcy wzywani byli wtedy do biura naczelnika i musieli relacjonować, co się

wydarzyło. Często to oni właśnie negocjowali ze skłóconymi stronami i doprowadzali do porozumienia. Taki *prang* cieszył się powszechnym autorytetem. W porównaniu z tutejszymi układami San Antonio wyglądało jak jedno wielkie zoo.

Pewnego razu *prang* z pierwszego pawilonu musiał pojechać do szpitala. Wrogowie zapewne dostali cynk, bo czekali na niego pod bramą. Został zastrzelony w momencie, gdy przykuwano go kajdankami do strażnika.

Pierwszy raz widziałam taką manifestację smutku i żałoby. Zmarłego obniesiono po więzieniu w otwartej trumnie, aby wszyscy mogli się z nim pożegnać. *Prang* z drugiego pawilonu zapłacił naczelnikowi za przymknięcie oka na tak jawne pogwałcenie regulaminu. Człowiek ten sprawiał wrażenie porządnego i uczciwego, aż się zastanawiałam, za co mógł się znaleźć w więzieniu. Ale pewnie po prostu niewiele o nim wiedziałam. Przywódcy w San Juan przestrzegali swoistych zasad sprawiedliwości i rozwiązywali problemy w sposób praktyczny. Mieli swój kodeks postępowania, definiujący dokładnie, co jest dobre, a co złe. W wielu sprawach zachowali się naprawdę przyzwoicie. Więźniowie nie ginęli ot tak sobie, przypadkowo. Ofiary najpierw dostawały wyraźne ostrzeżenie. Nie było żadnych spisanych praw, ale wszyscy znali obowiązujące reguły.

W San Juan rozumiałam dużo więcej z tego, co się wokół mnie działo, niż w San Antonio, ale San Antonio w pewnym sensie przygotowało mnie do pobytu tutaj.

Dopiero po paru tygodniach od przyjazdu znalazłam się w męskiej części więzienia. Uprzedzono mnie, że najlepsze są pawilony pierwszy i drugi, a trzeci i czwarty można sobie

spokojnie darować. Te dwa pierwsze były sprawnie zarządzane, a ich przywódcy opływali w dostatki, dzięki czemu mogli sobie i innym znacznie ułatwić życie. Dwójka była najlepsza, zaraz potem pawilon pierwszy, po nim trzeci, a na końcu czwórka - gdzie panował najgorszy brud i bałagan. W pawilonie drugim, czystym i porządnym, odbywały się najlepsze imprezy. Jeśli się odpowiednio opłaciło naczelnika, mogliśmy w nich uczestniczyć. Mężczyźni byli wręcz szarmanccy wobec kobiet. Dbali, żebyśmy miały na czym siedzieć, częstowali nas jedzeniem.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam tamtą część więzienia, bardzo mnie wszystko interesowało. Najpierw obejrzałam kuchnię i doszłam do wniosku, że nie umiałabym tam gotować. Wielki, betonowy stół przypominał rzeźniczą ladę, na której dzieli się tusze zwierzęce. Całość przypominała raczej warzywno-owo-cowy targ. Nad jedzeniem unosiły się chmary much i nie było psów ani kotów - być może dlatego, że więzienie leżało na odludziu. Kuchnia miała własne wielkie podwórze. Podczas tej wizyty uświadomiłam sobie, jak duże jest więzienie. Wiele razy patrzyłam z muru w tę stronę, ale dopiero teraz mogłam obejrzeć wszystko z bliska i dokładnie.

Przy drodze, której długość mnie zdumiała, stały cztery pawilony, *annexo* i biura administracji, a nieco dalej niewielki, ogrodzony szpital. Była też *educativa* - budynek szkoły, w której prowadzono różne kursy, oraz duża sala przeznaczona do uprawiania aerobiku, na próby chóru i przedstawienia teatralne - w czasie tych spektakli więźniarki próbowały uprawiać seks ze swoimi chłopakami. Podobne próby podejmowane były w pomieszczeniach na zapleczu kościoła. Jeśli któraś została

na tym przyłapana, strażniczki rozgłaszały to potem wszem wobec, żeby narobić jej wstydu.

Zdażyłam już poznać obie zmiany strażniczek w *annexe*. Jedna była przez nas lubiana, druga nie.

W czasie pierwszej wizyty w męskiej części zdziwiłam się, że więźniów jest tak dużo - co najmniej tysiąc. Byłam wtedy w towarzystwie Vivi, którą znałam jeszcze z INOF-u. Tam nie przyjaźniłyśmy się specjalnie, tu bardzo zbliżyłyśmy się do siebie. Przedstawiła mi *paisano* - *czyli* mojego rodaka.

Wbrew temu, co twierdził, raczej nie był Anglikiem. Obracał się głównie w towarzystwie czarnoskórych Holendrów, sam też był czarny i sprawiał wrażenie człowieka poważnego. Wyglądał mi na kogoś w randze Tony'ego w hierarchii narkotykowego biznesu. Kilka razy pomógł mi finansowo, nigdy nie żądając niczego w zamian.

Większość więźniów stanowili narkomani, gangsterzy oraz porywacze ciężarówek - ludzie śledzący trasy tirów przewożących jakiś ciekawy towar, na który opłaca się zapolować.

Poznałam wielu Amerykanów, ale najbardziej podobałam się Wenezuelczykom. Oto do czego mogą się przydać jasne włosy i niebieskie oczy.

Mężczyźni stawiali mi drinki i kupowali hamburgery, a ja pochłaniałam wszystko łapczywie.

Wieczorem po powrocie do *annexo* dostałam mnóstwo liścików typu: „Masz naprawdę piękne oczy. Daj znać, jeśli mogę w czymś pomóc”. Niektóre były jak wyznania miłosne, w dodatku od facetów, z którymi nawet nie zamieniłam słowa. Gdyby coś równie romantycznego napisał do mnie mój uko-

chany, byłabym w siódmym niebie, ale listy od obcych nie robiły tak dużego wrażenia, tyle że poprawiły mi humor. Już nie chciałam przesypiać całych dni. Od tej chwili wszystko w San Juan się dla mnie zmieniło.

Żaloba i sklep

Moja matka ciężko zachorowała, lekarze zdiagnozowali u niej raka. Czy w związku z tym mogłabym się ubiegać o odesłanie do Anglii z powodów osobistych? Podobno Wielka Brytania niedługo podpisze z Wenezuelą porozumienie o wymianie więźniów. Chciałabym wiedzieć, na jakim etapie jest ten proces i czy mogą mi Państwo jakoś pomóc. Bardzo zależy mi na tym, żeby jeszcze zobaczyć mamę.

List Natalie do organizacji Prisoners Abroad,
listopad 2002 roku

Postawałam ciągle listy miłosne. Przywoził je kurier poruszający się swobodnie po więzieniu, zwany *moto*. Czytając te często zabawne wyznania dozgonnej miłości, zapominałam na chwilę o beznadziejności i nudzie więziennego życia.

Już po kilku tygodniach udało mi się przejść na wyższy poziom więziennej hierarchii. Trafiłam do celi, w której miałam własne łóżko i nikt nie palił cracku. Potem brytyjski konsul

przywiózł mi pieniądze od mamy. A następnego dnia po powrocie z męskiej strony, gdy zaraz po numerze wróciłam jak zwykle do łóżka, dostałam wiadomość, że jestem wzywana na *el murro*.

- Ktoś chce ci powiedzieć „dzień dobry” i spytać, czy dostałaś śniadanie, które ci wysłał przez *moło*.

Mocno jeszcze zaspana poszłam na mur. Któraś z dziewczyn przekazała na migi moją odpowiedź. Był to zabawny i sprytny sposób porozumiewania się. Odtąd ciągle wołano mnie na *el murro*. Kto nie był tam wzywany, nie liczył się pod względem towarzyskim.

W męskiej części odbywały się zajęcia aerobiku, które między innymi prowadziła Monica, moja znajoma z INOF-u. Pewnego razu zaproponowała, żebym przyszła na trening.

W tym czasie już bardziej optymistycznie patrzyłam na świat i chętnie się zgodziłam. Zresztą wszystko było lepsze od leżenia na łóżku i liczenia w kółko pozostałych do odsiedzenia lat, miesięcy, dni i godzin.

Poszłyśmy razem. W myśl tutejszych obyczajów kobieta zamężna nie mogła uczestniczyć w tego rodzaju zajęciach, żeby nie spotykać się z innymi mężczyznami pod nieobecność małżonka, gdyż to godziło w jego honor. Nie miało znaczenia, że to tylko niewinny trening aerobiku. Mnie się to wydawało jawną niesprawiedliwością. Dlaczego mężatki miały być skazane na większą nudę? Natomiast zasada ta nie dotyczyła żonatych mężczyzn. Również to, że mieli kochanki, nie spotykało się z potępieniem.

Mężczyźni przynosili na trening dobry sprzęt grający, będący własnością *Che*, pranga pawilonu drugiego. Wszyscy byliśmy

mu głęboko wdzięczni za tę uprzejmość. Program zajęć był raczej nieskomplikowany ale mocno wyczerpujący. Odpowiadało mi to. Choć fizycznie byłam po treningu wykończona, czułam też znaczny przyływ energii.

Monica uprzedziła, że gdy zmianę mają sympatyczne strażniczki, można zostać w sali trochę dłużej. Te nie lubiane zapędzwały nas natychmiast z powrotem do *annexo*, zupełnie jakby sprawiało im przyjemność, że pozbawiają nas tych kilku chwil kontaktu z mężczyznami. *Przecież* nic by się nie stało, gdybyśmy jeszcze trochę z nimi pogadały.

Po pierwszym treningu dałam się namówić na inne zajęcia. Zapisalam się do szkoły - przypominającej naszą szkołę średnią - gdzie uczyłam się hiszpańskiego, angielskiego i wiedzy o społeczeństwie. Dzięki temu mogłam nie tylko na trochę wyrwać się z *annexo*, ale też się podkształcić. Jak tylko nadarzała się okazja, chętnie szłam do męskiej części, gdzie można było na przykład pograć w szachy albo zjeść w restauracji hamburgera czy smażonego kurczaka z ryżem. Świeżą żywność przywożono autobusem, którym jeździli więźniowie ze stałą przepustką. Miał on pod więzieniem swój ostatni przystanek.

Mężczyźni pracowali w warsztatach stolarskich, gdzie wyrabiano meble, w tym pięknie rzeźbione łóżka, sprzedawane także na zewnątrz.

Zazdrościłam im, że mają znacznie więcej swobody niż my. Przywódcy zawsze chodzili otoczeni ochroniarzami. Szanujący się *prang* nie wyszedł z pawilonu w asyście mniejszej niż dziesięciu goryli. Ochroniarze chowali broń pod ubraniem, ale i tak było wiadomo, że są uzbrojeni. Gdy *prang* wychodził na jakies

ważne spotkanie, towarzyszyło mu nawet sześćdziesiąt osób. Widok takiej eskorty był naprawdę imponujący.

Mężczyźni mogli uczestniczyć w imprezach organizowanych w kobiecej części więzienia. W przygotowaniach często wspierał nas sam Che, na przykład przysyłał kogoś, jeśli potrzebna była pomoc czy trzeba było coś naprawić.

Che poznał w więzieniu dziewczynę, którą po jakimś czasie wypuszczono, a ona wiernie przychodziła go odwiedzać. Gdy po pewnym czasie znów tu trafiła, żyła po królewsku. Che ofiarował jej wygodne łóżko, nowy telewizor i przysyłał przeróżne przysmaki. Szybko ją zwolniono, bo załatwił jej najlepszych prawników w Meridzie. A potem złamała mu serce - wkrótce po wyjściu z więzienia związała się z innym. Z tym nowym kochankiem musieli uciekać z Wenezueli, inaczej nie żyliby zbyt długo.

Gdy było bardzo gorąco, a chciałyśmy przekazać wiadomość na drugą stronę, robiłyśmy to pod osłoną prowizorycznego baldachimu zrobionego z kijów i prześcieradeł. Język migowy w INOF-ie nie był mi potrzebny, ale tutaj się przydawał, więc dziewczyny mnie przeszkoliły. Aby się porozumiewać w ten sposób, trzeba umieć pisać po hiszpańsku. Czasem zdarzały mi się pomyłki, ale dość szybko opanowałam tajniki tej specyficznej „mowy ciała”. Najważniejsze, że strażniczki jej nie rozumiały.

Na Boże Narodzenie 2002 roku podano nam tradycyjną wenezuelską potrawę. Była paskudna: przypominające karmę dla psów, niezidentyfikowane mięso z dodatkiem rodzynek, zawinięte w liście i upieczone w piecu. Porobiono też świąteczne dekoracje. W telewizji nadawano specjalne programy, głównie

wystąpienia Chaveza. Z rozrzewnieniem wspominałam święta w domu. Wyobrażałam sobie, jak Nikita podniecona *rozpakowuje* gwiazdkowe prezenty. W zeszłym roku mama kupiła jej ode mnie pod choinkę misia. W tym roku była zbyt chora, by się tym zająć.

Nie miałam pieniędzy ani dostępu do internetu i od kilku miesięcy nie rozmawiałam z mamą. Martwiłam się o nią cały czas, ale usiłowałam nie tracić nadziei.

Zawsze dzwoniłam do niej na urodziny i na Boże Narodzenie. Urodziny miałyśmy tego samego dnia. Przeżywając niesmaczny świąteczny obiad, starałam się nie myśleć o jej chorobie. Nie przyjmowałam do wiadomości, że umiera. Wmawiałam sobie, że doktorzy na pewno znajdą jakieś lekarstwo.

Tego dnia z lękiem wykręciłam numer do mamy. Bałam się, czy jeszcze usłyszę w słuchawce jej pogodny głos. Ta nasza pierwsza rozmowa od przyjazdu do San Juan była dla mnie prawdziwym szokiem. Jej stan musiał się bardzo pogorszyć. Głos miała tak słaby i zanikający, że ledwo ją rozumiałam. Jakby nie starczało jej sił, żeby otworzyć usta.

- Niedługo umrę, Natalie. - Z całej siły wstrzymywałam łzy kłujące pod powiekami. Pierwszy raz w życiu usłyszałam, jak ktoś męczy się samym mówieniem. Kolejny wstrząs dla mnie. Wzięłam się w garść, gdyż był to ostatni moment, żeby powiedzieć jej coś bardzo ważnego. Zaczepnęłam powietrza i zaczęłam najspokojniej jak potrafiłam.

- U mnie wszystko dobrze, mamo. Nie martw się. Jakoś wytrzymam, a jak stąd wyjdę, będę żyć tak, żebyś mogła być ze mnie dumna. Bądź spokojna. Obiecuję ci, że gdy tylko wrócę,

znajdę pracę, stanę na nogi i raz na zawsze zostawię za sobą wszystko, co złe w moim życiu.

Nie miała siły, żeby mi odpowiedzieć, ale na pewno zrobiło się jej lżej na duszy. Słuchawkę przejął Alan.

- Mama nie może dłużej rozmawiać. Jest zbyt słaba. - Głos miał smutny, ale jakoś się trzymał, pewnie ze względu na nią. Poczulałam się jakbym dostała obuchem w łeb, ale nadal nie chciałam pogodzić się tym, że ona odchodzi. Nawet nie widziałam jej w trakcie choroby. W czasie odwiedzin w San Antonio była w świetnej formie i wyglądała doskonale.

Odłożyłam słuchawkę i się rozplakałam. Jedyne, czego pragnęłam w tej chwili, to być z mamą, spojrzeć jej prosto w oczy i z całego serca przeprosić za ból, jaki jej sprawiłam. Na pewno bym ją przekonała, że się zmieniłam i naprawdę chcę po powrocie do Anglii zacząć życie od nowa.

Kilka tygodni po tej rozmowie zjawił się konsul, choć nie był to termin wizyty. W pierwszej chwili nie zorientowałam się, dlaczego przyjechał, i nawet się ucieszyłam na jego widok. Pomyślałam, że może ma dla mnie jakieś wieści o tym nieszczęsnym porozumieniu. Szybko jednak dotarło do mnie, czemu tu jest.

- Nie mam dla pani dobrych wiadomości - rzekł cicho.

Nie musiał mówić nic więcej. Już wiedziałam. Przy wejściu do *annexo* rozplakałam się przy wszystkich. On wcisnął mi torbę z jakimiś rzeczami, pożegnał się i wyszedł.

Mama umarła w drugi dzień świąt, nazajutrz po naszej rozmowie. Czasem myślę, że czekała z odejściem na mój telefon i że moje wyznanie sprawiło jej ulgę.

Dłuższy czas siedziałam na środku i płakałam. Więźniarki podchodziły do mnie, żeby się dowiedzieć, co się stało, i próbowały mnie pocieszać. Zadzwoiłam do Alana, oboje płakaliśmy w słuchawkę. Rozmawiałam też z siostrą i bratem. Brat miał dwanaście lat, siostra - czternaście. Serce mi się do nich rwało z drugiego końca świata. Biedni, tacy młodzi i zostali bez matki.

Długo ją opłakiwałam. Podobno utrata bliskiej osoby jest trudniejsza, gdy relacje z nią nie były dobre. Żałowałam teraz, że kiedyś nie potrafiłam się z mamą dogadać. Odnalazłyśmy siebie nawzajem dopiero wtedy, gdy było już na to za późno. Najgorsze, że nie mogłam być przy niej w jej ostatnich chwilach życia.

Drugiej nocy po otrzymaniu smutnej wiadomości dziewczyny z celi powiedziały, że płakałam przez sen. Nie pamiętałam, co mi się śniło, ale widać mój ból był bardzo głęboki. Jediną pociechę dawało mi to, że zdążyłam jeszcze odbyć z mamą tę ostatnią rozmowę.

Czasami z ulgą myślę o tym, że nie widziałam jej cierpień, ale znacznie częściej żałuję, że mnie wtedy przy niej nie było. Wspomnienia tamtych chwil nadal budzą we mnie bardzo silne emocje. Tyle razy ją zraniłam przez swój upór i głupotę. Do dziś to sobie wyrzucam.

Życie w San Juan toczyło się dalej ustalonym rytmem. Nikomu specjalnie nie opowiadałam o śmierci mamy. Próbowałam zwalczyć w sobie smutek i jakoś przetrwać kolejne długie, nudne więzienne dni. W tym okresie nie było zbyt wielu okazji do odwiedzin w męskiej części i głównie siedziałyśmy w *annexo*, gdzie niewiele się działo.

Nie miałam żadnego kontaktu z bliskimi i nawet nie wiedziałam, że kilka osób próbuje skomunikować się ze mną i przekazać wyrazy współczucia. Ich listy mogły mi dać wiele pociechy, a tak pozostawałam samotna ze swoim bólem. W miarę upływu tygodni i miesięcy stopniowo oswajałam się ze smutkiem. Myślenie o mamie już tak bardzo nie bolało. Starłam się skupić na przetrwaniu w więziennej rzeczywistości.

Któregoś dnia, gdy stałam na murze, poznałam Leo i zaczęliśmy ze sobą rozmawiać na migi. Wysoki, przystojny, tym różnił się od innych, że był zdecydowanie inteligentniejszy i mniej zarozumiały. Przewieziono go z więzienia w Panamie - miał zamożnego ojca, który to załatwił. Najważniejsze zaś, że nie opowiadał banałów o niezwykłym kolorze moich oczu.

Kiedy wreszcie udało mi się pójść do męskiej części, porozmawialiśmy bezpośrednio. Polubiliśmy się i pewnego dnia powiedział:

- A może byś z nami pośpiewała?

Miał na myśli przystąpienie do więziennego zespołu wykonującego wenezuelskie pieśni *gaita*. 't śpiewem zawsze było u mnie średnio, ale mimo to postanowiłam spróbować. Grupa składała się z czterech kobiet i czterech mężczyzn. Musieliśmy wiele ćwiczyć, bo czekały nas występy w innych zakładach karnych i udział w konkursie zespołów więziennych, nagrywanym przez telewizję. Wiele osób przychodziło słuchać naszych prób. Lubiłam muzykę. Poprawiała nastrój, dzięki niej nie myślałam o śmierci mamy.

Wenezuelczycy nie mogli się nadziwić, że Europejka śpiewa *gaitę*. Śpiew uzupełniały elementy tańca, co trudno było ze sobą

zgrać. Leo stale mi towarzyszył, pomagał i doradzał. Bez jego wskazówek nie poradziłabym sobie.

Nasz związek rozwijał się bez pośpiechu i w sposób bardzo naturalny. Po jakimś czasie zgodziłam się zostać jego dziewczyną.

Staliśmy się popularną parą. Mnie uważano za ładną, on był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w więzieniu, a do tego miał pieniądze. Myśleliśmy o tym, żeby skorzystać z camery, ale przywilej ten nie przysługiwał cudzoziemcom i obawiałam się, że spotkamy się z odmową. Leo obiecał, że coś wymyśli, tylko prosił, by na razie nic nikomu nie mówić. Oczywiście to „wymyślanie” polegało na wręczeniu łapówki i gdy już „wymyślił”, dostałam stosowne instrukcje:

- Kiedy kobiety z *annexo* będą szły na camere, dołącz do nich. Jak tylko brama się otworzy, idź śmiało.

Zdenerwowana i przejęta czekałam w celi na odpowiedni moment. Wreszcie przyszła wiadomość, że otwierają bramę. Poszłam tam. Strażniczka chciała mnie zatrzymać, ale interweniował strażnik.

- Puść ją. Jest na liście.

Od razu zrobiło mi się rażniej i poczułam się ważna.

Na intymne spotkania przeznaczonych było kilka pomieszczeń w *educativa*. Leo bardzo się starał, aby wszystko wypadło jak najbardziej romantycznie. Załatwił świeżą pościel, zdobył kwiaty. Opłacił dodatkowo strażę i mogliśmy spędzić razem cały dzień.

Lubiłam go, ale nie była to żadna wielka namiętność. Podczas tamtego spotkania czułam się jak kura na fermie. Kiedy się

kochaliśmy, myślałam jedynie o tym, że w sąsiednich pokojach inne pary robią dokładnie to samo.

Dziewczyny w *annexo* były później wściekłe, że skorzystałam z czegoś, co mi się nie należało. Poskarżyły się strażniczkom, że mam jakieś przywileje. Tymczasem zostały złagodzzone zasady korzystania z camery i stała się ona dostępna dla wszystkich.

Wkrótce potem Leo wyszedł z więzienia, co było do przewidzenia, biorąc pod uwagę znajomości jego bogatego ojca. Bez niego z początku było mi bardzo smutno.

- Proszę cię, nie chodź do męskiej części, kiedy wyjdę - błagał podczas pożegnania. - Nie zostawię cię tutaj samej, będę przychodził, zobaczysz.

Obiecałam mu, że nie będę tam chodzić, i jakiś czas rzeczywiście dotrzymałam słowa. Ale on żądał ode mnie zbyt wiele. Podobnie jak w San Antonio, po męskiej stronie było sto razy ciekawiej niż w kobiecej części. A poza tym Leo sam nie wywiązał się z umowy. Przez pierwsze pięć dni po wyjściu nawet do mnie nie zadzwonił. Później, nie mając od niego wieści przez kilka tygodni - nie mówiąc o odwiedzinach - przestałam grać rolę posłusznej dziewczyny i znowu zaczęłam bywać w męskiej części.

Moja kariera śpiewaczki gaity szybko się skończyła. Bez Leo nie radziłam sobie zupełnie. Przedtem był cały czas przy mnie, dyskretnie mnie prowadził. Teraz panikowałam przed każdym występem. W dodatku, jak głupia, postanowiłam raz wypić sobie dla kurażu. W rezultacie upiłam się i zawałam przedstawię, po czym wyrzucono mnie z zespołu.

Mniej więcej po roku mojego pobytu w San Juan doszło do ucieczki. Zdarzyło się to w nocy, kiedy byliśmy zamknięte. Nagle zgaszono światło, zapewne zrobili to przekupieni strażnicy. Dziewczyny zaczęły krzyżeć:

- Światło! Zapalcie światło!

Potem usłyszałyśmy strzały poza terenem więzienia, a więc musiała to być gwardia narodowa. Światło włączono po półgodzinie. Dopiero rano dowiedziałyśmy się, że uciekło ich dwóch: Francuz i obywatel RPA. Byłam dumna, że dokonali tego cudzoziemcy. Nazajutrz złapano ich w wiosce i zostali sprowadzeni z powrotem. Strażnicy za karę okrutnie ich pobili. Tamci dobrze wiedzieli, co ryzykują, ale strasznie żal było na nich patrzeć, tak mieli zmasakrowane twarze. Spędzili w szpitalu kilka tygodni. Aż się serce krajało na widok takiego bestialstwa.

W San Juan zdarzały się strzelaniny, ale nie było trwających całymi dniami wojen jak w San Antonio. Niewiele wiedziałam o kulisach tych wydarzeń, bo były to sprawy czysto męskie, w które wolałam za bardzo nie wnikać.

Mniej więcej po roku pobytu w San Juan zmarła moja cioteczna babka. Bardzo zasmuciła mnie ta wiadomość. W dzieciństwie często ją widywałam. Okazało się, że zostawiła mi niewielki spadek i z tego powodu skontaktowała się ze mną moja kuzynka Shona, zajmująca się jej testamentem. Porozumiewałyśmy się telefonicznie i listownie oraz poprzez urzędników ambasady. Wahałam się, co zrobić z tymi niespodziewanymi pieniędzmi, i w końcu postanowiłam je zainwestować, żeby mieć jakiś dochód. W *annexo* stał nieużywany kontener

mieszkalny i nagle wpadłam na pomysł, żeby urządzić w nim sklep. Wszystkie męskie pawilony miały sklepy, a w *annexo* nie było ani jednego. Więźniarkom jakoś to nigdy nie przyszło do głowy. Zresztą nawet gdyby miały pieniądze, prędzej by je wydały na adwokata, żeby im załatwił przepustkę. Dopóki nie zapadł wyrok, w miarę łatwo było się stąd wydostać. Po skazaniu sprawa stawała się trudniejsza i czasem najlepszy adwokat nic nie mógł zdziałać.

Postanowiłam zgłosić się na rozmowę do naczelnika więzienia i namówić go, żeby mi pozwolił otworzyć sklep. Na szczęście mnie lubił, więc miałam nadzieję, że zgodzi się mnie przyjąć. Z muru zapytałam *moto*, czy jest dziś naczelnik.

- Tak - odpowiedział *moto*.

- Poproś go, żeby mnie wezwał.

Moto skinął głową i wkrótce dostałam pismo wzywające mnie do biura.

Naczelnik był człowiekiem wysokim, dobrze zbudowanym. Głos miał tak donośny, że gdy mówił, drżały szyby w oknach. Do tego dochodziły sumiaste wąsy. W kontaktach z innymi był szorstki i konkretny, ale cieszył się autorytetem, choć wszyscy się go bali. Ja też w jego obecności czułam się trochę skrępowana.

- O, Natalie, moja niebieskooka laleczka - powiedział, kiedy weszłam do gabinetu. - W czym mogę ci pomóc?

Postanowiłam od razu przejść do rzeczy.

- Chcę otworzyć sklep w *annexo*, w tym starym kontenerze.

- Wiem, że masz zamiar niedługo wystąpić o stałą przepustkę. W dodatku jesteś cudzoziemką, czemu więc chcesz się włączać w tutejsze sprawy?

- W *annexo* przyda się sklepik. A póki mam regularny przy-
ływ gotówki, chcę zrobić coś pożytecznego dla tych kobiet.

Odchylił się w tył i podrapał w brodę. Najwyraźniej nie przy-
szedł mu do głowy żaden argument przeciwko otwieraniu
sklepu.

- No, dobrze. Czego ci potrzeba? Jest tam lodówka?

Co za ulga. A więc się zgodził i w dodatku poszło łatwo.
Szłam tu z przekonaniem, że trzeba go będzie długo przekony-
wać i namawiać.

- Nie ma. Ale kupię.

- Nie musisz. Dam wam lodówkę - rzekł. - To w sumie
dobry pomysł.

Bardzo się ucieszyłam. Bez lodówki nie ma mowy o prowa-
dzeniu sklepu. Wszyscy kupują zimne napoje.

- Czy może pan kazać strażnikom, żeby mi pomogli w urzą-
dzeniu sklepu?

Na to też się zgodził i w ten sposób mój biznes za krat-
kami zaczął nabierać rumieńców. Jakby ktoś dodał mi skrzydeł.
Nagle zapaliło się dla mnie zielone światło na założenie pierw-
szego w życiu legalnego interesu, który mógł przynieść korzyść
nie tylko mnie, ale i moim towarzyszkom więziennej niedoli.
Za murami była hurtownia. Naczelnik obiecał, że załatwi dla
mnie stamtąd dostawę towaru.

Kupiłam metalowe listwy, które następnie przyspawano
do okienka tak, by można było podawać towar, ale żeby
nikt nie wszedł do środka i nic nie ukradł. Nazajutrz dostar-
czono lodówkę. Wszystko działało się w oszałamiającym
tempie. Pierwsza rzecz, kupiłam do lodówki kłódkę. Nie

rozgłaszałam na razie, co robię, bałam się zwykłej ludzkiej zawiści. Przez ambasadę otrzymałam pierwsze pięćset funtów ze spadku. Kupiłam za nie towar: cukier, kawę, mleko w proszku, kilka rodzajów mąki i tuńczyka. Zamówiłam też sporo niedrogich słodczy i czekoladę. W San Juan były kobiety z małymi dziećmi i liczyłam, że słodkości będą dobrze szły.

Najbardziej dochodowe były dni widzeń. Odwiedzający kupowali u mnie różne produkty dla więźniarek, a poza tym zostawiali im pieniądze i wkrótce moje klientki, którym wcześniej udzieliłam kredytu, spłacały długi.

Naczelnik widział, że interes idzie świetnie, sam czasem przychodził się czegoś napić.

- Brawo, Natalie. To twoja zasługa - pochwalił mnie raz, a ja mało nie pękłam z dumy. Cieszyły mnie opinie innych, że mam głowę do interesów. Ironią było jedynie to, że swój pierwszy uczciwy biznes prowadziłam w więzieniu.

Często rozdawałam za darmo cukierki i czekoladki maluchom, które były tu z matkami. Strasznie mi było ich żal i chociaż w ten sposób mogłam im dać odrobinę radości.

Po kilku miesiącach działalności poprosiłam naczelnika o zgodę na zainstalowanie płatnego telefonu. Znów się udało. Zgodził się, a ja od razu stałam się ważna, bo nikt nie miał u siebie telefonu stacjonarnego. Cieszył się on dużą popularnością.

Ponieważ bardzo lubiłam słuchać muzyki, następną kupioną rzeczą był porządny sprzęt grający do ogólnego użytku. Mężczyźni mieli u siebie w pawilonach wieże stereo, ale w *annexo* słuchanie muzyki należało do rzadkości. Za około 350 funtów dostałam sprzęt naprawdę dobrej klasy.


Odkąd zaczęłam prowadzić sklep, mój status wzrósł i zaczęto mnie darzyć większym szacunkiem. Wieża stereo na ogół stała w sklepie, ale też wynosiłam ją czasem na dziedziniec, a wtedy Monica urządzała trening aerobiku. Lubiłam muzykę wenezuelską, czasami też nastawiałam coś po angielsku, jak *It Wasnt Me* Shaggyego. Choć wszyscy skorzystali na otwarciu sklepu i kupnie wieży, niektóre kobiety mi zazdrościły.

Na urodziny dostałam w prezencie od mężczyzn duże ilości bimbru, zwanego *michę*. Skrzyknęłam dziewczyny i poszłyśmy na boisko pograć w kosza. Przyjemnie było samemu coś zorganizować. Strażniczki widziały, że popijamy, ale się nie czepiały. Byłam tego dnia bardzo szczęśliwa.

Mala conductas

Zasięgnęłam informacji w sprawie umowy między Wielką Brytanią a Wenezuelą o wzajemnym przekazywaniu więźniów. Na razie ratyfikacja została wstrzymana, a władze nie potrafią udzielić odpowiedzi, kiedy strona wenezuelska zatwierdzi porozumienie. Sądzę jednak, iż może Pani rozpocząć stosowną procedurę i złożyć podanie. Według naszych informacji wenezuelski kodeks karny nie przewiduje ulaskawienia. Jedyne głowa państwa ma prawo łaski, ale ponieważ nieznaną nam jest żaden przypadek ubiegania się o prezydencką łaskę, trudno powiedzieć, jakie obowiązują wówczas zasady postępowania.

List przedstawicielki Prisoners Abroad do Natalie

 Wenezueli istnieją specjalne więzienia dla tak zwanych *mala conductas*, więźniów trudnych i agresywnych. Po kilku miesiącach mojego pobytu w San Juan przywieziono grupę wyjątkowo brutalnych i bezwzględnych dziewczyn

Najgorsza z nich, Ingrid, drobna i niewysoka, bezczelnie kra-
dła, stale się awanturowała i była bardzo okrutna. Rządziła nimi
niejaka Becky, która chciała zostać kobiecym odpowiednikiem
pranga, co było dotąd rzeczą niesłychaną. Kobiety nie miały
zorganizowanych struktur jak mężczyźni.

Wszystkie żyłyśmy odtąd w strachu. Nowo przybyłe bły-
skawicznie zburzyły spokojną, harmonijną atmosferę, panu-
jącą do tej pory w *annexe* Becky miała gęste kręcone włosy, była
silna, krępej budowy ciała. Za wszelką cenę starała się uchodzić
za twardą i ostrą. Przed ich przybyciem walki w kobiecej części
więzienia zdarzały się rzadko, potem się to radykalnie zmieniło.
Podobno cała ta grupa miała wyjątkowo złą sławę we wszyst-
kich wenezuelskich więzieniach. W San Juan od razu zaczęły się
panoszyć i nas okradać, najpierw dyskretnie, potem coraz bar-
dziej zuchwale.

Napadały wczesnym rankiem, gdy było pusto, i brały, co im
się żywnie podobało. Ich ofiarą padały zwłaszcza te więźniarki,
które miały niedawno widzenia z rodziną, a więc były dobrze
zaopatrzone. Wymuszenia odbywały się pod groźbą użycia
noża.

- Oddawaj, bo pożałujesz. Jak się okaże, że miałaś pieniądze
i się nie przyznałaś, to cię zabijemy.

Tylko czekałam, aż się do mnie dobiorą. Poprzysięgłam,
że nie dam sobie tak łatwo odebrać tego, na co przecież ciężko
zapracowałam.

Pewnego ranka poszłam do domu kultury i po powrocie
okazało się, że ktoś włamał się do mojej skrzynki, zamkniętej
na kłódkę. Zginęły wszystkie kosmetyki.

Od razu wiedziałam, że to one. Wkurzona jak diabli pobiegłam do ich celi i zaczęłam wymyślać po hiszpańsku. Ogarnęła mnie desperacka furia, było mi już wszystko jedno. Jedna zaczęła przede mną uciekać, skacząc po łózkach jak małpa. W szale wyrwałam z łóżka deskę i wywijając nią, goniłam tę dziewczynę. Bujała się na przewodach elektrycznych, skakała z łóżka na łóżko. W końcu nie zdołałam jej dopaść, najgorszy gniew minął i cisnęłam deskę na ziemię.

- Jeszcze mnie zabij, no dalej - krzyczałam. Nic mi jednak nie zrobiła.

Kradzieże się nasilały, atmosfera stawała się coraz gorsza. Któregoś dnia doszło między nimi do bójki na noże. Chciałyśmy rozdzielić walczące, ale Becky, ta ich samozwańcza przywódczyni, tylko wzruszyła ramionami:

- A niech się biją.

Jedna miała rozcięte ramię i trzeba ją było zabrać do szpitala, żeby zeszyć ranę.

- Jeszcze wam pokażemy, jak powinno wyglądać *annexo* - odgrażała się Becky. - Ma być tak, jak po męskiej stronie.

Becky i China, jej ochroniarka, nie paliły cracku, ale reszta gangu tak, więc ich zachowanie było nieprzewidywalne. Strach było nawet przechodzić w pobliżu zajmowanych przez nie cel.

China wyglądała na Chinkę. Miała długie kruczoczarne włosy, była drobna, ale bardzo umięśniona i wysportowana. Nawet ją dość lubiano, mimo że należała do bandy.

Ktoś mnie uprzedził, że tamte zamierzają okraść mój sklep i już tam idą. Akurat byłam niedaleko. Monica, która mi wtedy towarzyszyła, wściekła się i zwymyślała Ingrid od ostatnich.

- Zachciało się wam obrabować sklep? A nie przyszło wam do pustych łbów, że sklep służy wszystkim? Natalie nic nikomu złego nie zrobiła. Swoją własną sprzęt wystawia na zewnątrz, żeby każdy mógł posłuchać muzyki. I nie donosi na nikogo. Jest tu zupełnie sama, nie ma żadnej rodziny.

Skrzyczała je, a na koniec się popłakała. Tamte ją szanowały i przemowa odniosła skutek do tego stopnia, że się zawstydziły, a nawet przeprosiły. Monica cieszyła się poważaniem w *annexo*.

Któregoś popołudnia poszliśmy na imprezę do pawilonu drugiego. Po powrocie z początku nie zauważyliśmy, że jednej z nas brakuje. Millie trzymała się przeważnie na uboczu i nie była specjalnie lubiana, ale też z nikim nie miała zatargów. Dopiero następnego dnia ktoś zauważył, że jej nie ma. Spytałyśmy zaprzyjaźnioną strażniczkę, co się stało. Ta, mocno wzburzona, zdradziła szeptem, że nieszczęsna dziewczyna została zgwałcona kijem od szczotki tak, że ma rozdartą pochwę i odbyt. Była to robota bandy Becky i Ingrid. Postanawiając nie iść z nami na imprezę, Millie podjęła najgorszą decyzję w życiu. Wszystkie przeżyliśmy prawdziwy szok. Napięcie w kobiecej części więzienia jeszcze bardziej wzrosło.

Dla mnie było to niewyobrażalne barbarzyństwo, że kobiety mogły zrobić coś tak okrutnego i zwyrodniałego innej kobiecie. Odtąd jeszcze większym łukiem omijałam *mala conductas*. Millie pozostała w szpitalu cztery miesiące, strażniczki na zmianę przy niej dyżurowały. Ze zgrozą opowiadały, że nie może oddawać normalnie moczu ani się wypróżniać. Żadna z bandy nie została ukarana, bo nic im nie udowodniono. Nieszczęsna Millie wróciła do celi jako kompletny wrak człowieka. Nie byłaby

w stanie przeciwko nim zeznawać. Aż żal było patrzeć, jak smęt-
nie powłócząc nogami, snuje się po korytarzach i celach. Moczyła
się, trzeba ją było myć i opiekować się nią jak dzieckiem. Oczy
miała zupełnie puste i martwe. Nic do niej nie docierało. Może
to zresztą i lepiej. Banda ignorowała ją. Żadna z tych dziewczyn
nie wykazywała najmniejszych śladów skruchy, a przecież Mil-
lie nic złego im nie zrobiła. Potraktowały ją bestialsko, bo miały
taki kaprys.

Kilka razy próbowałam rozmawiać z Millie, ale nie było z nią
żadnego kontaktu. Nikt nie wiedział, jak doszło do tej tragedii,
i tylko serce się krajało na widok jej cierpienia i na myśl, co dalej
ją czeka.

Mężczyźni nie znosili dziewczyn z bandy, a one nigdy nie
chodziły do męskiej części. Robiły wszystko, żeby trafić do wię-
zienia dla *mala conductas*. Potrafiły nawet wygrażać naczelnikowi.
Ich bezczelność była wprost niewiarygodna, podobnie jak
to, że nikt, ani naczelnik, ani strażnicy, nie mógł sobie z nimi
poradzić. Otwarcie przyznawały, że specjalnie się tak zachowują,
żeby je stąd zabrano. Nie podobało się im w San Juan, gdyż było tu dla nich za spokojnie.

China wiecznie kogoś zastraszała i wymuszała pieniądze.
Groziła śmiercią, jeśli do określonego dnia nie dostanie forsy.

- J a k nie oddasz, to cię zabiję - brzmiała jej zwykła śpiewka.

Byłam winna jednej dziewczynie za kartę telefoniczną
i zamierzałam oddać dług, gdy dostanę pieniądze z ambasady.
China domagała się, żebym zapłaciła natychmiast.

- Przecież wiem, że mam dług - warknęłam. - Jak tylko
przyjedzie ktoś z ambasady i przywiezie pieniądze, to oddam.

Wreszcie doszło do tragedii. Otóż China uwzięła się na Rosannę. Była to narkomanka, która wszystko wydawała na crack. Niespodziewanie przestała sprzedawać rzeczy, które dostawała w czasie odwiedzin, co miała dotąd w zwyczaju. Okazało się, że po każdym widzeniu z krewnymi China wszystko jej zabierała. Robiła to zawsze bez świadków. Rosanna nikomu się nie zwierzała, więc nawet nie wiedziałyśmy, że China zmieniła jej życie w piekło.

W końcu Rosanna nie wytrzymała i w desperacji opowiedziała wszystko niejakiemu Oriente, ważnej figurze w drugim pawilonie. Ten zwrócił się do Che, który wyraził zgodę na dostarczenie Rosannie broni, żeby mogła załatwić sprawę z Chiną. Dowiedziałyśmy się o tym dużo później. Che zazwyczaj nie mieszał się w babskie sprawy, ale ponieważ doszły go słuchy o terrorze, zgodził się pomóc.

Pewnego popołudnia siedziałam z Marshą, Holenderką, na dziedzińcu, niedaleko drzwi do tajemniczego ogrodu. Słońce grzało przyjemnie, opierałyśmy się plecami o mur. Akurat odbywały się zajęcia w szkole, więc było całkiem pusto. Nagle na dziedzińcu wpadła przerażona i blada jak trup China. Wszystkich nas to zaskoczyło, bo zawsze była zimna i opanowana. Goniła ją Rosanna.

- Nie, proszę cię, nie - krzychała China.

Z przerażeniem ujrzałyśmy, że Rosanna trzyma w ręku rewolwer i mierzy prosto w Chinę. Była to rzecz absolutnie niesłychana w kobiecej części więzienia i nie mogłaby się zdarzyć bez pozwolenia Che. Śmiertelnie przerażona China nie wstydziła się błagać Rosannę o litość.

- Proszę... Przysięgam, że dam ci spokój. Tylko proszę, odłóż broń - krzyczała. Do Rosanny jakby to w ogóle nie docierało. Miała złą, zaciętą twarz.

Marsha zaczęła się wstawiać za Chiną.

- Nie rób tego, Rosanno. Proszę cię.

Rosanna zupełnie ją zignorowała, może w ogóle nie słyszała. Najpierw strzeliła w kolano, przy czym rewolwer nawet nie drgnął w jej ręku. Tamta upadła. Wtedy Rosanna spokojnie podeszła bliżej i wypaliła prosto w głowę. China zginęła na miejscu. Trudno wprost opisać, jakie to straszne, gdy ktoś, kto jeszcze przed chwilą był cały i zdrowy, leży bez życia na ziemniczym mucha rozgnieciona packą.

Stało się to w moim ulubionym tajemniczym ogrodzie i odtąd już nigdy to miejsce nie było dla mnie takie jak kiedyś. Z trudem docierało do mojej świadomości, że padły strzały i że byłam ich świadkiem. Strzelanie należało do świata mężczyzn, kobiety w ten sposób nie załatwiały porachunków. Okazało się potem, że była to pierwsza w Wenezueli strzelanina w kobiecej części więzienia. Muszę przyznać, że było to dla mnie wstrząsające przeżycie.

W więzieniu często ktoś odpalał fajerwerki, więc strażniczki w pierwszej chwili myślały, że to sztuczne ognie, i nie zareagowały na hałas. Ktoś doniósł jednak, że zabito Chinę, i wtedy zjawily się natychmiast. Mało kto wtedy wiedział, że strzelała Rosanna. Ja nic nie powiedziałam, nie chciałam się w całą sprawę mieszać. To nie była moja wojna.

Natychmiast pozamykano nas w celach. Z początku prawie nikt nie wiedział, co się stało, ale wiadomość szybko się

rozniosła. Wszystkie byłyśmy w szoku. Żadna się nie odzywała, przeżywałyśmy to w milczeniu. Kiedy mężczyźni się dowiedzieli, wiwatowali tak, że nawet u nas było słychać. Dla nich strzelanina była najlepszym sposobem załatwiania porachunków. Chiny nie lubili, więc jej nie żalowali. Poszły plotki, że miała romans z Marisol, dawną dziewczyną Che, i dlatego Rosanna dostała broń. Po strzelaninie pili i bawili się - jak to mieli w zwyczaju.

Ktoś w końcu doniósł władzom, że to Rosanna zabiła Chiny, i wtedy zamknięto ją w małej, odgradzonej bramą celi na końcu korytarza. Musiano ją chronić przed kobietami rozwścieczonymi nie tyle z powodu śmierci Chiny, ile dlatego, że Rosanna, zabijając inną kobietę, złamała niepisany kodeks. Zarządzono rewizję, wszystko zostało przewrócone do góry nogami i znalazł się rewolwer.

W rezultacie pozostawałyśmy w zamknięciu do końca dnia. Przez ponad tydzień nie wolno nam było wychodzić poza *annexo*, ale nie musiałyśmy już siedzieć w celach. Rozwścieczone kobiety obrzucały Rosannę wyzwiskami i próbowały ją oblać wrzątkiem przez okno celi.

Becky pilnowała telefonu i nie pozwalała nikomu z niego korzystać. Usiłowała się zachowywać jak *prang*. Gdy po męskiej stronie kogoś zabito, starano się nie dopuścić, by informacja wydostała się na zewnątrz. Becky chciała u nas zaprowadzić podobne porządki. Jak prawdziwy macho.

Telefon zadzwonił, a ona nie pozwalała odebrać.

— Nie będziesz mi rozkazywać, z kim mogę rozmawiać, a z kim nie. - Zbuntowałam się. Okazało się, że dzwonił ktoś

z męskiej strony, aby się dowiedzieć, co się stało. Gdy Becky się zorientowała, natychmiast wyrwała mi słuchawkę.

W końcu sam Che przyszedł do *annexo*, pogadał z Becky i komunikacja między kobietą a męską częścią więzienia została przywrócona.

Rosannę postanowiono przewieźć do innego więzienia. Becky ubłagała gwardzistów, żeby pozwolili jej się z nią bić.

- Zabiła i nie poniesie żadnej kary, tylko przeniosą ją gdzie indziej. To niesprawiedliwe.

Wszystkie więźniarki się na to szykowały. Ponacinały kije od szczotek, powkładały w nacięcia żyłki i taką bronią wymachiwały przez kraty, gdy Rosannę prowadzono korytarzem.

Strasznie było mi jej żal. Po kilku tygodniach spędzonych w celi wyglądała fatalnie i ledwo powłóczyła nogami. Jeszcze bardziej schudła i zmaląła. Długie, falujące kasztanowe włosy były splątane i brudne, ubranie nieświeże. Tępym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Kiedy przechodziła obok cel, więźniarki wygrażały jej kijami, ale żadnej nie udało się jej dosięgnąć, gdyż cały czas się uchylała. Widać było, że strasznie się boi, bo była biała jak papier.

Gdy na końcu korytarza ujrzała Becky, stojącą z założonymi rękami, twarz jej skamieniała ze zgrozy. Tamta przypominała zwiniętego węża szykującego się do ataku. Straże postawiły warunek: Becky nie będzie uzbrojona. Rosanna nawet nie próbowała walczyć, poddała się biernie losowi i tylko osłaniała głowę przed ciosami.

Becky kochała Chinę i strasznie cierpiała po jej śmierci. Teraz zalewała się łzami i przy każdym uderzeniu powtarzała

ze szlochem: „To za Chinę”. Nie wiem, czy Becky i China miały romans, ale mimo całego okrucieństwa tej sceny, w rozpacz Becky było coś głęboko poruszającego.

Rosanna szybko osunęła się na ziemię, a Becky nie przestała bić. Strażnicy wkroczyli dopiero, gdy popłynęła krew.

- Wystarczy.

Becky wcale nie miała dosyć, właśnie się rozkręcała i mogłaby jeszcze dużo, dużo dłużej.

Podobnie jak w wielu innych aspektach więziennego życia, tu też obowiązywały podwójne standardy zachowania, osobne dla mężczyzn i osobne dla kobiet. Kiedy mężczyźni kogoś zabili, nikt za to nie odpowiadał, ale kiedy zrobiła to kobieta, trzeba ją było przenieść do innego więzienia, bo inaczej by ją zlinczowano. Pokrwawioną, potwornie zmaltretowaną Rosannę wsadzono do policyjnej furgonetki i wywieziono. Nie wiem, co się z nią stało. A w *annexo* nic już potem nie było takie jak kiedyś. My, kobiety, straciłyśmy niewinność.

Do utraty tchu

Pragnę gorąco Państwu podziękować za pomoc udzieloną Eve i Nikicie. I mam jeszcze nieśmiałe pytanie. Czy możliwe byłoby załatwienie widzenia dla Nikity? Bardzo za nią tęsknię i chciałabym choć na chwilę ją przytulić. Wiem, że jest jej dobrze, i nie chciałabym tego zburzyć. Wdzięczna zatem będę za opinię, czy takie widzenie byłoby możliwe i wskazane.

List Natalie do miejscowego ośrodka
opieki społecznej w Anglii

Zupełnie straciłam zainteresowanie mężczyznami. Teraz, gdy miałam swój sklep i zabezpieczenie finansowe, nie byłam już zależna od mężczyzn przysyłających jedzenie i kosmetyki. W przeciwieństwie do kobiet, które musiały słuchać swoich „panów”, byłam wolna i mogłam robić, co chciałam. Ceniłam tę swoją niezależność. Nie zawierałam też, jak niektóre dziewczyny, bliższych znajomości ze strażnikami.

Jak się okazało, nie zawierałam do czasu. Do więzienia przy-
byli nowi strażnicy i jeden od razu zwrócił moją uwagę. Na jego
widok ogarnęło mnie dziwne uczucie, zupełnie jakby ten czło-
wiek krzychał: „Patrz na mnie!”.

Nie mogłam oderwać od niego oczu, natomiast on ani razu
nie spojrział w moją stronę. Miał na sobie białą koszulę i czarne,
obcisłe spodnie. Był doskonale zbudowany. Stałam jak urze-
czona, ale wtedy jeszcze do głowy mi nie przyszło, że mogłoby
do czegoś dojść między nami. Nawet powiedziałam stojącej
obok strażniczce, żeby zwróciła uwagę, jakiego ma przystojnego
kolegę, i może by się nim zajęła.

Wielu strażników pozwalało sobie na flirty, ale on był zawsze
poważny i nigdy tego nie robił. Usiłowałam przyciągnąć jego
uwagę, na przykład kołysząc biodrami, ale cały czas zachowywał
się tak, jakbym nie istniała. Złościła mnie ta obojętność. Przy-
zwyczaiałam się, że tutejsi mężczyźni natychmiast reagowali,
gdy tylko wysyłałam im odpowiedni sygnał. Najlepiej by było,
gdyby inicjatywa wyszła od niego. Chciałam sprowokować reak-
cję - ale jak, skoro on w ogóle mnie nie zauważał.

Wiedziałam zawsze, kiedy wypada jego zmiana. Na jego
widok serce zaczynało mi bić szybciej. Pewnego dnia, gdy
ćwiczyłyśmy aerobik w *educativa*, nagle go zobaczyłam. Stał
na zewnątrz i zaglądał do środka.

Szturchnęłam Monice.

- Zobacz, znów ten boski strażnik - szepnęłam do niej.
Monica miała już tego serdecznie dosyć.

- Mam powyżej uszu tych twoich wzdychań i jęków. Podejdę
do niego i powiem, że ci wpadł w oko.

- Nie, za nic! Umarłabym ze wstydu. - Aż ja złapałam za ramię, bałam się, że rzeczywiście pójdzie. I nagle, zanim Monica zdążyła mnie powstrzymać, sama podeszłam do niego, nie wiedząc nawet, co mam powiedzieć.

- Cześć - rzuciłam na tyle swobodnie, na ile to było możliwe. Usta miałam suche jak pieprz.

Spojrzał na mnie tylko i nic nie powiedział.

Nieźle musiało mi odbić na jego punkcie, bo bez namysłu palnęłam:

- Podobasz mi się.

Aż sama nie wierzyłam własnym uszom i spuściłam głowę, żeby ukryć rumieniec.

- Następnym razem dam ci moje zdjęcie - odparł z uśmiechem. Zaimponował mi poczuciem humoru. Cóż za miła odmiana po banałach o oczach koloru morza.

Niestety, zaraz potem strażniczki, które nazywałyśmy *brugas*, czyli „czarownice”, kazały nam wracać do *annexo*. W Wenezueli gdzieś tam przetrwała wiara w *czarna* magię i określenie *brugas* jest bardzo obraźliwe.

Wróciliśmy do *annexo*. Ciągle jeszcze przeżywałam własną śmiałość. Przyznałam się Monice.

- Nie uwierzysz! Poszłam i powiedziałam mu wprost, że mi się podoba!

- Ojej! - wykrzyknęła tylko. Udałyśmy się zaraz na *el murro*, żeby omówić ewentualne konsekwencje mojej zuchwałości, i stamtąd znów go zobaczyłam. Siedział pod biurem w towarzystwie innego nowego strażnika o imieniu Alejandro. Z góry miałyśmy na nich dobry widok.

Znów poczułam przypływ desperackiej odwagi. Posłałam mu uśmiech.

Pomachał mi w odpowiedzi.

- Cześć - zawołał.

Dźwięk jego głosu wzbudzał łaskotanie w żołądku. Kiedy go widziałam, czułam się jak trzynastolatka.

Jeden z więźniów zajmował się produkcją lodów, a drugi je sprzedawał. Pakowane były w plastikowe kubeczki. Chciałam dać przystojnemu strażnikowi numer telefonu, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. W końcu wymyśliłam, że pošlę lody obu strażnikom.

Najednym z kubków napisałam swój numer.

- Ten kubek koniecznie daj temu w białej koszuli - przykazałam lodziarzowi. Zapłaciłam i wróciłam na *el tnurro*, popatrzyć, co będzie działo się dalej.

- Dziękuję za lody - zawołał ten „mój”.

- Zjedz je, bo wyglądasz na gorącego chłopaka. - Już bardziej banalnie nie mogłam odpowiedzieć. Sama nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Chyba całkiem odjęło mi rozum. Z moich ust bezwiednie wychodziły słowa, jakich świadomie nie odważyłabym się wymówić.

Siedziałyśmy z Monicą na murze, a obaj strażnicy na swoich krzesłach. Od dawna nikt nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Od miesięcy nie spotkałam tak przystojnego faceta. Tylko czyja mu się podobam?

Ku mojej wielkiej radości wieczorem zadzwonił. Powiedział, że nazywa się Jose Guedez. Kilka razy prosiłam go, żeby powtórzył.

- *Burra* - orzekł, gdy łamiąc język, próbowałam powtórzyć. *Burra* to po hiszpańsku „oślica”, czyli krótko mówiąc, „głupia”. Ale w jego głosie dźwięczało pełne zachwyty rozczulenie.

„Prawie mnie nie zna, a mówi, że jestem głupia. Bezcelny. To nie moja wina, że ma takie trudne nazwisko”.

Następnego dnia przysłał mi lizaka. Przedtem obie z Monicą spędzałyśmy czas głównie w sklepiku, siedząc, jedząc i plotkując, teraz miałam nowe, ekscytujące zajęcie. Nazajutrz go nie widziałam, ale zadzwonił wieczorem, z czego się bardzo ucieszyłam. Od tamtej pory dzwonił codziennie. Z nikim tak dobrze mi się nie gadało. Ze strażniczkami czy z innymi więźniarkami zamieniałam czasem parę słów i to wszystko. Z Jose było inaczej. Niewiele się znaliśmy, a on świetnie wiedział, co czuję i co myślę. Odkryłam przed nim serce i duszę. Dużo rozmawialiśmy o Anglii.

- Jak tam jest? Pojedziemy? Pomogę ci uciec, a wtedy weźmiemy w Anglii ślub - żartował. A kiedy tak mówił, mnie robiło się ciepło na sercu, choć poza długimi rozmowami telefonicznymi nasze kontakty na terenie więzienia były krótkie i powierzchowne.

Opowiedział mi o sobie. Miał dwadzieścia trzy lata, czyli tyle co ja. Mieszkał z matką i miał córkę; z żoną był w separacji. Lubił jazdę na motorze i wypadki z przyjaciółmi. Pochodził z Caracas i starał się często jeździć do domu. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Z nikim tyle tu nie gadałam, a on szczerze interesował się wszystkim, co miałam mu do powiedzenia. Opowiadałam sporo o strażniczkach, zwłaszcza o tych złych. Zamartwiałam się, czy aby na pewno mu się podobam. Załatwił sobie pilnowanie

sklepiku w dniu widzeń, kiedy wszyscy byli zajęci rodzinami i znajomymi, i wtedy gadaliśmy bez końca.

- Dziś kończy się moja dwutygodniowa zmiana. Jadę do Caracas zobaczyć się z mamą i córką - powiedział.

Od razu posmutniałam. Nie miałam ochoty tracić go ani na chwilę z oczu.

- Lubisz mnie? - spytał.

- Przywieziesz mi swoje zdjęcie? - odpowiedziałam pytaniem.

- Naprawdę cię lubię, Natalie. Szczerze - spoważniał nagle. Uwierzyłam, że mówi z serca. Dokuczałam mu, że z początku mnie ignorował, podczas gdy ja od razu straciłam dla niego głowę.

- Dlatego, że jestem poważnym człowiekiem. Zacząłem nową pracę i chciałem jak najlepiej wypełniać moje obowiązki.

Pewnego wieczoru poprosił, żebym do niego zadzwoniła, ale odparłam, że nie mam już minut na karcie. Przesłał mi SMS-em kod, żebym doładowała kartę aż za trzydzieści funtów. Gdy miał nocną zmianę, dzwonił do mnie nawet o trzeciej nad ranem.

Pogawędki z Jose weszły na stałe do programu dnia, bez nich nudziłam się jak mops. Niepotrzebnie się martwiłam, że nie będę mieć od niego wiadomości przez te dwa tygodnie, kiedy będzie w Caracas. Codziennie przysyłał SMS-y i dzwonił. Zawsze mieliśmy o czym rozmawiać. Dużo czasu poświęciliśmy więziennym sprawom i plotkom. Dziewczyny z mojej celi miały serdecznie dosyć tych naszych rozmów, bo nie mogły spać. Z początku nie wierzyłam w jego zapewnienia, że nie ma dziewczyny i że mieszka z matką. Myślałam, że mówi tak,

bo sądzi, że właśnie to chcę usłyszeć. W końcu jednak dałam się przekonać.

Kiedy wrócił do San Juan, jeszcze silniej ciągnęło mnie do niego. Szepcząc w słuchawkę, obiecywaliśmy sobie, jak to będziemy się całować do utraty tchu, kiedy się znajdziemy sami. Jednak obietnice ciągle pozostawały niespełnione.

Ktoregoś wieczoru w *annexo* była impreza i José eskortował więźniów, którzy przyszli z męskiej części. Razem z nim dyżur pełnił Alejandro, który wiedział o naszym uczuciu.

Zbliżał się koniec imprezy, a do obiecanego pocałunku nadal nie doszło. Miałam wrażenie, że on w ogóle się nie stara, żeby choć na chwilę znaleźć się ze mną sam na sam.

- Idę już - oznajmił w końcu.

- No, to sobie idź - warknęłam. Byłam smutna i zła, że nawet ukradkiem nie próbował mnie pocałować.

Po chwili przybiegł Alejandro i spytał, co się stało.

- On jest beznadziejny. Mówi, że chce mnie pocałować, i nic nie robi - odparłam. José przyglądał się nam z daleka.

Z płaczem pobiegłam do tajemniczego ogrodu. Przyszedł tam za mną. Porwał mnie w ramiona i pocałował jak nikt nigdy przedtem. Aż rzeczywiście, zabrakło mi tchu. Każdy mógł nas przyłapać - strażniczka czy któraś z dziewczyn. Na szczęście nikt nic nie zauważył.

Był to pocałunek głęboki i bardzo namiętny, pełen dzikiej pasji. Dopiero teraz zrozumiałam, co to znaczy naprawdę się zakochać. Czułam się jakbym się rozkosznie zapadała w miękki aksamit. Odtąd ani na sekundę nie mogłam przestać myśleć o José. A on wkrótce znów pojechał do Caracas na dwutygodniowy urlop.

Wydawało mi się, że płonę żywym ogniem. Kochałam go do szaleństwa, bałam się jednak tej miłości: że będę przez niego cierpieć i że jest to związek bez przyszłości. Ale żadne rozsądne argumenty nie mogły stłumić tego palącego się we mnie ognia. On czuł to samo. Ciągłe do mnie dzwonił albo przysyłał SMS-y - nawet pięćdziesiąt dziennie. Także gdy był daleko, cały czas czułam przy sobie jego obecność.

Swobodnie chodziłam na imprezy odbywające się w męskiej części więzienia. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości tutejszych mężczyzn José w ogóle nie był zaborczy i nie zabraniał mi niczego. Nie zmuszał mnie do takiego czy innego zachowania tylko dlatego, że jesteśmy razem.

Powinniśmy byli bardziej się kryć ze swoimi uczuciami, ale on nie umiał być dyskretny. Po powrocie z urlopu dał mi w prezencie misia, ciągle też posyłał mi całusy, toteż wszyscy strażnicy szybko się domyślili, co się dzieje.

Pewnego dnia zadzwonił na telefon w moim sklepiku i powiedział:

- Biegnij prędko do tajemniczego ogrodu. O nic nie pytaj.

Poszłam, jak kazał, a tam czekali już na mnie *mariacki*, muzycy w wielkich, czarnych kapeluszach, którzy zaśpiewali mi serenadę, znaną wenezuelską pieśń miłosną. José ich wynajął. Nauczyłam go kiedyś języka migowego używanego przez więźniów i teraz z daleka wyznawał mi w ten sposób, że mnie kocha.

Od tego czasu o naszej miłości wiedzieli już wszyscy. Niektórzy strażnicy nawet nam pomagali. Szczególnie życzliwa była dla nas Penelope z sympatycznej zmiany. Pewnego dnia José zwierzył się jej, że bardzo chcielibyśmy spotykać się

bardziej intymnie. Obiecała pomóc i odtąd czasem przychodziła po mnie, gdy wszyscy już byli zamknięci na noc.

Już od drzwi krzyczała:

- Natalie, potrzebuję coś ze sklepu.

A José czekał na mnie przy wejściu do *annexo*. Szliśmy w takie jedno miejsce, gdzie mieliśmy trochę prywatności, choć nadal byliśmy na widoku. Gdy zmianę miały *brugas*, nie było najmniejszej szansy na spotkanie. One nigdy by nam nie pomogły.

Dość szybko wiadomość o naszym związku dotarła do naczelnika. Oczywiście nie ucieszyły go amory więźniarki ze strażnikiem, więc wezwał mnie na dywanik.

- Co ja słyszę? Zadajesz się ze strażnikiem?

Próbowałam zbagatelizować sprawę.

- Takie tam więzienne plotki. Ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie. - Bardzo starałam się go przekonać. - Rzadko rozmawiam ze strażnikami, z tym akurat sobie kilka razy pogadałam i od razu wszyscy Bóg wie co pomyśleli.

Z początku mi uwierzył, bo inaczej nie zostawiłby José na stanowisku. Gdyby uznał, że coś jednak między nami jest, musiałby go natychmiast przenieść.

- To dobrze. Cieszę się, bo jesteś moją wyjątkową podopieczną.

Jakieś sześć miesięcy później, zdradził nas *moto*. Zapłaciłam mu, żeby mi przywiózł *miche*, a on twierdził, że go przyłapano, i dlatego nie ma dla mnie ani *miche*, ani pieniędzy. Kłamał. Pieniądze wydał na crack. Złamał niepisane prawo, zabraniające oszukiwać innego więźnia. Kiedy się

dowiedziałam, wpadłam w furję, o wszystkim powiedziałam José i *moto* wylądował w karcerze. Z zemsty doniósł na nas naczelnikowi. Że José uprzedzał nas o rewizjach, a ja mam dwa telefony komórkowe.

Naczelnik natychmiast kazał przeszukać moje rzeczy. Tylko sklep zostawili w spokoju. Znaleziono dwa telefony, o których mówił *moto*, i znów zostałam wezwana na dywanik. Nie bałam się, co się ze mną stanie, bo i tak już siedziałam w więzieniu. Ale José mógł mieć poważne nieprzyjemności.

Weszłam do biura bardzo zdenerwowana.

- Jestem zawiedziony, Natalie. Jednak się spotykasz z José - westchnął naczelnik. - I na co ci to? Przecież wcale mu na tobie nie zależy. Tyle że ma rozrywkę w pracy.

- Myli się pan. José naprawdę mnie kocha - zaprotestowałam z oburzeniem.

- Ależ ty jesteś naiwna - pokiwał głową ze smutkiem. Był autentycznie zawiedziony, zwłaszcza że tyle dla mnie zrobił. Przeczuwałam, że na tym się nie skończy.

- Skąd masz telefony? - spytał.

Kłamstwo nie miało sensu.

- J e d e n kupiłam, a drugi dał mi José.

Ku memu zaskoczeniu oddał mi oba.

Dziewczyny w celi były wyraźnie rozczarowane, gdy wróciłam szczęśliwa z dwoma telefonami. Miały nadzieję, że wreszcie zaznają odrobiny spokoju. Skąd mogły wiedzieć, że naczelnik miał do mnie słabość.

Kilka dni po tej wpadce José przydzielono współtowarzysza. Był nim zastępca naczelnika. Nie mieliśmy zatem najmniejszej

szansy na spotkanie. Wiadomo też było, że prędzej czy później będzie musiał odejść. Opłacił więc strażniczkę, żeby mnie przyprowadziła do szpitala. Dał mi znać, do której funkcjonariuszki mam się zgłosić z samego rana i narzekać na bóle żołądka.

Sam miał tego dnia dyżur w szpitalu. „Musisz stale skarżyć się na ból” - przykazał. Serce mocno mi biło, gdy myślałam o intymnym spotkaniu z José, zanim go odeślą. Dotąd nie udało się nam pobyć sam na sam dłużej niż kilka minut.

Nie miałam pojęcia, jak to wszystko ma być zaaranżowane. Tymczasem doktor od razu poszedł do swego gabinetu. Na pewno też został opłacony. Zostaliśmy sami. Przyjaciel José, Alejandro, pilnował, a my poszliśmy do izolatki. Oficjalnie nie było jeszcze mowy o odejściu José, ale doskonale wiedzieliśmy, że nie da się tego uniknąć. Przyniósł mi swoją koszulkę, w której spał poprzedniej nocy, żebym miała pamiątkę. W małym pokoiku stało jedno wąskie łóżko. Mniej romantycznie już być nie mogło.

Całowaliśmy się, tuliliśmy do siebie, płakaliśmy trochę i wreszcie się kochaliśmy. Byliśmy pewni, że więcej się nie zobaczymy. Serce dosłownie pękało mi na kawałki. Leżeliśmy spleceni na łóżku, a ja myślałam tylko o tym, że to już koniec. Bardzo go kochałam i cały czas miałam świadomość, że niebawem stracę go na zawsze.

José scałowywał moje łyzy i starał się mnie pocieszyć.

- Udawajmy, że nie jesteśmy tutaj, tylko w domu - szeptał, trzymając mnie w ramionach. Dotychczas zdawało mi się, że już mocniej nie można kochać, a jednak to, co czułam teraz, było jeszcze głębsze.

Do *annexa* wróciłam kilka godzin później.

Całymi nocami gadaliśmy *przez* telefon i czasem byłam tak zmęczona, że zasypiałam w trakcie rozmowy. Tamtej nocy trwało to bez końca.

- Musisz się postarać o stałą przepustkę. Wtedy będziemy mogli być razem.

- Może lepiej załatwić przeniesienie do Caracas?

- Nie martw się, jak będzie trzeba, znajdę sobie pracę w Méridzie - obiecał. W tym momencie nie myślałam jeszcze o niczym konkretnym, tylko cieszyłam się, że on snuje plany na wspólną przyszłość. Dotąd wolałam nie myśleć, co będzie po jego odejściu, a teraz pojawił się cień szansy na bycie razem. Serce drżało mi z radości.

Z jednej strony gorąco pragnęłam zrealizować nasze wspólne plany, a z drugiej myślałam trzeźwo: „Nic z tego nie będzie. Na pewno nie dostanę stałej przepustki”.

Wyjechał nazajutrz. Rozstanie było bardzo bolesne i trudno było się z tym pogodzić. Z ciężkim sercem patrzyłam z muru na odjazd José. Odwrócił się i krzyknął na cały głos:

- Kocham cię!

Koło mnie stało kilka dziewczyn. Patrzyły ze współczuciem, gdy ocierałam łzy.

Byłam święcie przekonana, że to koniec, że już nigdy go nie zobaczę — mimo tych wszystkich rzeczy, które mi mówił w nocy przez telefon. To pewnie tylko takie gadanie. José był wolny, ja nie. Czemu nie miałyby zacząć życia beze mnie.

Wróciłam do *annexo*, położyłam się, zaciągnęłam zasłony wokół łóżka, a potem już tylko płakałam. W sklepie zastępowała

mnie Monica, a ja przeżywałam żałobę po José. On tymczasem słał mi SMS-y z dworca autobusowego, aż do wyczerpania baterii. Pisał pięknie - że jestem dla niego jak powietrze, którym oddycha, że wypełniam mu serce. Z radością czytałam jego słowa. Łatwo mógł o mnie zapomnieć, ale chyba jednak nie miał takiego zamiaru.

Ciągle do mnie dzwonił z drogi. Ani razu nie zażądał, żebym nie chodziła do męskiej części więzienia. W dodatku obiecał, że jego przyjaciele będą nade mną czuwać.

Po odjeździe José przestałam wychodzić gdziekolwiek, nie mnie nie interesowało. Bez niego życie nie miało sensu. Żartem mówiłam Monice, że jeszcze kiedyś uciekniemy razem z José do Anglii, ale nawet przez myśl mi wtedy nie przeszło, że tak może być naprawdę. Wkrótce potem Monica też wyjechała, bo Stany Zjednoczone podpisały porozumienie o wymianie więźniów. Był to dla mnie wielki cios, gdyż straciłam przyjaciółkę i jedyną podporę. Wiele rzeczy robiłyśmy razem, wspólnie gotowałyśmy, rozmawiałyśmy o wszystkim. Zgodnie z tutejszym zwyczajem nagle została powiadomiona, że ma się przygotować do wyjazdu, i w ciągu godziny już jej nie było.

Moje towarzyszki okazywały mi więcej współczucia po odjeździe Moniki niż po odejściu José. Pewnie dlatego, że José był strażnikiem, a ja więźniarką, i nikt nie sądził, by nasz związek miał jakąś przyszłość. W więzieniu łatwiej można zrozumieć utratę przyjaciółki.

Pląkałyśmy przy rozstaniu i obiecywałyśmy sobie, że nie stracimy kontaktu. Najpierw miała wrócić do INOF-u na parę dni, a potem lecieć do Ameryki. Z niewiadomych przyczyn jednak

o niej zapomniano i w sumie spędziła w INOF-ie siedem miesięcy. Dzwoniła do mnie kilka razy, potem kontakt urwał się do czasu mojego powrotu do Anglii.

Bez José i Moniki zaczęłam popadać w depresję. Było mi bardzo smutno i czułam się samotna. José chciał przyjechać na widzenie, ale go uprzedzono, że nie zostanie wpuszczony. Którejś nocy zadzwonił.

- Nie mogę tego dłużej znieść, oszaleję. Muszę cię zobaczyć.

Dzwonił do mnie z różnych imprez, na których próbował się bawić, ale cały czas myślał tylko o mnie. Miał chipową kartę telefoniczną, praktycznie bez żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o czas rozmowy. Kiedyś całą noc dzwonił do mnie z jakiegoś przyjęcia. On też nie chciał być nigdzie beze mnie, podobnie jak ja bez niego.

W końcu obmyśliliśmy plan. Miałam zamówić duży worek cukru do sklepu, bo potem zawsze musiałam go podzielić, a do tego potrzebna była waga, po którą należało pójść do kuchni.

- Zrób to, kiedy w *annexo* będzie sympatyczna zmiana - radził. — Najlepiej jak najwcześniej rano. Jak ktoś mnie zobaczy, natychmiast mnie wyrzuć, a rano w kuchni nie powinno być strażników.

Nie do końca przekonana zrobiłam, jak kazał, choć podejrzewałam, że nawet nie wyjdę poza teren *annexo*. Wtedy niespodziewanie pomogła nam Penelope. Obiecała, że przyjdzie po mnie, kiedy José się zjawi. Nadal miałam mnóstwo wątpliwości. José miał jechać całą dobę tylko po to, by się ze mną widzieć przez kilka minut, a potem znów wracać całą dobę do siebie.

Byłam tak podekscytowana perspektywą spotkania, choćby najkrótszego, że wróciły mi chęci do życia. Nikomu nie mogłam się zwierzyć z naszych planów. Ustaliliśmy datę na przyszły tydzień. Zgodnie planem José dzień wcześniej wyjechał autobusem z Caracas. O piątej, przed *numero*, Penelope przyszła po mnie.

- Już jest - szepnęła, uśmiechając się od ucha do ucha. - Udało mu się! Miłość jest wielka!

Wyprowadziła mnie z *annexo*. Idąc jak najciszej, dotarliśmy do kuchni. Nagle aż podskoczyłam, bo zza ścianki niespodziewanie wyszedł José. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę przyjechał. Wziął mnie w ramiona, a ja tuliłam się do niego jak szalona, rozkoszując się jego bliskością. Było tak ciemno, że nie widzieliśmy się dobrze.

Penelope stała na straży. Całowaliśmy się jak nieprzytomni i oboje płakaliśmy. Tyle trudu sobie zadał, żeby tu przyjechać i zobaczyć się ze mną. Nasza miłość stała się jeszcze głębsza. Ach, jakże pragnęłam, by nikt już nas nigdy nie rozdzielił.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś — szeptałam.

- Tak bardzo cię kocham - zapewnił mnie gorąco. - Mam nadzieję, że teraz mi wierzysz.

A ja skinęłam głową. Płakałam z radości i wzruszenia.

Musiał wyjść przed *numero*, zanim przyjdą strażnicy. Wiedziałam o tym, *ale jeszcze* na chwilę rozpaczliwie go objęłam.

- José, musisz już iść - szeptała nerwowo Penelope. Spojrzeliśmy na siebie z bólem, a ona, żeby nas choć trochę rozweselić, dodała: - Jesteś jedynym znanym mi strażnikiem, który się włamuje do więzienia.

Oboje się roześmialiśmy.

- Za dwa miesiące będziesz się mogła starać o stałą przepustkę - powiedział, z żalem uwalniając się z moich objęć. - Dostaniesz ją, a wtedy będziemy razem.

Gotowa byłam zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją zdobyć. Zamierzałam poświęcić na to cały swój czas i całą energię.

Smak wolności

Mam nadzieję, że to moje ostatnie święta w więzieniu i za rok o tej porze będę mieć stałą przepustkę. A po kolejnym roku może już wrócę do Anglii. Już prawie nie pamiętam, jak to jest mówić cały czas po angielsku i przebywać wśród normalnych ludzi, a nie stukniętych psychopatów. Gdy już wrócę, czas, który Nikita spędziła z Tobą, będzie dłuższy niż czas spędzony ze mną, gdy byłam na wolności. Ciekawe, czy w ogóle mnie pozna.

List Natalii do Eve, listopad 2003 roku

Z pieniędzy przysłanych z Anglii opłaciłam poleconego przez kogoś prawnika. Błagałam, by zrobił wszystko, żebym dostała stałą przepustkę.

O moich zamiarach powiadomiłam naczelnika. Zgodził się mi pomóc. Martwiłam się, że przeszkodą mogą się okazać te dwa nieszczęsne telefony wpisane do akt.

- Pogadam z sędzią, może da się coś zrobić - obiecał.

Żeby dostać stałą przepustkę, trzeba było mieć poręczenie - ktoś musiał pójść do sądu i je oficjalnie złożyć - oraz ofertę pracy. Więzienie w tym nie pomagało, wszystko człowiek musiał załatwiać sam, nieodzowna więc była pomoc z zewnątrz. Prosiłam o to kilka osób, ale jak dotąd wszyscy tylko brali pieniądze, a potem nic nie załatwiali.

Taką stałą przepustkę miała Vivi, moja znajoma jeszcze z INOF-u. Codziennie wyjeżdżała do miasta do pracy i wracała wieczorem. Nie była moją bliską przyjaciółką, ale postanowiłam zwrócić się do niej o pomoc.

- Chciałabym dostać stałą przepustkę, ale nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. To bardziej skomplikowane w przypadku cudzoziemca.

Vivi stanęła na wysokości zadania. Obiecała pomóc i dotrzymała słowa, w przeciwieństwie do tylu innych, którzy mnie wystawili do wiatru. Najpierw dokładnie sprawdziła, co trzeba zrobić, potem znalazła mi pracę w salonie fryzjerskim, wyszukała prawnika, wzięła z sądu formularze i złożyła papiery. Właściwie to ona wszystko załatwiła.

Z natury byłam pesymistką, dlatego do końca nie wierzyłam, że może się udać. Kilka razy wezwano mnie do sądu, a potem znów nic się nie działo.

José niecierpliwie oczekiwał kolejnych wieści.

- Natychmiast daj znać, jak dostaniesz przepustkę - powtórzał. - Pierwszy dzień na wolności musisz spędzić ze mną.

Sprawa nadal nie posuwała się naprzód. Vivi bezradnie rozkładała ręce.

- Zrobiłam, co mogłam. Teraz trzeba czekać.

Musiałam postanowić, co się stanie ze sklepem, jeśli otrzymam stałą przepustkę - czy płacić komuś, żeby w nim pracował, czy też go sprzedać. W końcu zdecydowałam się go pozbyć, i to niezależnie od wyniku moich starań. Wyprzedzałam zapasy do połowy i odstąpiłam sklep dziewczynie o imieniu Ecuador.

Pewnego wieczoru strażniczka zawiadomiła mnie, że nazajutrz mam się stawić w sądzie. A więc wszystko miało się rozstrzygnąć. Albo dostanę przepustkę, albo nie. Jakoś nie wierzyłam, że może już wkrótce będę chodzić ulicami Meridy z Jose pod rękę. Zadzwoiłam do niego i przekazałam mu najnowsze wiadomości.

— Wiem, że wszystko dobrze pójdzie. Jestem tego pewien — powiedział.

Już raz byłam w sądzie w sprawie przepustki i stwierdziłam, że jest tu lepiej i sympatyczniej niż w San Antonio, ale może dlatego, że teraz umiałam się porozumieć po hiszpańsku. Zaprowadzono mnie do niewielkiego pokoju, gdzie siedziała tylko sekretarka.

- Dostała pani przepustkę. Sędzia omówi jeszcze z panią warunki - powiadomiła mnie obojętnym tonem, jakbyśmy rozmawiały o pogodzie.

Zachowałam idealny spokój. Nie chciałam przy obcej kobiecie okazywać emocji. Powtarzałam tylko w myślach: Dzięki Ci, Panie Boże!". Nie mogłam się doczekać, kiedy o wszystkim powiem Jose. Byliśmy razem od ponad roku, a teraz nasze plany zaczynały się ziszczać. Największą wszakże radością było dla mnie to, że zbliżyłam się o krok do Nikity. Mając przed sobą perspektywę dziesięciu lat, bałam się nawet marzyć o tym,

że będziemy razem. Teraz zaczęłam mieć nieśmiałą nadzieję, że jednak ją zobaczę.

Dość dobrze znałam sędzię, która miała ze mną rozmawiać, bo często do nas przyjeżdżała. Więzienie miało specjalną karetkę i fundusz na benzynę, żeby dowozić więźniów do sądu, ale pieniądze często znikwały i więźniowie musieli sami płacić za benzynę, kiedy mieli jakąś sprawę. Zamiast zatem cały dzień czekać na więźniów, którzy nie zawsze się zjawiali, sędziowie woleli jeździć z aktami do więzienia. Pracowało tu czterech sędziów i zawsze, kiedy się zjawiali w San Juan, byli oblegani. Mężczyźni odsiadujący wyrok mieli więcej swobody i możliwości spotkania się z sędziami niż kobiety. Czasami dopiero za którąś ich wizytą udawało się umówić z nimi na spotkanie.

Wstępne podanie do sądu składało się w więziennym biurze, ale trzeba było opłacić poparcie niejakiego Roberta, inaczej mogło po drodze utknąć.

Zaproponowałam Robertowi pieniądze za usunięcie z moich akt wzmianki o dwóch telefonach. Odmówił, a potem się okazało, że sprawę załatwił sam naczelnik.

Po kilku minutach nerwowego czekania zostałam poproszona do gabinetu. Sędzia była skromną, sympatyczną kobietą, która wzbudzała szacunek. Od razu dała do zrozumienia, że nie da się nabrać na żadne sztuczki. Wydawała sprawiedliwe wyroki i wystarczyło z nią nie zadzierać, a wszystko było w porządku.

Na mój widok uśmiechnęła się i odezwała niemal serdecznym tonem:

- Brawo. Widzę, że bardzo pani zależy na tej przepustce.

Omówiła ze mną warunki.

- Zacznie pani wychodzić, dopiero gdy do więzienia dotrze oficjalny nakaz z sądu. Pierwszego dnia, przed rozpoczęciem pracy, proszę się zgłosić do kuratora sądowego.

Mężczyźni mający stałą przepustkę nie musieli codziennie wracać do więzienia na noc, natomiast kobiety tak, i to przed dwudziestą pierwszą. Dostałam więc w zasadzie dzienną przepustkę i dopiero teraz mogłam się starać o zezwolenie na pobyt poza więzieniem w weekendy.

- Do pracy musi pani chodzić codziennie. Po upływie pierwszego tygodnia proszę się pokazać w sądzie.

Chętnie zgadzałam się na wszystko. Byłam niesamowicie podekscytowana. Do końca nie wierzyłam, że się uda. Marzenia nieczęsto się spełniają, ale tym razem moje modlitwy zostały wysłuchane.

Po powrocie do więzienia nie dałam nic po sobie poznać, ponieważ zmianę miały *brugas*. Nie omieszkałam się jednak pochwalić:

- Niedługo zobaczę się z moim chłopakiem.

Strażniczki wiedziały, że cały czas kontaktuję się z José. Dzwonił czasem do sklepu i jeśli któraś z nich odebrała telefon, wołała do mnie:

- Pani Guedez!

Gdy tylko znalazłam się w *annexo*, zaczęłam tańczyć z radości.

- Mam przepustkę! Mam moją przepustkę! - krzyczałam.

Poprosiłam o przeniesienie do celi, w której kobiety mają przepustki. W ciągu dnia cela była zamykana, dlatego wprowadziłam się dopiero wieczorem.

Był piątek, sądowy nakaz miał przyjść w poniedziałek, więc musiałam jeszcze trochę poczekać. Nic już jednak nie mogło zepsuć mojego szampańskiego nastroju.

Kiedy zamknięto nas na noc, zadzwoniłam do José.

- Mam ją! - wrzasnęłam w słuchawkę.

Niesamowicie się ucieszył.

- W przyszłym tygodniu nie pracuję. Przyjadę w poniedziałek. Będę czekał pod bramą.

Z żalem odparłam, że tego dnia muszę ostatecznie pozalać sprawy w sądzie i lepiej będzie, jak przyjedzie dwa dni później. Przyznał, że tak będzie rozsądniej, ale był zawiedziony.

Weekend minął na niecierpliwym wyczekiwaniu poniedziałku. Gdy Vivi po powrocie zobaczyła, że przeniosłam się do celi dla więźniarek wychodzących, od razu się domyśliła. Uścisnęła mnie serdecznie. Cieszyła się razem ze mną.

- Bardzo ci dziękuję, Vivi - zawołałam. - To twoja zasługa.

W poniedziałek rano miała jakieś sprawy do załatwienia, poprosiła więc znajomą Meksykankę o imieniu Xochi, żeby po mnie przyszła, pokazała mi, jak dojechać i gdzie jest biuro kuratora w Méridzie.

W poniedziałek szykowałam się już od wczesnego rana. Strażniczki mi gratulowały.

- José przyjedzie po ciebie? Kiedy się zobaczycie? — spytała Penelope.

- W środę - odparłam, z trudem kryjąc radość.

Z więzienia wyszłam dopiero koło południa. Nie da się opisać, co czułam, gdy znalazłam się za murami. Prawie po czterech latach spędzonych za kratami wreszcie oddychałam wolnością.

Autobus dojeżdżał tylko do sąsiedniej wioski i tam trzeba się było przesiąść do innego, jadącego do miasta. Akurat tego dnia trafił się straszny gruchot. Byłam święcie przekonana, że się zepsuje po drodze, ale na szczęście jakoś się dotelepał. Zachwycił mnie widok starej kobiety idącej ulicą i niosącej siatkę z zakupami. Zdążyłam już zapomnieć, jak wygląda normalne życie. W wiosce były prawdziwe sklepy. Mój największy entuzjazm wzbudziła piekarnia, w której sprzedawano różne rodzaje pieczywa. Patrzyłam na to wszystko zupełnie innymi oczami niż wtedy, gdy przyjechałam tu na wakacje. Teraz orientowałam się w cenach i mówiłam po hiszpańsku. W trudnej więziennej szkole życia nauczyłam się też, jak wielkim skarbem jest wolność, i teraz czułam się trochę dziwnie. Był to świat jeszcze dla mnie obcy, ale bardzo chciałam go poznać.

Wsiadłyśmy w kolejny autobus do Meridy. W mieście trzeba się było przesiąść jeszcze raz, żeby dojechać do biura kuratora. Mérida to miasto uniwersyteckie leżące u stóp najwyższej w Wenezueli góry i słynące z położonej najwyżej na świecie miejskiej kolejki linowej.

Na ulicach pełno było studentów. Nie mogłam się nacieszyć jasnymi, żywymi kolorami. W sklepach i w stoiskach sprzedawano *empanadas*, paszteciki nadziewane mięsem. Zewsząd dobiegała muzyka, rozchodził się zapach *jedzenia*, ludzie szli w pośpiechu ulicami. Dla mnie był to obraz niemal surrealistyczny i wręcz rozkoszny.

W biurze kuratora dowiedziałam się, że mam zacząć pracę nazajutrz i że co pewien czas mogę spodziewać się kontroli.

Nie przyjęto mnie tam zbyt wylewnie. Dla kuratora byłam tylko jeszcze jednym zawodowym obowiązkiem. Ale i tak nie mogło przyćmić mojej radości. Pierwszy raz od lat miałam przed sobą jakąś przyszłość. W więzieniu starałam się nie myśleć za dużo o tym, co będzie po powrocie do Anglii. Takie marzenia wydawały się zbyt dalekosiężne, a ja musiałam nastawić się na przeżycie każdego kolejnego dnia. Nie zdążyłam się nawet przygotować psychicznie na tę wolność, bo bałam się żywić przedwczesne nadzieje. Teraz szłam ulicami Méridy, chłonąc życie toczące się dokoła.

Xochi i Vivi zatrudnione były w niewielkiej pracowni krawieckiej. Xochi mnie tam zaprowadziła. Vivi czekała już na nas.

Ucieszyłam się bardzo, a ona uściskała mnie serdecznie.

- Witaj na wolności - roześmiała się. - Lepiej tu niż w San Juan, co?

- Nie mogę uwierzyć, że nareszcie stamtąd wyszłam - wyszeptalam. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że przeszło dwanaście godzin z każdego powszedniego dnia będzie odtąd należeć wyłącznie do mnie.

Pracownia krawiecka mieściła się w mieszkaniu na drugim piętrze bloku mieszkalnego. Był tu salonik z kanapami i kuchnia, gdzie toczyło się życie towarzyskie. W dwóch dalszych pokojach urządzono pracownie. Stały tam duże stoły, przy których siedziały szyjące kobiety. Zarządzająca tym wszystkim Profi była niezwykle dobrym i porządnym człowiekiem.

Pogadałyśmy z Vivi chwilę. Choć kupiłam pyszny chleb w wiosce, znów byłam głodna. Niedaleko znajdowała się

piekarnia, więc po raz drugi nie odmówiłam sobie tej rozko-
szy wejścia do sklepu i kupienia, co się chce. Kiedy człowiek
jest wolny, nie zauważa wielu rzeczy, traktuje je jak coś natural-
nego. Dopiero gdy mu ich zabraknie, zaczyna je doceniać.

Vivi zaprowadziła mnie do salonu fryzjerskiego, gdzie mia-
łam pracować. Znajdował się dwie przecznice dalej. Układ ulic
w Meridzie był dość prosty, a sklepy i domy nie miały numerów,
tylko nazwy.

Fryzjerka przywitała mnie serdecznie.

- Miło mi cię poznać.

- Mnie z pewnością jest jeszcze milej - odparłam. - Mam
tylko jeden problem. Nie umiem strzyć włosów.

- To żaden problem - stwierdziła. - Wystarczy jak się tu tro-
chę pokręcisz. — Odniosłam wrażenie, że wołałaby, żebym się krę-
ciła jak najmniej. Później się okazało, że została raz okradziona
przez więźniarkę, której chciała pomóc, więc była ostrożna.

Obcięła mi włosy i uczesała, a przy okazji dowiedziałam
się wszystkiego o tamtej złodziejce. W więzieniu same ścinały-
śmy sobie włosy i była to moja pierwsza od lat fryzura z praw-
dziwego zdarzenia. Pamiętam to cudowne uczucie, gdy myto
mi włosy dobrym szamponem. Czułam się jak jakaś gwiazda,
a nie przemytniczka narkotyków na przepustce z więzienia.

- Na co miałabyś teraz ochotę? — spytała Vivi z błyskiem
w oku, kiedy fryzura była gotowa. Doszłyśmy do wniosku,
że znów jesteśmy głodne, więc zaprowadziła mnie do sympat-
ycznej pizzerii. Był prawie wieczór. Dzień minął jak w jakimś
niesamowitym śnie, bez jednej chwili na oddech. Tak miło było
wejść do restauracji, usiąść spokojnie przy stoliku i porozmawiać

o tych wszystkich cudach. Siedziałyśmy na rozkosznie chłodnym dziedzińcu, płynęła przyjemna muzyka, wiał lekki wiaterek, szumiały drzewa. Sącząc piwo, nareszcie zrozumiałam, że jestem wolna. Cóż to było za błogie, odprężające uczucie.

Po powrocie do więzienia przeszłyśmy szczegółową rewizję, ale najpierw musiałyśmy długo czekać na strażniczki. Funkcjonariusz gwardii narodowej przeszukał nasze rzeczy, potem strażniczki kazały się nam rozebrać od pasa w dół, stanąć na rozstawionych nogach nad lustrem i zrobić trzy przysiady.

- Za szybko, jeszcze raz - poleciała sucho jedna, która mnie nie lubiła. - Od początku.

Było to strasznie poniżające i szczególnie trudne dla starszych kobiet. Wszystko się we mnie wtedy buntowało, ale i tak nic nie mogło przyćmić szczęścia tego pierwszego dnia wolności. W *annexo* zostałam zasypana pytaniami. Dotąd to ja z *zazdrością* wypytywałam dziewczyny wracające z przepustki, teraz przyszła kolej na mnie.

Z José umówiliśmy się, że zadzwoni na zwykły telefon po dziewiątej. Opowiedziałam mu szczegółowo o wydarzeniach mijającego dnia. Wreszcie mogłam opowiedzieć coś innego niż zwykle. A on szczerze cieszył się z mojej radości.

- Poszłam do piekarni i na pizzę. Wypiłam też szklanekę normalnego piwa i się nie upiłam. A po jednej szklance *miche* zawsze czułam się pijana - dodałam żartem.

José znał **Meridę**, ale chciał zobaczyć wszystko moimi oczami.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę i wezmę w ramiona. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci, jak bardzo cię kocham - rzekł z tęsknotą w głosie.

Następnego dnia Vivi zabrała mnie do centrum, żebym trochę poznała miasto. José właśnie zaczął długą podróż z Caracas i co chwila dzwonił z drogi. „Jestem na dworcu autobusowym...” „Wsiadam do autobusu...” „Dojeżdżam właśnie do...”

Nadeszła wreszcie środa. Nigdy w życiu nie byłam tak podekscytowana. José całą noc słał mi SMS-y. „Jeszcze tylko piętnaście godzin...”

Potem wyczerpała się bateria w jego telefonie. Mieliśmy się spotkać na dworcu o jedenastej, ale przyszła jedenasta, a tu ani śladu autobusu.

Nagle przyszło z wątpienie. Może to wszystko żart, albo kłamstwo? To niemożliwe, żeby aż tyle rzeczy ułożyło się po mojej myśli. Pewnie wcale nie przyjedzie. Minęło kolejne pół godziny, autobus nie nadjeżdżał. Miałam wrażenie, że od tej jednej chwili zależy całe moje życie. Byłam niesamowicie spięta.

Wreszcie przyjechał. Choć cieszyłam się bardzo, nie mogłam się jednak powstrzymać, żeby nie wytknąć mu spóźnienia. Na koniec się rozplakałam.

- Bałam się, że nie przyjedziesz - chlpałam w jego rękaw. Przcisnął mnie mocno.

- Ni *niña*, moja dziewczyna - powiedział cichutko.

Jak najwięcej *oszczędzał*, żebyśmy mogli w Méridzie przyjemnie spędzić *razem czas*.

„Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy. Nie mogę uwierzyć, że to prawda” - szeptaliśmy do siebie w kółko.

Ruszyliśmy na poszukiwanie hotelu. Kiedy jechaliśmy tak-sówką, cały czas się dotykaliśmy, a ciepło buchające z naszych ciał było wprost niewiarygodne.

- Boję się, jak to będzie - powiedziałam.
- Czemu? Przecież byliśmy już razem, wtedy w szpitalu.
- Tak. Ale teraz wszystko jest inaczej.

Dla uspokojenia nerwów kupiłam dużą butelkę whisky, ale nawet jej nie otworzyliśmy. Gdy tylko znaleźliśmy się w pokoju, zaczęliśmy się szaleńczo całować i cały mój lęk ulotnił się w jednej chwili. Potem było zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Czułe, spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu. Z ogromną miłością. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe, ale nasza wzajemna więź jeszcze się pogłębiła. Wydawało mi się, jakby oprócz nas w całym wszechświecie nie było nikogo. José wypełniał każdy zakamarek mojego jestestwa.

Spędziliśmy w hotelu cały dzień, a wieczorem odwiózł mnie autobusem pod więzienie. Widziało nas wiele osób. Ludzie nie mogli się nadziwić, że José przejechał dla mnie taki kawał drogi z Caracas.

Przez następnych kilka miesięcy żyliśmy pogrążeni bez pamięci w miłosnej ekstazie. José, gdy tylko miał wolne, przyjeżdżał do Méridy. Kiedy go nie było, liczyłam dni, godziny i minuty do następnego spotkania. Większość czasu spędzałam w pracowni krawieckiej z Vivi, u fryzjerki pojawiałam się rzadko.

Kilka miesięcy później, na wigilię Bożego Narodzenia, José zarezerwował dla nas pokój w pięknym hotelu, co kosztowało go miesięczną pensję. Pojechaliśmy do małej wioski wysoko w górach. W czasie kolejnych świąt spędzanych w więzieniu tęskniłam do domu, smuciłam się i zawsze na nowo przeżywałam śmierć mamy.

Pierwszego dnia świąt zabrał mnie na konną przejażdżkę. To niesamowite *przeżycie* pozwoliło mi choć na chwilę zapomnieć, że odsiaduję karę za przemyt narkotyków. Istniały tylko konie, góry i ukochany mężczyzna. Kiedy dotarliśmy na szczyt i spojrzałam w dół na skute lodem jezioro, piękno scenerii zaparło mi dech w piersiach. Gdyby jeszcze towarzyszyła nam Nikita, byłyby to najpiękniejsze święta w moim życiu.

Zjechaliśmy z góry, odprowadziliśmy konie i poszliśmy do autobusu jadącego do naszego hotelu. Na przystanku dołączyły do nas dzieci, takie najwyżej dziesięcioletnie. José z każdym potrafił pośmiać się i pożartować. Z dziećmi też od razu nawiązał kontakt.

- To moja dziewczyna. Podoba się wam? Widzieliście kiedyś ładniejszą? - Dał chłopcom równowartość dziesięciu funtów, żeby przeszli przez płot i na stromym zboczu nazbierali dla mnie kwiatów. Serce pękało mi z żalu, kiedy musiałam wracać do więzienia, a José do Caracas.

Podróże były dla niego bardzo męczące. Gdy odszedł naczelnik, który go zwolnił, zaryzykował i złożył podanie o przeniesienie do San Juan. Ku naszemu zdumieniu udało się i pod koniec stycznia 2005 roku wrócił do dawnej pracy.

Do tego czasu zdążyłam się przyzwyczać do przepustki i nie cieszyłam się już każdym drobiazgiem jak na początku. Lekko znudzona wolnością, zadzierałam nosa, a to budziło zrozumiałą niechęć więźniarek. Teraz wiem, że postępowałam głupio, ale byłam tak zadurzona w José, że zupełnie odjęło mi rozum. W dniu, w którym José wrócił do pracy w San Juan, ostentacyjnie weszliśmy do więzienia razem.

- To na razie. - Mówiąc te słowa, przytulił mnie i pocałował. W ogóle się nie przejmował, że ktoś nas może zobaczyć.

Pracował przez dwa dni, potem nocował w więzieniu, wychodził ze mną rano i wracaliśmy razem wieczorem, nawet jak nazajutrz nie miał zmiany. Starał się jak najczęściej pilnować więźniów przebywających w miejskim szpitalu. Jeśli pacjent był w takim stanie, że sam nie wyszedłby z łóżka i nie uciekł, mogliśmy nawet razem wyjść, gdy zaś José musiał przy nim siedzieć, zostawałam z nim.

Czasem szliśmy do hotelu, gdzie można było wynajmować pokój na godziny. Strasznie ciągnęło nas do siebie.

Zaprzyjaźniłam się z Vivi, podobnie jak przedtem z Monicą i jeszcze wcześniej z Mary. Jak tylko miałam pieniądze, kupowałam jakieś smakołyki i szłam do szkoły krawieckiej. Vivi robiła tak samo. Wtajemniczona w moje sprawy Profi bardzo nam sprzyjała. Uważała, że miłość może wszystko pokonać. Sama zakochała się w kimś, zdaniem rodziny, nieodpowiednim. Oboje zrezygnowali dla siebie z całego dotychczasowego życia. Czterdzieści pięć lat żyli już razem i mieli kilkoro dzieci.

Korupcja w Wenezueli jest powszechna i teraz, gdy José znów pracował w więzieniu, dowiadywałam się od niego o różnych ciemnych sprawkach. Kiedyś narkotyki do więzienia przemycili sami strażnicy, w dodatku przywieźli je furgonetką ministerstwa sprawiedliwości. A wszystko to zorganizował Che. Strażnicy na zewnątrz i wewnątrz więzienia zostali opłaceni, więc furgonetka bez kontroli wjechała prawie pod jego drzwi. On sam nie zażywał narkotyków, ale bez skrupułów na nich zarabiał. W ten sam sposób przywódcy gangów sprowadzali

do więzienia broń. Nikogo to nie dziwiło. Taki styl życia był w pełni akceptowany przez ludzi stojących po stronie prawa i tych, którzy je łamali.

Z karnawałem w Wenezueli wiąże się tradycja oblewania wodą, kultywowana wszędzie, nawet w więzieniu. Strach wtedy wychodzić na ulice, bo w każdej chwili można wpaść pod niespodziewany prysznic. Nie wiem, skąd się wziął ten dziwny zwyczaj anijakie ma korzenie.

Na ulicznych straganach sprzedaje się wtedy jedzenie, ubrania i okulary przeciwsłoneczne. Karnawałowa zabawa trwa dzień i noc przez cztery, pięć dni.

W czasie karnawału nie chciało mi się wracać do więzienia, tym bardziej że Jose umówił się w mieście z kolegami. Co wieczór odbywała się tu wielka uliczna zabawa, podczas której alkohol lał się strumieniami. Trwało to do wczesnych godzin rannych, przeważnie dopóki nie wkroczyła policja. Na ulicach przez całą noc pełno było ludzi.

Zastępca naczelnika, który nam sprzyjał, obiecał, że coś wymyśli, żebym mogła nie wracać przez kilka dni. Zadzwoiłam do więzienia i zawiadomiłam, że jestem chora i nie mogę wrócić na noc.

- Aha i pewnie pokażesz lewe zwolnienie lekarskie. Nie licz na to - złościła się strażniczka, która odebrała telefon.

- To złóż na mnie raport do zastępcy naczelnika - odparłam bezczelnie, dobrze wiedząc, że obiecał mnie kryć.

Zastępca po prostu dał mi zgodę na trzydniowy pobyt poza więzieniem. Zatem udało mi się po raz kolejny, ale znów

obudziło to niechęć zarówno innych więźniarek, jak i strażników. Wiedziałam, że przeciągam strunę. Wiele dziewczyn bardzo by się ucieszyło, gdyby mi cofnięto przepustkę. Złościło je, że cudzoziemka na tyle sobie pozwala, podczas gdy one muszą siedzieć pod kluczem.

Teraz mogliśmy spędzać z José więcej czasu razem. Coraz bardziej się kochaliśmy, ciągle mieliśmy siebie za mało. Nie mogliśmy się tylko zdecydować, czy pozostałe do końca wyroku sześć lat mam spędzić w więzieniu i wychodzić na przepustkę, czy też raczej należy podjąć próbę ucieczki.

- Albo zostać i prowadzić w mieście własny interes na przepustce, albo trzeba uciekać - powtarzałam, bijąc się z myślami. Nigdy nie zastanawiałam się nad praktyczną stroną ucieczki, choć wszyscy ciągle o tym myśleli i gadali.

Spojrzał na mnie ciepło, jak tylko on potrafił.

- Nie chcę cię do niczego namawiać, ale cokolwiek postanowisz, będę przy tobie i pomogę ci.

Napisałam e-mail do Shony, z prośbą o kilka tysięcy funtów z mojego spadku. Ustaliliśmy, że jeśli zostaniemy w Méridzie, poszukamy sobie mieszkania, żeby José nie musiał wiecznie nocować w hotelu. Bałam się jednak, że nawet z nim u boku trudno mi będzie wytrzymać te sześć lat więzienia. Ze względu na Nikitę nie miałam ochoty mieszkać na stałe w Wenezueli, bo w Anglii są dużo lepsze szkoły. Wizja ucieczki stawała się więc coraz bardziej kusząca. Mogłabym wtedy wrócić do Anglii i do Nikity. Dużo o niej opowiadałam José. Lata rozłąki umocniły moją miłość. Życie bez mego dziecka wydawało się zupełnie bez sensu. Odzyskanie Nikity

to był mój główny cel. Chciałam być wreszcie dla niej dobrą matką.

Zaczęliśmy bardzo poważnie wszystko omawiać. Gdyby udało się uciec, musielibyśmy wracać do Anglii przez Kolumbię, bo korzystanie z jakiegokolwiek lotniska w Wenezueli wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Przede wszystkim należało wyrobić paszport. Złożyłam stosowne podanie w ambasadzie, tłumacząc to tym, że mając paszport, dostanę lepszą pracę. Jako dodatkowe uzasadnienie podałam, że mój jedyny dowód tożsamości to więzienna przepustka, a nie chcę z niej korzystać podczas szukania pracy. Ambasada się zgodziła. Musiałam tylko przysłać pieniądze na opłaty, zdjęcia i potrzebne dokumenty.

Pewnego wieczoru, gdy po powrocie do więzienia rozmawiałam z José, jeden ze strażników nazwał mnie *presa*, co jest obelgą. José wściekł się i zanim pomyślał o konsekwencjach, uderzył tamtego w twarz, wołając:

- Jak śmiesz mówić do niej w ten sposób?

Baliśmy się, że nowa naczelnik więzienia wyrzuci go za to, ale na szczęście niepotrzebnie. W więzieniu miała niewiele życzliwych sobie osób, a José był jedną z nich i nie chciała go stracić.

Dostałam paszport, ale José go nie miał i tu sprawa była trudniejsza. W Wenezueli wydawanie nowych paszportów odbywa się tylko dwa razy do roku, a ich liczba jest ograniczona. Mieliśmy jednak *szczęście*. José zaprzyjaźnił się z więźniem, który przed aresztowaniem był funkcjonariuszem gwardii narodowej. Człowiek ten, traktowany nieufnie przez współwięźniów, zadawał się tylko ze strażnikami. Opowiedzieliśmy mu o naszych

kłopotach, radziliśmy się nawet, jaką trasą najlepiej uciekać. Okazało się, że zna zastępcę naczelnika biura paszportowego w Caracas. Pogadał ze znajomym i tamten zgodził się wydać José paszport. Uszczęśliwiony José pojechał do Caracas. Po przyjeździe okazało się, że biuro paszportowe jest zamknięte, zadzwonił więc do swego kumpla w więzieniu, a ten powiadomił tamtego znajomego, który specjalnie dla José otworzył biuro i wydał paszport. Trudno wyobrazić sobie taką sytuację w praworządnej Anglii, ale w Wenezueli wszystko jest możliwe. Nie muszę dodawać, że ta skomplikowana procedura została sownie opłacona.

José miał już paszport i klamka zapadła. Należało teraz obmyślić w miarę bezpieczny sposób przekroczenia granicy z Kolumbią. Bałam się ucieczki, tym bardziej że nigdy nie słyzałam, by kobieta się na coś takiego odważyła.

W Wenezueli przy każdym wyjeździe z miasta znajdowały się punkty kontrolne, a ja, jako więźniarka na przepustce, nie mogłam oficjalnie opuszczać miasta. Długo ślęczeliśmy nad mapami, obmyślając taką trasę, żeby punktów kontrolnych było jak najmniej.

Opracowaliśmy kilka wariantów. Oprócz nas wiedzieli o wszystkim tylko Vivi i Alejandro. Vivi całym sercem była z nami, zwłaszcza że wokół mnie zaczęło się robić coraz goręcej. Kurator skontrolował zakład fryzjerski i okazało się, że nigdy mnie tam nie ma. Tłumaczyłam wprawdzie, że pracuję u Profi, ale wiadomo było, że dni mojej przepustki są policzone.

Zaprzyjaźniony z José były funkcjonariusz gwardii narodowej doradził nam, która droga będzie najbezpieczniejsza.

W końcu i tak wyjechaliśmy wcześniej niż było to w planie. Pewnego razu siedzieliśmy na placu w mieście i rozmawialiśmy, gdy nagle podszedł do nas gwardzista i oznajmił, że jestem aresztowana, a José ma iść z nami. Przerazona pomyślałam, że pewnie za to, że nie jestem w pracy. Na posterunku dowiedziałam się, że nie wolno mi się zadawać z José. Władze więzienne wydały polecenie, żeby nas aresztować, jeśli nadal będziemy pokazywać się razem. José bardzo się zdenerwował.

- Nie macie prawa mnie aresztować, nie zrobiłem nic złego
- powtarzał.

Lisette, naczelniczka więzienia, była naprawdę zła:

- Po co ci to, Guedez?

José się zbuntował.

- Jeśli mam wybierać między pracą a Natalie, to wolę Natalie
- rzekł hardo i rzucił na stół odznakę strażnika.

- Zaczekaj, nie rób nic pochopnie. Jeszcze porozmawiamy -
rzekła pojednawczo Lisette. Była na niego zła za romans, ale też nie chciała tracić sojusznika.

- Nie ma o czym mówić. Nie wyrzeknę się Natalie.

W końcu nas puścili. Tego wieczoru najpierw poszliśmy do hotelu, bo José już nie mógł wrócić do więzienia, i ostatecznie ustaliliśmy termin ucieczki. Miało to nastąpić za kilka dni. Wróciłam do więzienia i posłam do *annexe* Niektóre strażniczki dawały mi do zrozumienia, że są zadowolone z odejścia José.

- Czekajcie, małpy jedne, i tak to ja się będę śmiać ostatnia
- mruknęłam pod nosem, kładąc się spać. W nocy przyśniło mi się, że przekraczamy z José granicę Wenezueli i poczułam się naprawdę wolna.

Następnego ranka Lisette nie chciała mnie już wypuścić.

- Nie może mi pani cofnąć przepustki tylko dlatego, że się spotykam z więziennym strażnikiem. To nie jest wbrew przepisom — broniłam się.

Musiałam podpisać oświadczenie, że się spotykałam z José. Zrobiłam to z niechęcią, ale potem mnie puściła. Nazajutrz, gdy byłam w mieście z José, Vivi zadzwoniła do mnie na komórkę.

— Musicie uciekać — powiedziała. — Podobno kurator ma jutro złożyć w sądzie wniosek o cofnięcie przepustki. Wściekł się, że łamiesz regulamin.

To prawda, bezczelnie przeciągałam pobyty w mieście, udając chorobę, i przynosiłam potem lewe zaświadczenia lekarskie. Strażniczki doskonale wiedziały, że to wszystko lipa. Sama miałam świadomość, że posuwam się za daleko. Postępowałam głupio, ale namiętne uczucie do José przysłaniało mi logiczne myślenie. Uważałam też, że im szybciej ucieknę, tym szybciej wrócę do Nikity, nie przejmowałam się więc tym, że trzeba przyspieszyć ucieczkę.

Spojrzelśmy z José na siebie. To oznaczało, że musimy wyjechać dzień wcześniej, niż planowaliśmy, a więc już nazajutrz o świcie.

Wszyscy, którzy nam sprzyjali, namawiali do pośpiechu. Już odjakieś czasu wyносиłam po trochu swoje rzeczy do pracowni krawieckiej. Dawno sprzedałam sklep, wieżę i oba telefony, żeby zebrać jak najwięcej pieniędzy na drogę. To, co jeszcze zostało, oddałam Vivi. Tej nocy spałam spokojnie jak dziecko.

Łut sxxęscia

Pilnie proszę o radę, co robić w sprawie Natalie i ewentualnie do kogo się zgłosić. Jakie są konsekwencje prawne jej ucieczki? Czy będzie poszukiwana także na terenie innych krajów? Czy po powrocie do Wielkiej Brytanii grozi jej aresztowanie? Nadmieniam, iż w chwili obecnej mam z nią kontakt wyłącznie przez pocztę elektroniczną i nie wiem, gdzie dokładnie przebywa.

e-mail Shony do brytyjskiego Ministerstwa
Spraw Zagranicznych

Wiadomość ta jest dla nas dużym zaskoczeniem! Jeszcze dziś porozumiemy się z administracją więzienia i postaramy się uzyskać stosowne informacje. Skontaktujemy się z Panią.

Odpowiedź Ministerstwa Spraw Zagranicznych
w sprawie Natalie

Budzik nastawiłam na wpół do szóstej. Bramę dla wychodzących do pracy otwierano o szóstej. Gdy zadzwonił, wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam pod prysznic. Szły już strażniczki z kluczami, więc cichutko obudziłam Vivi i uściskałam ją serdecznie.

- Dzięki za wszystko - wyszeptałam. - Do widzenia.
- Do widzenia. - Mrugnęła do mnie konspiracyjnie.

Potwornie się bałam. Kurator wystąpił o cofnięcie przepustki i w razie niepowodzenia łatwo bym już stąd nie wyszła. Nie miałam wyjścia, ucieczka musiała się udać. Po zasmakowaniu wolności perspektywa ponownego zamknięcia jawiła się niczym najgorszy horror. A dla uciekinierów nie było litości. Nie mogłam zaszyć się gdzieś w Méridzie, bo tam gwardia odnalazłaby mnie błyskawicznie.

Z nerwów żołądek miałam zaciśnięty, a serce waliło jak młot, ale jak wszystko pójdzie dobrze, będzie to pierwszy dzień mojego nowego życia. Ręka odruchowo wędrowała do miejsca, gdzie ukryłam dolary. W Wenezueli niełatwo je zdobyć. Pewną sumę cudem udało się odkupić od instytucji mającej do czynienia z turystami. Z początku nie chcieli, ale w końcu w wielkim sekrecie doszło do transakcji. Część zdobyłam w hotelu, gdzie się zatrzymywali turyści, przeważnie Europejczycy. Moje pieniądze z Anglii zostały przelane na konto José, ale oczywiście nie obeszło się bez trudności z uzyskaniem gotówki, bo tutejszy bank wcale nie kwapił się do wypłaty.

Zazwyczaj aby uniknąć porannych korków, wychodziłam koło siódmej. Dzisiaj wyszłam nietypowo godzinę wcześniej.

na co na szczęście nikt nie zwrócił uwagi. Więzienie spowijała poranna mgła. Przybyłam tu we mgle i również we mgle opuszczałam to miejsce - z nadzieją, że na zawsze.

W głębi duszy do końca nie wierzyłam, że mi się powiedzie. Przymknęłam oczy i pomodliłam się gorąco. Tymczasem padający całą noc deszcz zamienił nawierzchnię drogi w błoto, na co nie zwróciłam uwagi i nie przeczuwałam, jakie będą przez to nas czekać kłopoty. Dzień był chłodny, co zdarzało się rzadko. Pamiętam, jak zaniepokoiłam się nawet, czy to nie jest zły omen. Zapięłam kurtkę pod szyją i wsiałam do autobusu. Odetchnęłam z ulgą, gdy wreszcie ruszył.

Zgodnie z planem mieliśmy się spotkać z José na przystanku autobusowym w leżącym nieopodal miasteczku Ejido. Mérida stała się dla nas niezbyt bezpieczna po incydencie z gwardziastami.

Z Ejido zamierzaliśmy pojechać autobusem do Cucuty, pierwszego miasta po kolumbijskiej stronie. Już sobie wyobrażałam, co to będzie za radość, gdy bezpiecznie tam dotrzemy. José bardzo się zdenerwował, ale raczej ze względu na mnie niż na siebie.

Przesiadłam się do autobusu jadącego do Ejido i wtedy się okazało, że górską drogą wskutek ulewy została zablokowana przez osuwisko ziemi i błota. Dotąd największy nasz lęk budziły punkty kontrolne na trasie, natomiast do głowy mi nie przyszło, że ucieczce mogą zaszkodzić podtopienia i obsunięcia ziemi.

Z powodu niespodziewanej katastrofy naturalnej wszędzie było mnóstwo funkcjonariuszy gwardii, walczących z jej skutkami. W tym momencie ogarnęło mnie zwątpienie. Przed

oczami miałam ponurą wizję bramy więzienia zatraskującej się za mną z hukiem na następne sześć lat. Rozpłakałam się z napięcia, ale szybko otarłam łzy, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Na drodze zrobił się potężny korek z powodu kolejnej błotnej lawiny. Kierowcy wściekle trąbili, bo cały ruch stanął w miejscu.

Każda sekunda opóźnienia ciągnęła się jak godzina. W którymś momencie do autobusu wszedł gwardzista.

- Proszę zawrócić. Droga jest nieprzejezdna - polecił kierowcy.

Przestraszyłam się, że to już koniec, że nie ma ratunku. Martwiłam się o José. Nie miałam z nim żadnego kontaktu, bo sprzedaliśmy telefony. W panice nie wiedziałam, co robić. Autobus zawrócił.

- Ja muszę być w Ejido - wykrzyknęłam nagle.

- J e s t jeszcze inna droga - odpowiedział ktoś.

Wysiadalam z autobusu i znalazłam taksówkę. Kierowca zgodził się pojechać inną trasą, ale też okazała się nieprzejezdna. Znow wysiadłam. Co zrobił José? „Jeśli ja nie mogę się tam dostać, to on też nie. Czy w takim razie wracać, czy dalej próbować?” Pytania kłębiły mi się w głowie i ciągle nie wiedziałam, co robić.

„Na ile to możliwe, trzeba się trzymać planu - zdecydowałam w końcu. - Tak robi José”.

Wsiadłam do autobusu jadącego tą samą trasą, której nie udało się pokonać taksówce. Liczyłam na to, że duży autobus ma większe szanse na przedostanie się przez zalane tereny niż rozklekotany samochód osobowy. Opóźnienie zwiększyło

się już do kilku godzin. Gdy pokonywaliśmy najgorszy odcinek, wstrzymałam oddech z napięcia, a już po wszystkim odetchnęłam pełną piersią. Tymczasem pojawiła się kolejna przeszkoda w postaci szerokiego strumienia, który zagroził drogę. Tylko samochody z napędem na cztery koła mogły tamtędy przejechać. Woda podeszła niebezpiecznie wysoko, w przeprawie pomagali gwardziści.

- Musimy zawrócić - orzekł kierowca.

Przepadłaby moja ostatnia szansa. Ze łzami w oczach błagałam go, żeby choć spróbował przejechać.

- Moje życie od tego zależy. Muszę się tam dostać - rozszochałam się. Było mi już wszystko jedno, że zwracam na siebie uwagę.

Pasażerowie przyglądali się ze współczuciem. Ktoś powiedział nieśmiało:

- Może by jednak spróbować...

Nie wiem, czy sprawiły to moje łzy, ale kierowca zmiękł. Gwardziści nie chcieli nas przepuścić, jednak on się uparł. Skoro już podjął decyzję, nie dał się im spławić.

- To mój wóz. Ja za niego odpowiadam. Proszę pozwolić mi spróbować.

Puścili nas. Nie chowałam się za bardzo, ale żeby nie wzbudzać podejrzeń, odwróciłam tylko głowę i udawałam, że szukam czegoś w torbie. Znów wstrzymałam oddech. Zdawało mi się, że wszyscy słyszą, jak głośno bije moje serce.

Kierowca dłuższą chwilę obserwował samochody terenowe forsujące rzekę, żeby ustalić, w których miejscach jest najpłycej. Nie pojechał prosto, tylko mocno kluczył. Kilka razy cudem

uniknęliśmy ugrzęźnięcia w błocie. Kiedy dotarł na drugi brzeg, wszyscy klaskali i krzyczeli z radości. Co prawda z przodu autobusu dostało się trochę wody, ale nie było to niebezpieczne. Byłam niezmiernie szczęśliwa i nawet przyszło mi do głowy, że może to znak z góry, że wszystko pójdzie gładko, przynajmniej do Ejido.

Pomyślałam o José i znowu wpadłam w panikę. Trzy godziny opóźnienia, pewnie już na mnie nie czeka i będę musiała wracać.

Strasznie się denerwowałam, gdy wjeżdżaliśmy na dworzec autobusowy. W każdej chwili mogłam się natknąć na gwardzistów, a że do Méridy było stąd niedaleko, któryś mógł mnie rozpoznać. W tłumie szukałam wzrokiem José. Ścisk był ogromny, samochody walczyły o każdą wolną przestrzeń.

„Nawet jeśli José tu jest, to jak ja go znajdę?” - myślałam z rozpaczą. W tym momencie zobaczyłam Alejandra, który niósł kawę. Wierny przyjaciel José miał nam towarzyszyć, dopóki bezpiecznie nie przekroczymy granicy. Zaraz zaprowadził mnie do José, szalejącego z niepokojem.

Padliśmy sobie w ramiona. Szczęśliwa, a jednocześnie zdenerwowana i przejęta, usiłowałam szybko opowiedzieć mu o wszystkich przygodach.

- I tak czekałbym na ciebie cały dzień - przerwał mi spokojnie. - A jakby było trzeba, to i całą noc.

Po początkowej euforii też zaczął się denerwować, wręcz panikować, i zdecydował, że natychmiast ruszamy dalej.

- Nie pojedziemy autobusem, weźmiemy taksówkę.

Znaleźliśmy taksówkę jadącą do Cucuty. Jechali nią już dwaj Kolumbijczycy, ale zgodzili się na wspólną podróż. Na

szczęście nie mieli dużo rzeczy, bo nasze plecaki zajęły cały bagażnik. Po tej stronie Ejido drogi nie były zalane i taksówka ruszyła w trasę bez przeszkód. Trudna to była podróż. José, który nigdy się niczym specjalnie nie przejmował, teraz pobladł i w ogóle się nie odzywał. Zwykle śmiał się i żartował, tym razem nie było mu do śmiechu. Mnie z kolei przy każdym kolejnym punkcie kontrolnym ogarniało coraz większe zdenerwowanie. Żałowałam, że zdecydowaliśmy się na taksówkę. Lepiej było jechać autobusem, bo gwardziści rzadziej je sprawdzali. Jednak nic nie mówiłam.

Przede wszystkim z całego naszego towarzystwa to ja najbardziej zwracałam na siebie uwagę, bo raczej nie wyglądałam na Wenezuelkę. Udawałam więc, że śpię, żeby przynajmniej moich niebieskich oczu nie było widać. Jednak nie mogłam tego robić za każdym razem, bo wzbudziłabym podejrzenia u współtowarzyszy podróży. W szóstym punkcie kontrolnym kazano się nam zatrzymać. Strasznie się bałam, że zażądają otwarcia bagażnika i zobaczą plecaki. Gwardzista wsunął głowę do środka i zagadał do mnie. Taksówkarz, który doskonale wiedział, że znam język, odparł natychmiast:

- To *gringo*, nie mówi słowa po hiszpańsku.

Gwardzista stracił zainteresowanie i machnął, żeby jechać. Nie wiem, dlaczego kierowca nazwał mnie turystką. Może po prostu mu się śpieszyło i nie miał ochoty, żeby gwardzista nas zatrzymywał na jakieś pogawędki.

Jakoś zapanowałam nad nerwami i w następnych punktach kontrolnych było lepiej, za to José cały czas siedział sztywny i błąd z napięcia.

Do granicy został nam już kawałeczek. Przedtem należało zdobyć stempel w paszporcie, ale baliśmy się ryzykować, bo nie wiedzieliśmy, czy nie znalazłam się już w kartotece komputerowej i moje nazwisko nie wywoła alarmu.

Kolumbijczycy wysiedli w miasteczku przed samą granicą. Trochę się wtedy rozluźniłam, bo już nie musiałam odgrywać roli zwykłej turystki. Taksówkarz wytłumaczył nam cały proces stemplowania paszportów.

— Ale wiele osób jadących do Cucuty w ogóle się tym nie przejmuje - dodał pocieszająco.

- W takim razie damy sobie spokój. W końcu jedziemy tylko do Cúcuty - powiedziałam niby obojętnie. José nadal siedział jak sparaliżowany. Przez całą drogę milczał.

Taksówkarz przyjął to do wiadomości i ruszyliśmy. Kiedy podjeżdżaliśmy do przejścia granicznego, miałam kompletnie wyschnięte usta i bałam się strasznie. Gwardziści zatrzymywali wszystkich. Siedziałam bez ruchu i zaciskałam mocno kciuki. Przymknęłam oczy, bo jedyne, co mi przyszło do głowy, to znów udawać, że śpię. Zabrzmia to nieprawdopodobnie, ale efekt był taki, że puszczono nas bez żadnej kontroli. Na twarz José z wolna zaczęły wracać kolory.

Kawałek dalej ujrzeliśmy napis z najpiękniejszymi słowami, jakie przeczytałam w życiu: „Bienvenido Columbia”. Padliśmy sobie z José w ramiona.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, od razu poweselał. Wszystkim nastrój zdecydowanie się poprawił. Nawet kierowcy. Pewnie musiał się czegoś domyślać. A nas ogarnęła euforia. Z niewysłowioną ulgą spojrzałam na José:

- Już po wszystkim.

Wprawdzie bałam się, że może mnie jeszcze zatrzymać kolumbijska gwardia narodowa, ale w zasadzie byłam już wolna. Taksówkarz wysadził nas przy dworcu autobusowym. Uprzedził nas, żebyśmy bardzo uważali, od razu zanieśli rzeczy do hotelu i niczego cennego przy sobie nie nosili. Gotówkę w związku z tym od razu podzieliliśmy między siebie. „I nigdzie nie chodźcie sami po nocy” - usłyszeliśmy słowa kierowcy na pożegnanie. Stanowiliśmy wręcz wymarzone ofiary dla złodziejskich gangów.

Alejandro pożegnał się z nami, dopiero gdy znaleźliśmy hotel. Nie obyło się bez łez. Wiele ryzykował, przyjeżdżając tutaj, i zrobił to całkowicie bezinteresownie, z czystej przyjaźni. Ta przyjaźń przetrwała do dziś.

Hotel był obskurny, bo ze względu na skromny budżet musieliśmy wybrać jak najtańszy. Ogólnie brud, smród i ubóstwo. Pokój okazał się duszny i zatęchły, w wąskim ciemnym korytarzu. Słysząc było brzęk komarów. Nie przejmowaliśmy się tym jednak. Była to moja pierwsza noc na wolności i pierwsza noc naszego wspólnego życia. Przysięgliśmy sobie, że nigdy więcej nie damy się rozdzielić.

Nie chcąc ryzykować przechadzek po niezbyt bezpiecznej dzielnicy, prawie cały czas siedzieliśmy w hotelu. Wyszliśmy tylko raz, na dworzec autobusowy, żeby kupić bilety do Bogoty. Posiedzieliśmy tam chwilę na ławce i zjedliśmy po hot dogu.

Po powrocie do hotelu snuliśmy plany. Jose cieszył się z mojego szczęścia.

- *Ni niña*, jesteś już wolna - powtarzał, spoglądając na mnie z uwielbieniem.

Tak byłam pochłonięta planami ucieczki, że nie zastanawiałam się w ogóle nad tym, na jak wiele wyrzeczeń musiał się zdobyć. Zostawił przyjaciół, pracę, matkę, córkę i pojechał ze mną w zupełnie nieznaną świat.

- Kochany, tyle dla mnie poświęciłeś. Wiem, jakie trudne musiało być dla ciebie rozstanie z najbliższymi.

- Najważniejsze, że jesteśmy razem i mam ciebie, słońce mego życia. Będę ich odwiedzać w Wenezueli, a oni też mogą przyjechać do nas do Anglii.

Pocałował mnie z niezmierną czułością. Uspokoiliłam się, że nie ma do mnie żalu za to, że opuszcza swój kraj.

Zależało mi na tym, by jak najpóźniej odkryto naszą ucieczkę. Nie chciałam też, żeby przesłuchiowano Vivi, choć z pewnością i tak niczego by nie powiedziała. Zatelefonowałam więc do więzienia ze stałym tekstem, że źle się czuję i nie mogę wrócić na noc.

Potem zadzwoniliśmy do Penelope.

- Udało się. Już nie wrócimy.

Ogromnie się ucieszyła.

- Zasłużyliście na wolność i na to, żeby być razem. Jesteście młodzi, zakochani, macie prawo do wspólnej przyszłości.

W tym momencie niemal widziałam jej pełen radości uśmiech. Wenezuelczycy są bardzo romantyczni, wierzą w miłość i w tej sferze nie uznają półśrodków.

Daliśmy też znać Vivi, że jesteśmy bezpieczni. Jej radość była ogromna.

- Kto wie, może pójdę w wasze ślady - rozmarzyła się. -
Podsunęliście mi pomysł.

Tej nocy zasnęliśmy, trzymając się w ramionach. Rano Jose delikatnie mnie obudził.

Udaliśmy się na dworzec i wsiedliśmy do autobusu, załadowawszy najpierw bagaże do luku. Zaczynał się już poranny ruch, sklepy były otwarte, kilka autobusów grzało silniki. Przed sobą mieliśmy dwudziestosześciodzinną podróż.

Nim ruszyliśmy, kierowca powiedział:

- Proszę przygotować dokumenty, bo po drodze na pewno zatrzyma nas gwardia narodowa na kontrolę.

Znów ogarnęła mnie panika. Przecież nie wbito nam wymaganych pieczętek, więc w zasadzie nie mieliśmy pozwolenia na pobyt w Kolumbii, a to oczywiście groziło odesłaniem do Wenezueli.

Przy każdym punkcie kontrolnym przeżywałam cały ten koszmar na nowo. Te małe przejeżdżaliśmy bez problemu, najbardziej się bałam tych większych. Raz przed takim punktem kierowca powiedział:

- Tu na pewno będziecie musieli pokazać paszporty.

I znów stała się rzecz niewiarygodna - w ogóle nas nie zatrzymano. Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu i doszłam do wniosku, że Bóg, los lub jakaś inna dobroczynna siła musi być po naszej stronie i że powodzenie było nam pisane.

Na postoju w jakimś mieście rozluźniłam się na tyle, że nawet z ciekawością przyjrzałam się otoczeniu. Krajobraz przypominał Holandię, tyle że było tu więcej wzgórz i brakowało wiatraków. Brakowało mi jednak malowniczości Wenezueli. Na postoju zjedliśmy *arepas* i popiliśmy *cafe con leche*. W Wenezueli i w Kolumbii kawę podaje się w maleńkich

filiżankach, takich dosłownie na jeden łyk. Sprzedawcy kawy chodzili po ulicach z dużymi termosami, zupełnie tak samo jak więzienni sprzedawcy w San Juan.

Rano dojechaliśmy do Bogoty. Znowu strach ścisnął mi gardło. Bałam się, że to wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe.

- Czternaście lat jeżdżę na tej trasie i pierwszy raz mi się zdarzyło, żeby nie było anijednej kontroli - z niedowierzaniem kręcił głową kierowca.

Spojrzeliliśmy z José na siebie. Niesamowite, że tak nam szczęście dopisało.

Wysiedliśmy z autobusu w samym środku politycznej demonstracji. Jak najszybciej chciałam się stamtąd oddalić, bo wszędzie byli konni policjanci w pełnym rynsztunku, nawet z tarczami, jakich używa się podczas ulicznych zamieszek. Nie wiem, o co chodziło demonstrantom, i nie chciałam wiedzieć; byle tylko trzymać się jak najdalej od policji.

Przed wszystkim musieliśmy znaleźć hotel. Zatrzymaliśmy taksówkę, wyjaśniliśmy kierowcy, że potrzebujemy czegoś w miarę niedrogiego, ale w bezpiecznej dzielnicy, gdzie nikt nas nie porwie ani nie pobije. Niestety, ten, do którego nas zawiózł, był w dość szemranej okolicy. Po zameldowaniu się wyszliśmy, żeby znaleźć telefon. Wydawało mi się w pierwszej chwili, że idziemy przez zwykłą dzielnicę mieszkaniową, jednak widząc na progach domów dziewczyny, mimo wieczornego chłodu ubrane tylko w minispódniczki i mocno wydekolowane bluzki, zrozumiałam, że to prostytutki. Kupiliśmy coś do zjedzenia - niedrogo, ale było to niezbyt apetyczne.

Wysłałam e-mail do Shony z przeprosinami, że ją okłamałam, na co potrzebne mi są pieniądze. Przyznałam się, że uciekłam z więzienia i jestem teraz w Kolumbii. Tłumaczyłam, że nie wtajemniczyłam jej w nasze plany, bo nie chciałam jej stawiać w niezręcznej sytuacji. Shona zachowała się wspaniale. Jak zawsze mogłam na nią liczyć. Nie miała mi za złe, a nawet obiecała, że skontaktuje się z ambasadą i zapyta, jak w obecnej sytuacji wygląda mój status. Dodała, że rozumie mnie doskonale i widocznie musiałam tak postąpić, a ona naprawdę nie wie, co sama zrobiłaby w takiej sytuacji. Wysłałam też e-mail do siostry, która później powiedziała mi, że bardzo jej zaimponowałam. Jeszcze raz zadzwoniliśmy do Vivi i poinformowaliśmy, co się z nami dzieje.

Czułam się coraz pewniej, ale czekało nas jeszcze jedno poważne wyzwanie. Przy kupnie biletów na samolot mogło się w komputerze wyświetlić moje nazwisko jako osoby poszukiwanej. Do pełni szczęścia zatem jeszcze sporo brakowało.

José wiele poświęcił, żeby być ze mną. W tych trudnych chwilach jego obecność była dla mnie bardzo ważna. Wcześniej ustaliliśmy, że na razie zamieszkamy w Hiszpanii. W więzieniu przyjaźniliśmy się z pewnym Hiszpanem i on nam zaproponował pomoc. Miał znajomego, który był właścicielem hotelu, i człowiek ten zgodził się odebrać nas z lotniska, zatrudnić u siebie i załatwić mieszkanie. A wtedy moglibyśmy sprowadzić Nikitę.

Poszliśmy do biura podróży po bilety. Najpierw zaproponowano nam lot z przesiadką w Caracas.

- Nie, nie, dziękujemy - odparliśmy zgodnie.

Lot był następnego dnia. Cenę podawano w dolarach, ale płacono się w miejscowej walucie, więc najpierw musieliśmy wymienić dolary na kolumbijskie pesos. Przy kupnie trzeba było pokazać paszporty, ale na szczęście nikt nie zwrócił na nie uwagi. Niesamowicie się czułam, trzymając bilety w ręku.

„Taki mały świstek, a tak ważny” - pomyślałam wtedy. Do dziś przechowuję tamtą kartę wstępu do samolotu.

Z biletami w kieszeni wróciliśmy do hotelu. Lotniska się nie bałam, bo nabrałam już pewności, że nic złego nie może się nam przytrafić, skoro dotarliśmy tak daleko. Na drugi dzień stanęliśmy w kolejce, ale nim doszliśmy do odprawy, funkcjonariuszka straży poprosiła nas o paszporty.

- Niedobrze - stwierdziła z marssem na czole i gdzieś poszła. Dziwne, ale w ogóle się nie przejęłam. José się nie odzywał, ale też nie wyglądało na to, by się denerwował. Kobieta wróciła po chwili z dwoma urzędnikami imigracyjnymi.

- Proszę z nami - usłyszeliśmy. Nadal nie panikowałam. Przecież nie na darmo pokonaliśmy dotąd tyle przeszkód.

Urzędnicy chcieli wiedzieć, jak wjechaliśmy na teren Kolumbii bez stempli w paszportach. Na szczęście mieliśmy przygotowane wyjaśnienie.

- Przyjechaliśmy z Wenezueli.

- To dlaczego nie podstemplowali państwo paszportów na granicy?

- Jak to? - Udawaliśmy głupich. - Nikt nam nie kazał. Na granicy powiedzieli, żebyjechać.

- Powinni państwo byli podbić paszport wcześniej.

- Ale nigdzie nie było o tym mowy. Skąd mieliśmy wiedzieć?

- broniłam się. Odpowiedź ich nie zadowoliła i pomału zaczęłam tracić nadzieję.

Rozdzielono nas i przeszukano nasze bagaże.

Modliłam się, żebyśmy zdążyli na samolot, i od razu wróciło wspomnienie przeżyć na lotnisku na Margaricie w lipcu 2001 roku. Urzędnicy imigracyjni zaczęli mnie szczegółowo wypytywać. Uprzedzili, że podejrzewają przemyt narkotyków. Roześmiałam się serdecznie. Gdyby tylko wiedzieli...

- Musimy panią prześwietlić.

- Proszę bardzo. Ale szybko, bo inaczej spóźnimy się na samolot - błagałam.

Wymyśliliśmy z José historyjkę, że spędzałam wakacje na Margaricie, potem z przyjaciółmi pojechałam do Caracas i tam poznałam José. Zakochałam się w nim i zamieszkaliśmy w Méridzie, gdzie pracował. Staraliśmy się trzymać możliwie blisko prawdy. Ku mojej wielkiej uldze uwierzyli nam i zrezygnowali z prześwietlenia. Pozostało już tylko zdążyć na samolot. Gdy bieглиśmy korytarzem, znów zatrzymali nas gwardziści i chcieli przeszukać nasze torby.

- Nie mamy czasu, już nas przeszukano... - Jakoś udało się ich przekonać. Wpadliśmy do poczekalni dla pasażerów. Była pusta, bo wszyscy już siedzieli w samolocie. Zdążyliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Stewardessy roznosiły lampki szampana, ponieważ był to pierwszy lot tych linii bezpośrednio do Hiszpanii. Jeszcze zziązani po biegu, stuknęliśmy się kieliszkami. My to dopiero mieliśmy powód do świętowania...

Do tej pory José zawsze mnie wspierał, chronił i mi pomagał. Teraz role się odwróciły i to on zdany był na mnie.

Niebawem mieliśmy się *znaleźć* w moim świecie, którego zupełnie nie znał. Uprzedziłam go, że na lotnisku będą go szczegółowo wypytywać o cel podróży, a mnie przepuszczają bez problemu.

- Mów, że jesteś ze mną i przyjechaliśmy na dwa tygodnie na wakacje. Powiedz, że chciałam zobaczyć Kolumbię, więc wzięliśmy urlop i postanowiliśmy zaliczyć od razu Hiszpanię.

W samolocie było dość pusto. Ułożyłam się na czterech siedzeniach i spałam, spałam i spałam bez końca, jakby wreszcie spłynęły ze mnie wszystkie dotychczasowe traumy. José też spał głęboko. Ucieczka z więzienia to bardzo stresujące przeżycie.

Kochałam José, ale już podczas tej podróży ogarnęły mnie wątpliwości, czy rzeczywiście zrobiliśmy dobrze. A co, jeśli z José stanie się podobnie jak z Delroyem, kiedy to najpierw byłam szaleńczo zakochana, a potem szybko się odkochałam? Czy on rzeczywiście dokonał dobrego wyboru? Trudno jest żyć w zupełnie obcym kraju, w dodatku z dala od dziecka, o czym przekonałam się na własnej skórze.

Rozterki szybko znikły, gdy wylądowaliśmy w Madrycie. Ogarnęła mnie wielka radość. Wszystko mi się podobało, łącznie z szarą europejską pogodą po latach bezlitośnie błękitnego nieba w Wenezueli. Podczas kontroli paszportowej rozdzielili nas inni pasażerowie. Ja przeszłam do razu, nikt mi nawet nie zajrzał do paszportu. Jednak urzędnicy imigracyjni byli czujni i José został zatrzymany.

- Jestem z moją dziewczyną - wyjaśnił.

Pomachałam z daleka i puścili go.

Nigdy nie wyjeżdżał z Wenezueli, a zanim mnie poznał, nie miał nawet na to ochoty. Z miłości do mnie w ciągu kilku dni zaliczył dwa obce kraje.

Zgodnie z ustalonym planem pozostało nam skontaktować się ze znajomym naszego Hiszpana, żeby nas odebrał z lotniska. Tymczasem okazało się, że mamy zły numer. Takiego obrotu spraw się nie spodziewaliśmy.

- Nie rozumiem, przecież obiecywał, że nam pomoże - nie mógł się nadziwić José. Nie mieliśmy pojęcia, co robić dalej.

Pomyślałam, że pewnie trzeba będzie jechać do Anglii, a ja nie czułam *się jeszcze* na to gotowa.

Zadzwoniliśmy do Vivi z wiadomością, gdzie jesteśmy, i poprosiliśmy, żeby skontaktowała się z tym Hiszpanem. Okazało się, że zniknął.

- A jaka była reakcja na zniknięcie moje i José?

- Nie ucieszyli się specjalnie. Myślą, że jesteście w Wenezueli, że pojechaliście do Caracas.

- Mają nas za głupich czy co?

Przyjemnie było znaleźć się ponownie w znajomym świecie, na dużym międzynarodowym lotnisku ze sklepami, barami i bajerami. Chciałam pokazać José ten świat, tak bardzo różny od Ameryki Południowej. Jednak nagle cała moja radość zgasła, gdy okazało się, że nikt nie przyjedzie po nas na lotnisko. Kompletnie nie wiedziałam, co robić dalej. Na szczęście José wpadł na pomysł. Ten były strażnik, który pomógł nam opracować trasę ucieczki, miał w Bilbao kuzyna o imieniu Pedro. José zadzwonił do niego, a on obiecał, że oddzwoni za dziesięć minut. Porozumiał się z tym Pedrem i zawiadomił

nas, że nazajutrz możemy jechać do Bilbao i jego kuzyn pomoże nam *znaleźć pracę*.

Tę jedną noc musieliśmy spędzić w Madrycie. Długo chodziliśmy po centrum, szukając noclegu. W końcu ktoś z ulicy pomógł nam znaleźć tani pokój. Zgodnie z wenezuelskim zwyczajem José wręczył za tę przysługę drobną sumę. Mężczyzna bardzo się zdziwił, ale przyjął pieniądze.

Łazienka była wspólna na piętrze. Wieczorem wyszliśmy coś zjeść. Musieliśmy oszczędzać każdy grosz, bo nie wiadomo było, na jak długo starczy nam pieniędzy. Całą nadzieję pokładaliśmy w Bilbao.

Rano wsiedliśmy w pociąg. Podróż trwała dość długo. Od razu po przyjeździe zadzwoniliśmy do Pedra, który przyjechał po nas dopiero po jakichś sześciu czy siedmiu godzinach. Byliśmy już niemal pewni, że nas zostawił na lodzie.

- Nie ma wyjścia, trzeba jechać do Anglii - przekonywałam José. - Inaczej wszystko wydamy na hotele.

Pedro nawet nie przeprosił za spóźnienie. O nas wiedział tylko tyle, że José był strażnikiem więziennym. Kiedy mu się przyznałam, że siedziałam w więzieniu, w ogóle się nie przejął. Mieszkał ze swoją siostrą Coriną. W pokoju, który dla nas przeznaczyl, nie było łóżka, ale kupił je jeszcze tego samego dnia. Zapłaciliśmy mu z góry mniej więcej za miesiąc. Postanowiliśmy oszczędzać, ile się da, i jak najszybciej znaleźć niezależne lokum.

Pedro wyjaśnił José, jak wygląda sytuacja na rynku pracy.

- Jako pracownik ochrony w tydzień zarobisz tyle, ile w Wenezueli przez trzy miesiące - twierdził stanowczo, a José aż oczy zabłysły.

- Sprowadzimy Nikitę. Będę mógł posyłać pieniądze mamie - ucieszył się. Od dziecka miał wpojone, że mężczyzna powinien zarabiać na życie i rodzinę. Było to dla niego bardzo ważne.

Zadzwoił do matki, przeświadczonej, że on cały czas jest w Meridzie. Opowiadał jej wcześniej o mnie, więc wiedziała, dlaczego przeniósł się tam z powrotem.

- Cześć, mam. Jestem w Hiszpanii.

- Niemożliwe, przecież nie masz paszportu - wykrzyknęła.

- Mam! - zawołał podniecony i szczęśliwy jak dziecko. Choć wiadomość ta była dla niej ogromnym zaskoczeniem, cieszyła się z jego radości. W Wenezueli Europę uważa się za raj, więc pewno pomyślała, że Jose znajdzie dobrą posadę i będzie przysyłać do domu pieniądze, jak wielu emigrantów wyjeżdżających za chlebem.

Z bijącym sercem zadzwoniłam do Nikity, ale nie mówiłam jej o ucieczce. Za mała była na to. Powiedziałam tylko, że mam chłopaka, który nazywa się Jose.

- Opowiadałam mu o tobie, jaką jesteś dzielną dziewczynką. Bardzo chce cię poznać.

Przygotowałam ją w ten sposób na pierwsze spotkanie.

- Dobrze, mamusi - odparła.

Dla Nikity byłam bardziej głosem w słuchawce telefonicznej niż realną osobą. Przedtem, ze względu na koszt, rozmawialiśmy przez telefon bardzo krótko. Dzwoniłam do niej na urodziny i na Boże Narodzenie, a poza tym sporadycznie.

Napisałam do ambasady e-mail z pytaniem, jaki jest mój status prawny. Nikt ich nawet nie poinformował o moim zniknięciu, więc nie potrafili od razu udzielić mi odpowiedzi.

Obiecali, że sprawdzą i dadzą znać. Okazało się, że jeśli tamtejsze władze nie wystąpią o ekstradycję, aresztować mnie mogą tylko na terytorium Wenezueli, a ja raczej nie miałam zamiaru tam wracać.

Nazajutrz po przyjeździe do Bilbao zaczęliśmy intensywnie szukać pracy. Niedaleko była stacja metra, Pedro wytłumaczył, jak się z niego korzysta. Obiecywał, że znajdzie pracę dla Jose, ale czas upływał i nic z tego nie wychodziło.

Oszczędności topniały, aż skończyło się na tym, że żyliśmy na koszt Pedra i Coriny, co bardzo nas krępowało.

Dobrze nam było razem i nigdy się nie kłóciliśmy, ale w tym momencie sama miłość nie wystarczała do przetrwania.

Ja też usiłowałam znaleźć pracę. Wydawało mi się z początku, że nie będzie z tym problemu, skoro znam angielski i hiszpański. Bezskutecznie jednak próbowałam się zaczepić w jakimś biurze podróży. Nikt nie był zainteresowany moją osobą. Straciliśmy tylko cały dzień.

Mieliśmy pecha, bo niedawno władze zrobiły nalot na nielegalnych imigrantów. Ci, którzy pracowali dłużej niż pięć lat, zostali objęci amnestią, ale kto by teraz zatrudnił ludzi na czarno, w razie kontroli zapłaciłby słoną karę.

Jose popadał w depresję. Tęsknił za swoimi, a do tego dochodził jeszcze stres, że nie może zapewnić mi utrzymania. Któregoś dnia wyszedł wcześniej rano, zapowiadając, że nie wróci, dopóki nie znajdzie pracy.

Ale choć bardzo się starał, nie znalazł nic. Do domu przyszedł dopiero późno w nocy.

Był coraz bardziej nieszczęśliwy, tak strasznie mu zależało na tym, żeby się mną opiekować i mieć jakieś zajęcie. Po miesiącu pieniądze naprawdę zaczęły się kończyć. José usiłował zmusić Pedra do wywiązania się z obietnicy.

- To co w końcu z tą robotą? Nie możemy wam wiecznie siedzieć na głowie.

- Spokojnie, nic się nie martw. Czekam tylko, aż taki jeden facet wyjedzie, i wtedy coś się znajdzie.

W końcu musieliśmy się na coś zdecydować.

- Prawie nic nam już nie zostało. Jeszcze trochę i utkniemy tu na dobre. A tak jeszcze nam wystarczy na drogę do Anglii - argumentowałam. - Tam znajdę pracę, a jak nie, to pójdziemy na zasilek.

Dla José było to niewyobrażalne, zarówno pracująca kobieta, jak i zasilek.

Twarda rzeczywistość pomału brała górę. Tak bardzo skupiliśmy się na samej ucieczce, że nie przewidzieliśmy, jakie problemy może stwarzać wolność. Postanowiliśmy jednak jeszcze trochę zaczekać, choć nie wyglądało na to, by cokolwiek miało się zmienić. Przesypialiśmy teraz całe dnie - zupełnie jak w więzieniu.

W końcu José miał dosyć i zgodził się wyjechać. Spakowaliśmy nasze rzeczy i zostawiliśmy Pedrowi i Corinie krótki liścik. „Bardzo Wam dziękujemy za życzliwość i dobroć, ale dłużej tak żyć nie możemy. Wyjeżdżamy do Anglii”.

Zdecydowaliśmy się wracać statkiem. Sądziliśmy, że łatwiej poradzimy sobie z urzędnikami imigracyjnymi w porcie niż na lotnisku. Autobusem pojechaliśmy do Santander, a stamtąd

mieliśmy popłynąć promem do Plymouth. Uprzedziłam José, że tym razem nie będzie łatwo. Należało obmyślić wiarygodną historyjkę, by nikomu nie przyszło do głowy, że on zamierza zostać w Anglii na stałe. A więc mieszkamy w Wenezueli, przyjechaliśmy na wakacje do Hiszpanii i chcemy odwiedzić moją rodzinę w Anglii, a potem będziemy wracać do Hiszpanii przez Francję, żeby José zwiedził Europę.

Niespodziewanie zostaliśmy zatrzymani jeszcze przed wejściem na prom.

- Potrzebna jest zgoda na wjazd od władz brytyjskich - oświadczył z wyższością urzędnik. Oczywiście oficjalnie nigdy w życiu nie dostalibyśmy takiego zezwolenia.

Urzędnik powiedział, że porozumie się telefonicznie ze stroną angielską, i wyszedł. Całkiem straciłam nadzieję, a José znów pobałdł. Nietrudno było się domyślić, jaka będzie odpowiedź. Czekaliśmy bardzo długo, aż wszyscy pasażerowie przeszli. Zostaliśmy tylko my.

Nagle coś mnie tknęło.

- Chodź. I tak nie mamy nic do stracenia.

Podeszliśmy do kontroli paszportowej. Pasażerowie wchodzili już na pokład. Urzędnik spojrzał na paszport José i pokręcił głową.

- Ale myśmy już to wyjaśnili - powiedziałam bezczelnie. - I w Anglii wyrażono zgodę. Czekaliśmy na potwierdzenie i dlatego przychodzimy tak późno, ostatni.

Niesamowite, ale uwierzył. Nigdy siebie nie podejrzewałam o takie zdolności aktorskie.

- Proszę przechodzić - usłyszeliśmy.

Trudną opisać naszą radość, gdy znaleźliśmy się na statku. Wzięliśmy kabinę, bo podróż trwała blisko dwadzieścia trzy godziny. Uwielbiam pływać promem i tak się cieszyłam, że Jose jest ze mną.

- W Anglii wszystko będzie inaczej, zobaczysz. Znajdę pracę, a ty będziesz mógł zarobić na budowie.

Bardzo nie chciałam wylądować na ziemi.

Gdy Anglia znalazła się niemal w zasięgu ręki, znów zaczęłam myśleć o Nikicie i w tej chwili była to dla mnie sprawa najważniejsza. Dotąd nie miałam żadnych konkretnych planów, bałam się złudnych nadziei. Kiedy się odsiaduje wieloletni wyrok, marzenia o odzyskaniu dziecka są najstraszniejszą torturą. A teraz miałam ją niedługo zobaczyć. Do naszego spotkania pozostała zaledwie doba. Bardzo się denerwowałam, jak Nikita zareaguje na mój widok.

Oboje byliśmy podekscytowani i pełni optymizmu, choć Jose na pewno bał się jechać do obcego kraju bez znajomości języka. Nie przyszło mi do głowy, żeby z nim porozmawiać o jego problemach, zbyt pochłonęły mnie własne. Myślałam też o tym, że kiedy wyjeżdżałam z Anglii, mama była zdrowa. Bardzo żałowałam, że nie *zdążyłyśmy* się już zobaczyć. Ona na pewno by zauważyła zmiany, jakie we mnie zaszły. Nie byłam już taką egoistką jak kiedyś, która nikogo nie słucha. Wiele przeszłam, dojrzałam, dużo lepiej rozumiałam świat i ludzi.

Nazajutrz prom przybił do Plymouth. Do kontroli paszportowej ustawily się dwie kolejki. Jedno stanowisko obsługiwał starszy urzędnik, przy drugim siedział młody. Szepnęłam do Jose:

- Stańmy w kolejce do tego młodszego. Może będzie bardziej życzliwy.

Opowiedziałam naszą historyjkę i o dziwo uwierzył. Z tej radości, że jedziemy na wymarzone wakacje, na śmierć zapomnieliśmy dopełnić formalności.

- Anglia, Londyn, wakacje - powtarzał w kółko uśmiechnięty José. Ja gadałam jak nakręcona i znów się udało.

- W takim razie miłych wakacji - uśmiechnął się i kazał nam przechodzić.

Wyszliśmy na ulicę. Miałam wielką ochotę paść na kolana na brudny chodnik. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę jestem w Anglii. Przedtem raczej nie byłam patriotką, uważałam, że tu jest nudno. Teraz ta nuda wydawała się czymś najmiłszym na świecie.

- Wróciłam do domu - powiedziała w końcu wzruszona i łzy napłynęły mi do oczu. W Hiszpanii nie mogłam tego jeszcze powiedzieć.

Zatelefonowałam do Eve. Dosłownie ją zatkało, doznała szoku. Powinnam była ją jakoś przygotować, a ja z miejsca wypaliłam, skąd dzwonię. Nie odniosła się do tej wiadomości zbyt entuzjastycznie. Nic dziwnego. Najpierw zburzyłam jej życie, podrzucając swoje dziecko, potem wyskoczyłam jak diabeł z pudełka, domagając się go z powrotem. To z nią Nikita spędziła większą część swego krótkiego życia, a z Marą, jej córką, były jak siostry. Z początku Eve musiało być ciężko, ale teraz Nikita stała się dla niej drugą córką. Nie była więc zachwycona.

- Nie przejmuj się - pocieszał mnie José.

Zadzwoiłam do znajomej, której szef, Lesley, korespondo-
wał w mojej sprawie z organizacją Prisoners Abroad.

- Cześć, Simone. Właśnie wróciłam do Anglii.
- J a k t o w r ó c i ła s ? Z w o l n i l i c i ę w c z e ś n i e j ?
- Nie. Uciekłam z więzienia.
- Boże! Jakim cudem? Wykopałaś tunel?
- Nie, akurat nie. Wyszłam na przepustkę i nie wróciłam.

Simone zawołała do telefonu Lesleya. W tym momencie nerwy mi puściły i się rozplakałam.

- Sama nie wiem, co robić. Nie mamy pieniędzy, a Eve jest w szoku z powodu mojego niespodziewanego powrotu.
- Wsiadaj do pociągu i przyjeżdżaj.

Tak zrobiliśmy. Podczas drogi milczałam, różne myśli kłę-
biły mi się w głowie. José wyczuł mój nastrój i też nic nie mówił.
Nasze role zaczęły się zmieniać, już w momencie gdy znaleź-
liśmy się w Hiszpanii. Tam byłam prawie u siebie, ale jeszcze
nie do końca. José czuł się coraz mniej pewnie. Potrzebował
jakiegokolwiek punktu oparcia, a tu wszystko dokoła było mu
obce i nieznanne.

Miałam pełną świadomość, jakie to musi być dla niego
trudne, ale w tym momencie tylko jedno dźwięczało mi w gło-
wie: „Nikita, Nikita, Nikita”.

Najważniejsze to znaleźć pracę i zarobić na utrzymanie
córkę. Obiecałam sobie, że odtąd niczego jej nie będzie brako-
wało i że nigdy nie skuszę się na nielegalne zdobywanie pie-
niędzy. Na szczęście crack mnie już nie ciągnął. Dawniej
powrót do domu oznaczał sięgnięcie po narkotyk. Samo to,
że w ogóle nie miałam ochoty zapalić, świadczyło, jak bardzo się

zmieniłam. Wreszcie dorosłam i bardzo chciałam, żeby inni to zobaczyli i by nikt więcej nie uważał mnie za ćpunkę. Dawna Natalie, wymizerowana, zdesperowana narkomanka, przestała istnieć. Nadal byłam szczupłą, ale to nie była poprzednia chorobliwa chudość. I byłam zakochana. Świat musiał się o tym dowiedzieć i mnie pochwalić.

Po przyjeździe na miejsce nie mogłam poznać starych kątów, tyle się tu zmieniło. Na miejscu dawnego ośrodka sportowego z basenem stał duży przeszklony wieżowiec. Nawet ulica biegła teraz inaczej. Poczułam się jakbym przespała wiele lat, niczym Śpiąca Królewna.

Salon fryzjerski Lesleya znajdował się niedaleko stacji, ale choć zostało nam tylko dwadzieścia funtów, postanowiłam wziąć taksówkę - po pierwsze, ze względu na ciężkie bagaże, po drugie, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Simone zobaczyła nas przez okno i od razu wybiegła na spotkanie, a za nią wyszedł Lesley. Miała na sobie długą cygańską spódnicę, ostatni krzyk mody. W Wenezueli noszono zupełnie co innego. Pomyślałam sobie, że niebawem też się tak będę ubierać. Nastąpiło radosne powitanie, były całusy, uściski i lzy. Jose przyglądał się temu wszystkiemu z boku.

Lesley wszedł w spółkę ze znaną fryzjerką, kupili sąsiedni lokal i powiększyli dotychczasowy salon - kolejne zmiany. Razem z Simone na wyścigi zasypywali mnie nowinkami, aż mi się w głowie od tego wszystkiego zakręciło. Zmęczona po podróży, z trudem zniosłam ten zalew informacji. Czuję się oszołomiona, jakbym wypaliła skręta. Marzyłam, żeby wreszcie przestali gadać.

- Nie przejmuj się reakcją Eve. Twój niespodziewany powrót wywołał pewnie u niej lekki szok - tłumaczył Lesley.

- Nie wiem, co robić. Nie mamy dokąd pójść.

Nie spodziewałam się, że po powrocie do Anglii, do domu, będę bezdomna.

Lesley wcisnął mi trochę pieniędzy.

- Znajdźcie gdzieś jakiś tani pokój, a jutro zwrócisz się do opieki społecznej o zasiłek.

Jakbym dostała obuchem w głowę. Właśnie tego, życia zjałmużny, chciałam uniknąć.

Lesley i Simone bardzo serdecznie przyjęli José i byli dla niego mili. Dbałam o to, by nie czuł się samotny, przedstawiłam go jako miłość mego życia i mężczyznę, który mnie ocalił. José był dla mnie pod wieloma względami bliższy niż dawni znajomi. On dobrze wiedział, przez co przesłam, oni nie mieli o tym pojęcia.

Wynajęliśmy tani pokój w prywatnym domu. Było w nim wilgotno i niezbyt czysto. Nie tak sobie wyobrażałam swoją pierwszą noc po powrocie.

Znowu zadzwoniłam do Eve. Dziewczynki nie wróciły jeszcze ze szkoły. Cztery lata czekałam na spotkanie z moją córką i nie mogłam już dłużej wytrzymać.

- Będę w wpół do czwartej - powiedziałam.

Romiec wielkiego uczucia

Do Eve mieliśmy jakieś dziesięć minut na piechotę. Szłam tam z radością, choć zdenerwowanie nie odpuszczało. Co chwila powtarzałam:

- Strasznie się denerwuję. Nie mogę się doczekać. Ciekawe, jaka ona jest teraz.

Przed domem stała zaparkowana ciężarówka z przyczepą. Bawiły się na niej dwie dziewczynki.

- To ona - stwierdził José, który widział Nikitę na zdjęciu.

- Nie, to nie ona.

Podeszliśmy bliżej i okazało się, że miał rację. To była Nikita. Mała, zupełnie nieznana mi dziewczynka, która chodziła już do szkoły. Mój Boże, ile straciłam! Śliczne dziecko, wprost nie mogłam oderwać od niej oczu. Od razu było widać, że u Eve jest jej dobrze.

„Dziękuję ci, Eve - pomyślałam. - Że dałaś mojej córce szczęście i poczucie bezpieczeństwa i tak dobrze się nią opiekowałaś. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć”.

Wprost nie mogłam uwierzyć, że naprawdę widzę Nikitę. Potrzebowałam czasu, żeby to do mnie dotarło. Od ucieczki z Wenezueli ciągle się coś działo i nie zdążyłam się psychicznie przygotować na tę chwilę.

- Co robicie? - zagadałam do dziewczynek.

- Bawimy się na ciężarówce - wyjaśniła Nikita.

Nie wiedziała, kim jestem. Wielkie brązowe oczy mnie nie poznawały. Dziwne to było uczucie.

- Mieszkasz tutaj?

- Tak.

- Chodzisz do szkoły?

- Tak.

- Wiesz, kim jestem?

- Nie.

- Nie powinnaś rozmawiać z nieznajomymi - uśmiechnęłam się. - Jestem Natalie.

Zastygła na moment, po czym powoli na jej buzi pokazał się śliczny uśmiech. Ciekawie mi się przyglądała, ale wyraźnie brakowało jej odwagi, żeby zapytać. W końcu się ośmieliła.

- Jesteś moją mamą?

- Tak.

Mara pobiegła do domu, wołając:

- Mamo! Mamo!

Wyciągnęłam rękę do Nikity i poszłyśmy razem.

Miałam wrażenie, jakbyśmy się z Eve widziały wczoraj.

- Mamo, mamo, czy wiesz, że moja mama wróciła? - zawołała Nikita. Nie spodziewałam się, że będzie mówić do Eve „mamo” ale w końcu trudno było o to mieć pretensje.

Nikita ucałowała mnie i serdecznie uściskała. Była taka niewinna i ufna. *Żadnego* żalu, żadnego boczenia się, tylko ciepły szczerzy uścisk dziecięcych łapek. Przedstawiłam im José, który stał skromnie z boku, abym mogła spokojnie nacieszyć się tą chwilą. Staralam się od razu włączyć go do naszego grona. Eve nie potrafiła wymówić jego hiszpańskiego imienia.

- Będę na ciebie mówić Jack - powiedziała.

Chyba mu się spodobało, że dostał angielskie imię. Nikita chwilę posiedziała u mnie na kolanach, a potem pobiegła się bawić. Spotkanie po latach, które mnie przyprawiało o taki stres, dla niej okazało się czymś zupełnie naturalnym. Aż trudno było w to uwierzyć.

Eve wytłumaczyła, że ciągle ktoś pytał, dlaczego Nikita mówi do niej po imieniu, więc powiedziała małej:

- Jak chcesz, możesz mówić do mnie „mamo”. Twoja prawdziwa mama długo jeszcze nie wróci.

Na razie nie poruszałyśmy kwestii powrotu Nikity do mnie. Było na to za wcześnie. Wychodziłam stamtąd z ulgą. Z nadmiaru emocji i wrażeń chciało mi się płakać.

Nie tak przecież miało być. Miało być jak w filmie, kiedy w końcowej scenie wszyscy padają sobie w ramiona. Tymczasem na razie nie było happy endu.

Nazajutrz poszłam do opieki społecznej. W moim poprzednim życiu spędzałam tam tak wiele czasu. Jedno się nie zmieniło przez te wszystkie lata: ci sami naciągacze co wtedy, dziś też próbowali wyłudzać zapomogi i pożyczki. Nie chciałam, żeby José szedł ze mną na tę rozmowę.

Czekając na swoją kolej, przyglądałam się dziewczynie siedzącej obok i nagle uświadomiłam sobie, że to Emma, dawna znajoma z czasów cracku. Kiedyś bardzo o siebie dbała. Nigdy nie żałowała pieniędzy na dobrego fryzjera, przedłużała sobie włosy, ładnie się malowała i chodziła ubraną jak modelka.

W chwili mojego wyjazdu była w dużo lepszym stanie ode mnie. Natomiast teraz wyglądała strasznie, gorzej niż ja kiedykolwiek. Włosy, tak kiedyś dla niej ważne, zwisały smętnie, potargane i brudne. Do tego ubrana była w jakieś straszne łachy.

- Cześć, Emmo — odezwałam się.

Miała problemy z koncentracją i chyba mnie nie poznała. Pewnie nadal paliła i rozpaczliwie potrzebowała działki. Dobrze wiedziałam, na co wyda pieniądze, jeśli je dostanie.

Patrząc na nią, pomyślałam: „Boże, przecież ja też mogłam się doprowadzić do takiego stanu”. Nagle ogarnęła mnie wielka wdzięczność wobec losu za wszystkie te lata spędzone w wenezuelskich więzieniach.

Emmie nic już nie mogło pomóc. Spotkałam ją kilka tygodni później, na dzinsach miała plamy krwi od miesiączki. A więc nie była nawet w stanie zadbać o podstawową higienę. Jej widok podziałał na mnie jak ostroga. Takie przypadkowe zdarzenia potrafią czasem zaważyć na życiu człowieka. Przysięgłam sobie wtedy, że znajdę jakąkolwiek pracę i będę harować jak wół, ale nie zmarnuję życia swojego i Nikity.

Innym widmem z przeszłości była Sabrina. Siedziała z tyłu w autobusie, do którego wsiadłam. Zauważyłam ją dopiero, gdy przeszłam na koniec, bo z przodu nie było wolnych miejsc. Nagle usłyszałam:

- Cześć, Natalie.

Nie wierzyłam własnym oczom. W ogóle się nie zmieniła. Odkąd pamiętałam, nigdy nie miała czasu ani pieniędzy, żeby zadbać o włosy, tylko je utykała pod czapkę. Teraz też miała na głowie czapkę. Przytyła trochę, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że może rzuciła crack. A jednak chorobliwy wygląd świadczył o tym, że nadal tkwi w szponach nałogu.

Wiele osób wiedziało już o mojej ucieczce. Ona też się specjalnie nie zdziwiła na mój widok.

- I jak było w tej Wenezueli? - zapytała od razu.

- Okropnie, ale dobrze mi to zrobiło. Nie pałę. Nigdy więcej nie tknę tego świństwa. I mam zamiar napisać o tym książkę. Zdziwiła się.

- A co u ciebie? - spytałam z kolei.

Okazało się, że straciła mieszkanie i kilka razy siedziała w więzieniu za kradzieże w sklepach. Aż zadrżałam na myśl, że mógł mnie spotkać podobny los. Cieszyła się, że zerwałam z nałogiem, ale wcale mi nie zazdrościła życia bez narkotyków.

Żal było na nią patrzeć, bo wiedziałam, że się nie zmieni. Jeszcze raz podziękowałam mojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że mnie się udało. Dałam Sabrinie dwadzieścia funtów. Gest ten był dla mnie jakby ostatecznym zamknięciem tamtego ponurego okresu w moim życiu. Wsiadłam z autobusu, pomachałam na pożegnanie i odeszłam, nie oglądając się za siebie.

Ze skierowaniem z opieki społecznej poszliśmy do domu noclegowego. Wyjaśniłam kierownikowi, jaką mamy sytuację, i zgodził się nas przyjąć. Pokój był mały, z jednoosobowym łóżkiem, ale nam to nie przeszkadzało. Pierwszego wieczoru

zjawiała się policja, szukali kogoś. Siedzieliśmy cicho u siebie, nie chcieliśmy się w nic mieszać. Nazajutrz wyszliśmy na miasto. Najpierw starałam się znaleźć jakąś pracę, potem trzeba było zrobić zakupy. Kierownik noclegowni zorientował się, że nie jesteśmy typowymi podopiecznymi tego rodzaju instytucji, i zaproponował nam lepszy pokój. W zasadzie był on przeznaczony dla osób mających pracę, ale kierownik stwierdził, że na pewno szybko coś znajdzie, i pozwolił nam od razu się wprowadzić.

José zaczął pracować na budowie u mojego znajomego. Bardzo był z tego powodu szczęśliwy. Oddawał mi wszystkie pieniądze, sobie zostawiał tylko parę funtów, żeby mieć na drobne prezenty dla mnie.

Ja dostałam jednodniowe zastępstwo w agencji pośrednictwa pracy, a skończyło się na tym, że przepracowałam tam dwa lata. Nie minął miesiąc od powrotu do kraju, a już miałam stałą posadę. Z wielką ulgą i radością zawiadomiłam opiekę społeczną, że nie potrzebuję zasiłku. Dobrze zarabiałam, miałam ciekawą pracę i wkrótce przeprowadziliśmy się do pięknego mieszkania w zabytkowym budynku, z ochroną i elektronicznie otwieranymi drzwiami. Pokoje były duże i wysokie, urządzone prawie jak w dobrym hotelu. José bardzo się podobało.

Nikita spędzała z nami weekendy. Pilnowałam się, aby nasz powrót do relacji matka-córka odbywał się stopniowo i jak najbardziej naturalnie. Codziennie po szkole jechaliśmy do niej. Potem przychodzili do nas razem z Marą, bo nie chciałam ich rozdzielać. Po jakimś czasie Eve stwierdziła:

— Chyba już pora, żeby Nikita zamieszkała z tobą.

Byłam bardzo szczęśliwa, że wreszcie mam ją u siebie. Wszystko układało się dobrze, temat Wenezueli w ogóle nie był poruszany, Nikita nie miała do mnie żalu, że ją zostawiłam, a José znakomicie spisywał się w roli ojca. Nawet bardziej wszedł w rolę matki, bo ja dużo czasu spędzałam w pracy.

José odprowadzał małą do szkoły, odbierał ją, gotował i sprzątał w domu. Z początku był z siebie dumny. Uczył się angielskiego, a Nikita mu pomagała.

Niby szło nam dobrze, ale w którymś momencie José stał się zaborczy i zazdrosny. Pierwszy raz doszło między nami do różnicy zdań. Cały czas bardzo przeżywał, że nie zarabia wystarczająco na nasze utrzymanie. Źle znosił tę zamianę ról. Był nieszczęśliwy, że nie może mi kupować drobnych prezencików za zarobione przez siebie pieniądze. Raz nawet próbował ukraść kwiaty w supermarkecie i został przyłapany. Na szczęście nie wniesiono na niego skargi.

Bez pozwolenia na pracę José nie mógł się legalnie zatrudnić. Powinien był starać się o inną wizę w Wenezueli, ale wtedy nie przyszło nam to do głowy. Mnie zaś coraz bardziej pochłaniała praca, a najważniejsza była dla mnie Nikita.

Tak byłam zaabsorbowana swoimi sprawami, że za mało uwagi zwracałam na to, co z nim się dzieje. Stawiano mi duże wymagania, a po wielu życiowych niepowodzeniach chciałam za wszelką cenę odnieść sukces. Wieczorami często miałam służbowe spotkania, tymczasem José myślał, że go zdradzam. Nigdzie nie mogłam się ruszyć, żeby natychmiast nie padały pytania. Ta jego podejrzliwość zatruliła naszą miłość. Wpadliśmy w błędne koło.

Postanowiłam kupić dom, licząc na to, że zaczniemy wszystko od nowa. Dom wymagał sporo pracy i początkowo Jose był szczęśliwy, że ma zajęcie. Wkrótce jednak wróciły dawne frustracje i znowu zaczęły się kłótnie.

Jose bardzo tęsknił za bliskimi i za dawnym życiem, brakowało mu społecznego statusu, jaki daje praca. Dla mnie zrezygnował praktycznie ze wszystkiego. W Anglii czuł się jak w więzieniu.

- Nie sądziłem, że tak bardzo będę tęsknić za domem - wyznał mi pewnego razu z autentyczną rozpaczą. - Strasznie brakują mi córki i mamy. I w ogóle wszystkiego.

Naprawdę doskonale go rozumiałam. Sama przecież doświadczyłam rozłąki ze swoim dzieckiem. Objęłam go i mocno do siebie przytuliłam.

- Jose, przykro mi, że nie wyszło, jak sobie zaplanowaliśmy. Żałuję, ale nic nie mogę zrobić. Naprawdę.

W Wenezueli nasz związek przeszedł ciężką próbę, a przeciwności losu jeszcze go scementowały. Teraz borykaliśmy się z innego typu trudnościami, które coraz bardziej nas od siebie oddalały. Miłość, która narodziła się w dramatycznych okolicznościach, nie przetrwała wśród kłopotów szarej codzienności.

Z wielkim bólem i smutkiem zaczęłam się zastanawiać, czy nie kupić mu biletu powrotnego do domu. Stale się kłóciliśmy, a później mieliśmy do siebie o to żal. Po tych nieporozumieniach Jose często płakał i mówił:

- Tyle razem przeszliśmy, a teraz, gdy poważne problemy się skończyły, nie umiemy być razem.

Później było już tak źle, że w końcu, tonąc we łzach i zapewniając się wzajemnie o wielkiej miłości, z ogromnym smutkiem pożegnaliśmy się na lotnisku i we wrześniu 2006 roku José odleciał do Wenezueli.

Epilog

CP a początku głęboko wierzyłam, że nasz związek będzie trwał, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Jose był moją bratnią duszą, razem wiele przeszliśmy. Lata spędzone w Wenezueli stanowiły bardzo ważny okres w moim życiu, pełen wzlotów i upadków. José lepiej niż ktokolwiek rozumiał, co przeszłam.

Cierpiałam po jego wyjeździe. Był nie tylko moim kochankiem, lecz także najlepszym przyjacielem, powiernikiem, wsparciem dla mnie i ojcem dla Nikity. Ale jednocześnie poczułam się wreszcie naprawdę wolna. Nie było mu w Anglii dobrze i przez to stawał się coraz bardziej zaborczy, a to powodowało masę innych problemów. Teraz mogłam iść, dokąd chciałam, i nie musiałam się tłumaczyć przed nikim ani prosić nikogo o pozwolenie — ani strażników, ani José.

Naszym pożegnaniem na lotnisku zamknęłam bardzo ważny rozdział swojego życia. Naprawdę kochałam José, ale też nieustannie mi przypominał o bardzo bolesnych chwilach. Wiedziałam, że nigdy całkiem się nie uwolnię od wspomnień, ale też

pragnęłam dostać szansę, by zacząć wszystko od nowa i tym razem dokonywać zupełnie innych wyborów. Tęskniłam do normalności i nie miałam ochoty stale wracać do przeszłości.

Patrząc wstecz, wyraźnie widzę, że wszystko się przeciwko nam sprzysięgło. W pierwszym, intensywnym okresie naszego związku musieliśmy pokonywać bardzo konkretne i trudne przeszkody, co wzmocniło więź między nami. Lecz gdy gorąca namiętność przeszła w bardziej wyciszoną fazę, miłość nie wytrzymała konfrontacji z szarą rzeczywistością. Przyjazd José tutaj był niczym przesadzenie rzadkiej tropikalnej rośliny do ściśniętej mrozem gleby i oczekiwanie, że zakwitnie. Wyrwany ze środowiska, bez rodziny i przyjaciół, pozbawiony pracy, odcięty od swego kraju i języka, miał niewielkie szanse przetrwania w tych warunkach.

Być może gdyby przed wyjazdem z Wenezueli załatwił sobie wizę Z pozwoleniem na pracę, wiele spraw wyglądałoby inaczej. Ale i tak nie byłoby łatwo.

W Wenezueli obowiązuje kulturowy wzór macho. Nie mogąc zarobić na swoją kobietę, José nie czuł się jak prawdziwy mężczyzna. Nasz związek rozkwitł w dramatycznych okolicznościach i wśród przeciwności losu, lecz zwykle, codzienne życie okazało się wyzwaniem przerastającym nasze siły. Zresztą gdyby José miał pracę, też nie wiadomo, jak by się to potoczyło.

Kontynuowałam karierę zawodową w agencji pośrednictwa pracy i szło mi nieźle. Byłam dumna z tej wielkiej metamorfozy, jaką przeszłam od czasów życia na zasiłku, palenia cracku i wiecznej pogoni za narkotykiem.

Kiedy wyjeżdżałam do Wenezueli, dałabym głowę, że za dwa tygodnie będę z powrotem. Wtedy pogardzałam zwykłym życiem, szukałam dreszczyku, przygody, nowych emocji. Odrzucało mnie na myśl o stałej pracy, małym domku na przedmieściu, mężu i rodzinie.

W Wenezueli wszystko się zmieniło. Przygód i emocji, jakich mi dostarczył ten kraj, starczyłoby dla kilku osób. Poza tym już nie miałam najmniejszej ochoty wracać do cracku. To też należało już do przeszłości, skończyło się raz na zawsze.

Niespodziewanie zapragnęłam znów kogoś poznać i tym razem na dobre ułożyć sobie życie. Jasona spotkałam kilka lat temu i od razu się w nim zakochałam. Ciężko pracuje jako mechanik. Jest najlepszym ojcem dla Nikity i naszego syna Brandona, który urodził się w 2008 roku. Żyjemy szczęśliwie w niewielkiej, malowniczo położonej wiosce. Jest tu cicho i spokojnie. Po tylu cierpieniach i trudach wreszcie znalazłam życiową przystań.

W Wenezueli przekonałam się, co znaczy prawdziwa przyjaźń. Mary, Monica i Vivi ogromnie mi pomogły w trudnych chwilach. Wszystkim trzem wiele zawdzięczam, a głęboka więź, która się między nami nawiązała, będzie na pewno trwać do końca życia.

Z radością obserwuję, jak rośnie Nikita. Moja śliczna, grzeczna dziewczynka dobrze się uczy i jest w szkole lubiana. Na szczęście nie pamięta epizodu z Wenezueli i nie wie o wszystkim, co się tam stało. Na razie jest za mała, żeby zrozumieć, ale gdy podrośnie, porozmawiam z nią o tym szczerze. Mamy dobry kontakt i liczę na to, że wybaczy mi mój

głupi błąd, za który zapłaciłam tak wysoką cenę. Zdaję sobie sprawę, jak potwornie nieodpowiedzialne, wręcz zbrodnicze, było zabieranie czterolatki w przemytniczą podróż i z pokorą przyjmę każdą krytykę. Na swoją obronę mogę jedynie powiedzieć, że zło wyrządzane przez narkotyki polega również na tym, że człowiek traci trzeźwe spojrzenie na świat i umiejętność podejmowania racjonalnych decyzji. Mój zatruty crackiem mózg nie przyjmował do wiadomości, że mogę zostać zatrzymana.

Żał mi ludzi, którzy przemycają narkotyki, a organizatorzy tego procederu napawają mnie wręcz odrazą. Zwykli kurierzy często nie zdają sobie sprawy z zagrożenia. Nikt ich nie ostrzega, że mogą spędzić kilka lat w więzieniu w obcym kraju. Ponoszą największe ryzyko i dostają marne grosze w porównaniu z dilerami. Są tylko pionkami w niebezpiecznej grze. Dilerów nie obchodzi, że rujnują czyjeś życie, że ktoś będzie cierpiał. A przecież są w pełni świadomi ryzyka i dlatego sami nie biorą udziału w przemyśle.

Narkotyki niszczą wszystko, zmieniają ludzi w kompletne wraki. Nieraz, widząc narkomana na ulicy, zastanawiam się, kim byłby, gdyby nie nałóg. Napatrzyłam się na wiele nieszczęść. Na moich oczach ludzie, mający dom, pracę i rodzinę, staczali się przez narkotyki - spali na ulicy i kradli w sklepach.

To dzięki mojej przyjaciółce Nikita nie zapłaciła za moją głupotę. Eve była samotną matką żyjącą z zasiłku, a jednak bez wahania wzięła ją do siebie i wychowywała jak własną córkę. Nigdy nie zdołam się jej odwdziaczyć za to, że Nikita znalazła u niej bezpieczną przystań.

Wciąż odczuwam wielki ból, gdy myślę o śmierci mamy. Moje życie przed Wenezuelą było dla niej powodem wielkiego smutku i stresu. Z całego serca żałuję, że nie dożyła tej chwili, by się przekonać, iż dotrzymałam obietnicy złożonej na dzień przed jej odejściem: że zmienię swoje życie i będzie ze mnie dumna. Jeśli po śmierci dusza w jakiś sposób towarzyszy tym, którzy zostali na Ziemi, to mam nadzieję, że mama spogląda na mnie z góry i się cieszy.

W ciągu tych trudnych lat spędzonych w wenezuelskich więzieniach przeżyłam wiele tragicznych chwil, ale za nic nie oddałabym tamtego doświadczenia. Jestem pewna, że gdybym nigdzie nie wyjechała, prędzej czy później straciłabym Nikitę, wolność, a może nawet życie. W Wenezueli dorosłam i zrozumiałam, że w życiu tak naprawdę liczą się miłość, lojalność i codzienna ciężka praca. Każdego ranka, gdy się budzę, przytulam Jasona i moje ukochane dzieci, po czym szykując się do zmagania z kolejnym dniem, myślę, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. Dostałam drugą szansę.